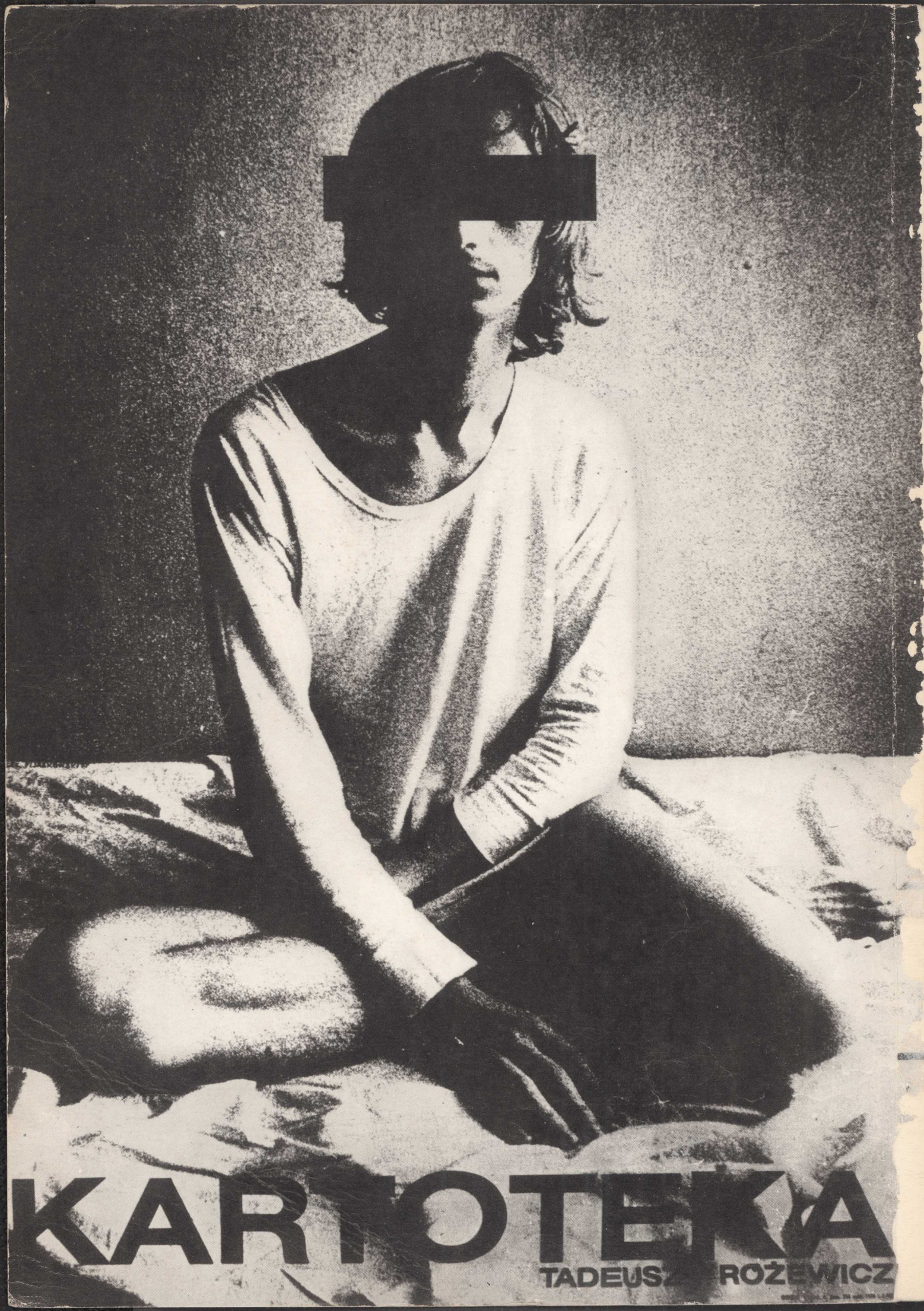


Jūrze ī zīemā



KARTOTEKA

TADEUSZ ROŻEWICZ

morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-KULTURALNY
styczeń 1980 r.

Miejska Biblioteka Publ. w Szczecinie
5678
Pr III 01262
008:301](438)(059)

Zamek Książąt Pomorskich
ul. Korsarzy
70-540 Szczecin

REDAKCJA:

Ryszard Dżaman
Janusz Janowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. Naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)
Wojciech Termanowski (Fotoreporter)
Lidia Wójcik (Red. techniczny)

RADA PROGRAMOWA:

Janusz Bukowski
Henryk Chmielowski
Bogdan Dopierała
Eugeniusz Daszkowski
Michał Hempoliński (Przewodniczący Rady)
Jerzy Pachlowski
Walerian Pawłowski
Guido Reck
Jerzy Piskorz-Nałęcki
Romuald Sawicki
Aleksander Winnicki

WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury
Zamek Książąt Pomorskich
Cena zł 20,—

S.Z.Graf. Zam. nr 1721/I/A, 3000+26, F-5/212

Na okładce:

fot. J. Undro — Odrestaurowany XVII-wieczny zegar z Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie (strona 1)

CEK FIJAŁKOWSKI — p l a k a t y, fot. autor (strona 2 i 3)

ot. W. Termanowski, HENRYK WANIEK — „* * *" — *olej*, wystawy „Plenery świnoujskie", Szczecin 1979 (strona 4)

W NUMERZE:

ANTONI CZUBIŃSKI, Miejsce Polski w hitlerowskich planach ekspansji i podbojów w latach 1938—1945 1

RYSZARD DŻAMAN, Portret wpisany w stal . . 7

KATARZYNA SUCHODOLSKA, *O krajobrazie* . 10

ALEKSANDER WALCZAK 12

TERESA TRUSZKOWSKA, Ślub, Na odwrocie, Bezsenność, Okno 14

ZYGMUNT BORAS, Refleksje o morskiej świadomości polskiej szlachty w XVI—XVII w. . . . 15

JERZY ARKADIUSZ BIELECKI, Obcowanie, Ostatnia brzytwa fali 18

ARTUR DANIEL LISKOWACKI, Motyw portu w polskiej poezji współczesnej 19

HALINA LIZIŃCZYK, *Proza '79* — potwierdzenia i debiuty 22

LUDWIK JANISZEWSKI, Słowo o socjologii morskiej 24

TERESA TYRAN, Wiersze 27

JERZY JURCZYK, Czy warto spierać się o scenografię? 27

BOGDAN WOJTCZAK, Teatry szczecińskie 1979 29

ANNA STANKIEWICZ, Tadeusz Zapaśnik — gra przeciw schematom 31

GRZEGORZ SZTABIŃSKI, Sztuka i teoria sztuki. Uwagi o VIII Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych 33

KAZIMIERZ HENCZEL, Matce, Widok z okna . 35

JERZY PACHLOWSKI, Wmyślenia 36

STANISŁAW WIT WILIŃSKI, Sumienie . . . 37

JERZY PISZ, Nieudane spotkanie przy Wyspie Wielkanocnej 42

ZBIGNIEW KOSIOROWSKI, Cmentarzysko . . . 46

ANNA KRAJEWSKA, Czekając na przyjaciół . . 49

KURT BIESALSKI, Opowiadanie wigilijne . . . 50

MARIUSZ CZARNIECKI, Cud technologiczny: bestia 54

MAŁGORZATA HADYL, Samotność pełna spraw . 56

HENRYK GURGUL, Prądy morskie — rzeki oceanów 58

TADEUSZ BRZOZOWSKI, Analizy 61

JĘDRZEJ PORADA, Informacja o statku 62

JADWIGA NAJDOWA, Młodzi Plastycy Wybrzeża 63

KRONIKA . . . . . 62—63

WOJCIECH BAJEROWICZ, Niewiara, Stwierdzenie faktu, Wątpliwość, Punkt widzenia, Reportaż, Radość istnienia 64

Miejsce Polski w hitlerowskich planach ekspansji i podbojów w latach 1938-1945

Część I

ANTONI CZUBIŃSKI

Poglądy historyków

Miejsce, jakie zajmowała Polska w hitlerowskich planach podboju i ekspansji, stanowi przedmiot wielu sporów i dyskusji naukowych. Dyskusja ta wiąże się z generalną dyskusją na temat miejsca Hitlera i hitleryzmu w dziejach Niemiec oraz genezy II wojny światowej. Część historyków stoi na stanowisku, że Hitler mieści się w ogólnym trendzie rozwojowym historii najnowszej Niemiec, że był on kontynuatorem imperialistycznej polityki ekspansji i podbojów podejmowanych wcześniej przez Bismarcka, Wilhelma II i Hindenburga. Inni natomiast są zdania, że hitleryzm nie mieści się w tych ramach, że stanowi on swego rodzaju zwyrodnienie w ogólnym ciągu rozwoju Rzeszy. W tym sensie też polityka Hitlera w kwestii polskiej i jego stosunek do ludności polskiej nie wypływała rzekomo z tradycji, nie była kontynuacją występujących wcześniej dążeń i tendencji lecz czymś zupełnie nowym, nieznanym w przeszłości.

Tezę o braku kontynuacji podejmują i rozwijają głównie historycy zachodnioniemieccy oraz reakcyjni historycy innych narodowości. Dowodzą oni, że Niemcy nie posiadały sprecyzowanych celów wojennych ani w I, ani w II wojnie światowej, że w pierwszym przypadku prowadziły one tylko wojnę obronną, a w drugim zostały do wojny sprowokowane lub podstępnie wciągnięte przez innych, że Hitler nie posiadał planów ekspansji terytorialnej i podbojów, że zmierzał on jedynie do odzyskania tego, co Niemcy utraciły w wyniku klęski zadanej im w czasie I wojny światowej. Przy czym nie chodziło tu rzekomo tyle o straty terytorialne ile o sprawy odszkodowań, ograniczenia zbrojeń i dyskryminacji na forum międzynarodowym. Najpełniej koncepcje te rozwinęli historycy anglosascy, Amerykanin Dawid L. Hoggan i Anglik Alan J. P. Taylor.

Historiografia marksistowska i część postępowej historiografii liberalno-burżuazyjnej dowodzą natomiast, że imperializm i militaryzm niemiecki tak przed I jak i przed II wojną światową posiadał szczegółowo opracowane plany ekspansji i podbojów oraz że plany te starał się konsekwentnie wcielać w życie. Poszczególne rządy Rzeszy Niemieckiej doprowadziły do utworzenia silnego potencjału militarnego, odpowiedniego wychowania społeczeństwa i dogodnej sytuacji na forum międzynarodowym. Jednak historiografia marksistowska nie obarcza Niemiec wyłączną odpowiedzialnością za wybuch obu wojen światowych. W ocenie tej historiografii obie wojny miały imperialistyczny charakter. Były one wynikiem krzyżujących się dążeń wielu państw imperialistycznych do ekspansji i panowania w świecie. Geneza ich była podobna, przy czym w wybuchu II wojny światowej istotną rolę odgrywał fakt, iż państwa kapitalistyczne (demokratyczne i faszystowskie) łączył wspólny cel, a mianowicie dążenie do rozbicia ZSRR i ruchu komunistycznego. Państwa te popierały dążenia Hitlera i III Rzeszy do agresji na ZSRR.

Sytuację komplikuje fakt, iż Hitler realizując swoje cele, doprowadził do konfliktu zbrojnego tak z ZSRR jak i państwami burżuazyjnymi, przy czym wojna zaczęła się od uderzenia na burżuazyjne państwo polskie, a Związek Radziecki wciągnięty został do niej dopiero parę lat później, w czerwcu 1941 r.

Historiografia radziecka uznając imperialistyczny charakter genezy II wojny światowej dowodzi, iż z chwilą uderzenia III Rzeszy na ZSRR i utworzenia koalicji antyfaszystowskiej z udziałem demokracji burżuazyjnych i ZSRR, wojna zmieniła swój charakter z obustronnie imperialisytcznej w obronną dla całej antyfaszystowskiej koalicji. Natomiast liberalna historiografia burżuazyjna genezę II wojny i cały jej przebieg ujmuje w sposób dość jednolity, eksponując ekspansywne dążenia III Rzeszy. Część jej podejmuje też wątki antyradzieckie i antykomunistyczne.

Historiografia marksistowska nawiązując do tezy o imperialistycznej genezie II wojny światowej i wynikającej z niej tezy o pewnej współodpowiedzialności za wybuch II wojny światowej innych państw burżuazyjnych — w tym również Polski — szczególną uwagę zwraca na rolę ruchów i państw faszystowskich w tym zakresie, a przede wszystkim na rolę hitleryzmu i hitlerowskiej Rzeszy Niemieckiej.

Geneza hitleryzmu

Gdy chodzi o Hitlera i jego ruch to należy tutaj przypomnieć, że ruch ten wyrósł z doświadczeń i tradycji tak wewnątrzniemieckich jak i międzynarodowych. Nawiązywał on do ukształtowanych w Niemczech w XIX wieku koncepcji szowinistycznych i rasistowskich. Szowinizm i rasizm niemiecki narastał stopniowo na tle rosnącej pozycji ekonomicznej zjednoczonych w 1871 r. Niemiec. Wyrażał się w dążeniu do ekonomicznego i politycznego podporządkowania sobie innych ludów. W Polsce dążenia te były znane w związku z zaostrzeniem procesów germanizacyjnych na obszarze ziem polskich zaboru pruskiego. Polacy odczuli tu bardzo silnie zjawiska rosnącego szowinizmu niemieckiego zmierzającego do dyskryminacji ludności polskiej. Szowinizm ten musiał się jeszcze liczyć z opinią europejską. Stosunkowo słabo były natomiast znane poczynania szowinistów i militarystów niemieckich w koloniach. W 90 latach XIX w. doprowadzili oni do zagłady niektórych plemion murzyńskich w Afryce Wschodniej. Na początku XX w. spowodowali prawie kompletną zagładę plemion Herrerów w Afryce Zachodniej i przeprowadzili głośną ekspedycję karną w Chinach, która przez samego cesarza Wilhelma II porównywana była z najazdami Hunów na Europę.

Oficerowie niemieckich wojsk kolonialnych spełnili niebagatelną rolę w umacnianiu szowinizmu i rozwoju rasizmu w skali całych Niemiec. Ruch „wszechniemców" (Alldeutsch) już w końcu XIX w. głosił ideologię rasistowską, żądał szczególnego uprzywilejowania rasy germańskiej i zapewnienia jej przestrzeni do życia. *„Główne cele alledeutschów* — pisze J. Krasuski — *obejmowały stworzenie wielkiego imperium kolonialnego, budowę floty, która by mogła zmierzyć się z angielską, zdławienie mniejszości polskiej, duńskiej i francuskiej, oczyszczenie Niemiec z wpływów żydowskich, zaspokojenie niemieckiego „głodu ziemi", uświadomienie Niemcom ich rasowej wyższości i ich moralne przygotowanie do walki z „wrogami"* [1].

Rasizm stał się jednym z głównych czynników składowych ideologii narodowo-socjalistycznej. Hitlerowcy dowodzili, że w społeczeństwie toczy się nie walka klas lecz walka ras. Podobnie jak walka gatunków w przyrodzie. Rasy słabe są z góry skazane na obumarcie i zagładę. Zwyciężyć muszą prędzej czy później rasy silniejsze, bardziej zdolne, twórcze. Za rasę taką uznawali oni oczywiście rasę germańską. Prawo tej rasy do panowania nad innymi uznawali za rzecz naturalną i nie podlegającą dyskusji. Ograniczanie i likwidację innych ras traktowali niemal jako posłannictwo dziejowe, jako misję cywilizacyjną.

Według Hitlera rasa germańska nie mogła się swobodnie rozwijać, ponieważ rozwój ten hamował brak przestrzeni do życia. Niemcy były ściśnięte w środku Europy przez inne ludy i narody. Głównym ich celem było więc poszerzenie tej przestrzeni kosztem innych narodów. Przestrzeń tę widziano głównie na Wschodzie. Ziemie wschodnie zamieszkiwane były też przez skazaną rzekomo na zagładę, mniej wartościową, rasę słowiańską. Koncepcje Hitlera nawiązywały tu znów do geopolitycznych koncepcji polityków niemieckich XIX w., którzy domagali się rozwoju ekspansji wschodniej w celu stworzenia podporządkowanej Niemcom Europy Środkowej.

Podjęta w imię tych celów wojna w 1914 r. nie spełniła oczekiwań szowinistów i militarystów niemieckich. Wojna została przez Niemcy przegrana. W Europie Wschodniej spowodowała ona odbudowę lub utworzenie nowych państw narodowych. Wbrew planom imperializmu niemieckiego powstało też niepodległe państwo polskie, które objęło swym zasięgiem część ziem polskich podbitych uprzednio przez Prusy. Niemcy zmuszone zostały ponadto do rezygnacji z kolonii i innych obszarów w Europie, do płacenia odszkodowań wojennych i częściowego rozbrojenia.

Fakty te spowodowały dalsze umocnienie nacjonalizmu w Niemczech; wywołały żądzę zemsty i dążenie do odwetu. Szczególnie ostro atakowano Polskę i jej sojuszników. Antypolską politykę uprawiało wielu polityków niemieckich. Szczególnie zaangażował się w niej ruch hitlerowski.

Hitlerowska koncepcja ekspansji

Hitler już w 1925 r. w „Mein Kampf" pisał, że ruch narodowo-socjalistyczny musi przezwyciężyć dysproporcję pomiędzy liczbą ludności niemieckiej, a stojącą do jej dyspozycji przestrzenią, tak ze względu na konieczność wyżywienia ludzi, jak i uzyskania przewagi politycznej. Analizując szczegółowo stosunki z Anglią, Francją i Rosją pisał: *„Bez względu na całą uznawaną przez nas konieczność rozprawienia się z Francją byłoby ono z ogólniejszego stanowiska bezskuteczne, gdyby w nim wyczerpywać się miały całkowicie cele naszej polityki zagranicznej. Rozprawa ta nabierze i nabierać może właściwego sensu dopiero wtedy, jeśli stanowić będzie tylko zabezpieczenie naszych tyłów w dążeniu do powiększenia przestrzeni życiowej dla naszego narodu na wschodzie. Rozwiązanie tego problemu widzimy bowiem nie w zdobyczach kolonialnych lecz wyłącznie w zdobyciu obszaru kolonizacyjnego powiększającego obszar kraju rodzimego..."*. W wielu innych miej-

scach swych rozważań Hitler powracał do tej kwestii, pisząc: *„Jeśli mówimy dziś o nowej Ziemi i obszarze w Europie, to możemy myśleć jedynie tylko o Rosji i podporządkowanych jej państwach buforowych"*. Bezpośrednio na temat Polski w „Mein Kampf" Hitler wypowiada się tylko parę razy — zawsze w tym sensie, iż dotychczasowa polityka Niemiec wobec Polski miała połowiczny charakter, że podejmowano w niej walkę o korektury graniczne, podczas gdy faktycznie chodzi o pełne zgermanizowanie nie — ludzi, bo ci są obcy i mniej wartościowi rasowo, lecz ziemi [2].

Z kontekstu jego wypowiedzi wynikało, iż chodzi mu o usunięcie przeszkody hamującej ekspansję wschodnią Niemiec; przeszkodą tą była ludność polska i państwo polskie. Do problemów tych wracał często w późniejszych wypowiedziach. W końcu lat 20 krytykował polityków niemieckich z okresu I wojny światowej za to, że kosztem krwi żołnierza niemieckiego w 1916 r. odbudowali rzekomo państwo polskie. Nie widział on miejsca dla tego państwa w Europie.

Część historyków zachodnioniemieckich jest zdania, że Hitler posiadał przemyślany, logicznie rozwinięty plan ekspansji i podbojów rozłożony w czasie na kilka etapów. W pierwszym z nich miał on zamiar opanować Europę kontynentalną wyzyskując konflikty rysujące się pomiędzy państwami kapitalistycznymi, pomiędzy Anglią i Francją. W okresie tym celowo nie wysuwał on roszczeń kolonialnych, by nie psuć stosunków z Anglią. Realizacja tego celu etapowego miała nastąpić przy pomocy lub neutralności Anglii. W drugim etapie miał on zmierzać do podziału świata pomiędzy cztery mocarstwa, a mianowicie pomiędzy Niemcy, Anglię, Japonię i USA. Dopiero w trzecim etapie po umocnieniu Niemiec w Europie i Azji miały one podjąć ostateczną walkę z USA o panowanie w skali światowej.

Przygotowania do podboju Polski i Europy

Od początku zaś na pierwszy plan wysuwana była walka z ZSRR i Międzynarodówką Komunistyczną. Niemcy nie posiadały bezpośredniej granicy z ZSRR. Najbardziej dogodnym pomostem łączącym Niemcy z ZSRR były ziemie polskie. Od początku też problem polski posiadał dla Hitlera znaczenie raczej taktyczne niż zasadnicze. Hitler działał planowo, zręcznie wyzyskując sprzeczności występujące pomiędzy poszczególnymi państwami europejskimi. Prowadził on politykę elastyczną. Bezpośrednio po przejęciu władzy nie eksponował przedstawionych wyżej celów i założeń. Żądanie swoje ograniczał do postulatu równouprawnienia Niemiec na forum międzynarodowym, szczególnie w zakresie zbrojeń. Działalność swą koncentrował na opanowaniu sytuacji wewnętrznej w Rzeszy. Zlikwidował szybko opozycję i ustanowił dyktaturę swojej partii. Całą energię skupiono na odbudowie gospodarczej, stabilizacji politycznej i zbrojeniach.

Odbudowa przemysłu zbrojeniowego i armii napotykała na silny opór na forum międzynarodowym. Już jesienią 1933 r. Niemcy demonstracyjnie opuściły Konferencję Rozbrojeniową Ligi Narodów, a następnie samą Ligę żądając równouprawnienia w zakresie zbrojeń. Jednak wydźwięk tego kroku na forum międzynarodowym złagodziły podejmując próbę unormowania stosunków z Polską. Do tego czasu stosunki te były bardzo napięte.

Polacy należeli do zaliczonej przez rasistów niemieckich, tzw. niższej rasy słowiańskiej. Ponadto na przełomie XIX i XX wieku okazali się przeciwnikiem trudnym do pokonania na forum gospodarczym i organizacyjnym. Wykorzystując osłabienie pokonanych w czasie I wojny światowej Niemiec Polacy zrzucili kontrolę Rzeszy, odbudowali własne państwo, a nawet oderwali od Niemiec część ich prowincji polskich. Bezpośrednim skutkiem tego wydarzenia było częściowe wycofanie elementu niemieckiego ze wschodu. Szowiniści niemieccy nie mogli tego przeboleć.

W latach 1918—1921 toczyły się walki polsko-niemieckie o Wielkopolskę i Górny Śląsk. Następnie trwała niemiecko-polska wojna gospodarcza. Szeroki zasięg miała obustronna wojna propagandowa. Rządy niemieckie zwalczały Polskę na forum międzynarodowym. Polska szukała przeciw nim zabezpieczenia w układach z Francją.

Dążenia Hitlera pokrywały się w zasadzie z dążeniami jego poprzedników. Przejęcie władzy w Niemczech przez Hitlera, logicznie biorąc, winno było prowadzić do dalszego zaostrzenia konfliktu. Pierwsze miesiące rządów Hitlera zdawały się potwierdzać te przewidywania. Powszechnie sądzono, że na odcinku niemiecko-polskim może szybko dojść do bezpośredniego starcia. Pojawiły się nawet pogłoski o zaniepokojeniu władz polskich i podjęciu przez nie kroków przygotowawczych do ewentualnej wojny prewencyjnej.

Źródła porozumień niemiecko—polskich

Tymczasem Hilter rozumiał dobrze, że zaostrzenie konfliktu z Polską w latach 1933—1934 nie pozwalało liczyć na żadne sukcesy. Rzesza do wojny nie była przygotowana. Rząd Hitlera znajdował się w trudnej sytuacji wewnętrznej (opozycja SA) i międzynarodowej (negatywne skutki wystąpienia z Ligi Narodów). Konflikt z Polską mógł przekreślić wszystko. Dlatego też jesienią 1933 r. podjęto rozmowy z Polską, a już 26 I 1934 r. podpisano z nią deklarację o niestosowaniu przemocy. W ślad za tym nastąpiło porozumienie gospodarcze, przerwanie wojny celnej oraz porozumienie prasowe przerywające wojnę propagandową między obu państwami.

Kierowana przez Hitlera III Rzesza zdawała się zrywać z dotychczasową linią polityczną nacjonalizmu niemieckiego w kwestii polskiej. Hitler demonstrował swoje rzekomo pokojowe dążenia, a Polska wystawiała mu swego rodzaju pokojowe alibi. Hitler był ostro krytykowany przez koła nacjonalistyczne i konserwatywne w Niemczech, które demonstrowały swoje niezadowolenie. Koła te żądały zachowania nieustępliwego kursu wobec Polski. Tymczasem na forum międzynarodowym umacniało się złudzenie, że Hitler odstąpił od demagogicznych haseł z okresu walki o władzę, że dąży on rzeczywiście tylko do odbudowy znaczenia i prestiżu Niemiec na forum międzynarodowym, do równouprawnienia. Odrzucano płynące z Niemiec ostrzeżenia i podjęto współpracę z Hitlerem. W 1935 r. brytyj-



Reprodukcja W. Termanowski — Proklamacja o wcieleniu Gdańska do Rzeszy nalepiona na polskiej skrzynce pocztowej

ski rząd podpisał z III Rzeszą układ morski. Hitlerowi pozwolono odbudować siły zbrojne i przemysł zbrojeniowy. Nie przeszkadzano mu w ponownym wprowadzeniu powszechnego obowiązku służby wojskowej (1935), obsadzeniu strefy zdemilitaryzowanej w Nadrenii (1936) ani przyłączeniu Austrii do Rzeszy (1938). Polityka „ugody" z Hitlerem i przymykania oczu na kolejne jego kroki powodowała wzrost jego popularności i prestiżu, tak w łonie samego społeczeństwa niemieckiego, jak i na formu międzynarodowym. Jednocześnie w kręgu zaufanych osób Hitler w dalszym ciągu rozwijał koncepcje walki o przestrzeń życiową dla Niemców na wschodzie.

Niemiecka koncepcja rozwiązania sprawy polskiej

W odniesieniu do Polski w Niemczech hitlerowskich ścierały się ze sobą dwie koncepcje. Przedstawiciele starych kół konserwatywno-nacjonalistycznych i niektórzy dygnitarze hitlerowscy domagali się szybkiego uregulowania spornych problemów takich, jak np. sprawa ponownego włączenia do Rzeszy Gdańska, Pomorza i Górnego Śląska. Hitler traktował to jednak z dezaprobatą, jako tzw. rozwiązanie problemu w ograniczonym wydaniu (Kleine Lösung). Domagał się on niepodejmowania tych spraw i odczekania do momentu, kiedy dojrzeją warunki do generalnego rozwiązania kwestii polskiej. Jak wspomniano wyżej, małe problemy sporne z Polską nie stanowiły dla Hitlera celu samego w sobie. Problemy te widział w szerokim aspekcie polityki wschodniej w ogóle.

Pokojowy podbój Europy

Do 1938 r. Hitler przygotowywał właściwie dopiero zaplecze do podjęcia tego problemu w skali generalnej. 4 lutego 1938 r. dokonał on zasadniczych zmian personalnych; 11 III 1938 r. włączył Austrię do Rzeszy i podjął akcję przygotowawczą do zajęcia Czechosłowacji. Hitlerowi zależało na rozbiciu tego państwa w ogóle, przy czym konflikt wojenny z małą i osłabioną przez ruchy odśrodkowe ludności: niemieckiej, polskiej, słowackiej i węgierskiej, Czechosłowacją był mu potrzebny w celu wypróbowania broni i kadr wojskowych. Celem przygotowania politycznego i propagandowego całej kampanii na pierwszy plan wysunięto problem mniejszości niemieckiej zamieszkującej Sudety. Hitlerowcy dowodzili, że ludność niemiecka w Sudetach jest rzekomo uciskana i domagali się dla niej autonomii. Żądania stale rosły. Gdy Czesi zgodzili się na autonomię, sterowani z Rzeszy przywódcy ludności niemieckiej w Sudetach oświadczyli, że chcą prawa do pełnego samostanowienia o sobie, że chcą przyłączenia do Rzeszy. Eskalacja propagandy hitlerowskiej doszła do tego stopnia, iż w końcu część zbałamuconej opinii publicznej w Europie gotowa była uwierzyć, że to Czesi sprowokowali cały konflikt. Żądania wobec Czechosłowacji zgłosili też Polacy (Zaolzie) i Węgrzy (Podkarpacie). Zaniepokojone mocarstwa zachodnie włączyły się do tej rozgrywki i narzuciły swoje pośrednictwo. Czechosłowacja została zmuszona do odstąpienia Rzeszy Sudetów. Hitlerowski plan rozbicia Czechosłowacji został jednak odroczony w czasie. W Monachium Hitler musiał oświadczyć, że jest to jego ostatnie żądanie.

Zajęcie Sudetów w drodze szantażu dyplomatycznego, bez jednego wystrzału, znacznie umocniło prestiż Hitlera i pozycję polityczną Rzeszy. Czechosłowacja została wydana na łup Hitlera. Układ monachijski miał też ostrze antyradzieckie i w konsekwencji spowodował reorientację polityczną ZSRR. Hitler osiągnął też znaczne okrążenie Polski i mógł przystąpić do rozmowy z nią w bardziej korzystnej sytuacji, aniżeli to miało miejsce w 1933 r.

Próba pokojowego podporządkowania Polski

24 X 1938 r. minister spraw zagranicznych Rzeszy J. v. Ribbentrop przekazał ambasadorowi polskiemu J. Lipskiemu propozycje generalnego rozwiązania spornych problemów niemiecko-polskich (Globalne albo Gesamtlösung), Ribbentrop proponował, by Polska wyraziła zgodę w sprawie:

1) ponownego przyłączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy;

2) przeprowadzenia eksterytorialnej wielotorowej linii kolejowej i eksterytorialnej autostrady przez polskie Pomorze (tzw. korytarz) celem zapewnienia Rzeszy stałej komunikacji z Prusami Wschodnimi;

3) przystąpienie do tzw. Paktu Antykominternowskiego (przeciw Międzynarodówce Komunistycznej).

W zamian za to Niemcy proponowały Polsce:
1) przyznać prawo przejazdu przez obszar Gdańska,
2) dać Polsce możliwość zbytu jej towarów poprzez Gdańsk.

Oba państwa miały przedłużyć czas obowiązywania deklaracji o nieagresji z 1939 r. do 25 lat, gwarantować sobie wzajemnie nienaruszalność swoich terytoriów oraz zobowiązać się do przeprowadzenia wzajemnych konsultacji.

Dążenie do generalnego rozwiązania spornych problemów z Polską, już w tej formie prowadziło do pełnego uzależnienia Polski od III Rzeszy. Było jednak oczywiste, że żądania Hitlera będą narastały w miarę słabnięcia pozycji polskich i umacniania prestiżu Niemiec. Hitler zmierzał do pełnego podporządkowania sobie Polski celem wyzyskania jej do przygotowania uderzenia przeciw ZSRR. Pełne włączenie się Polski do obozu państw faszystowskich znacznie ułatwiłoby Hitlerowi dalsze poczynania. Dla Hitlera było to ogniwo w realizacji wielkiego planu. Pan ekspansji wschodniej stawał się bardziej realny. Gdyby Polska przyłączyła się do Paktu Antykominternowskiego można byłoby myśleć o szybkim, wspólnym z nią uderzeniu na ZSRR.

Stanowisko Polski

Po stronie polskiej nie zdawano sobie w pełni sprawy z grozy położenia. Dostrzegano rosnącą pozycję Rzeszy na forum międzynarodowym, ale nadal łudzono się, że Polska będzie mogła zachować samodzielność. 19 XI 1938 r. Lipski przekazał odpowiedź Becka na propozycje Ribbentropa z 24 X 1938 r. Strona polska propozycji tych nie chciała przyjąć i wysuwała własny projekt porozumienia w sprawie Gdańska. Łudzono się, że Hitler nie podziela poglądów Ribbentropa, że zadrażnienie da się załagodzić, że ekspansja niemiecka pójdzie w kierunku basenu Dunaju, a nie na wschód. 4 XI 1938 r. Beck na konferencji w MSZ miał dowodzić, że ostatnie wydarzenia wykazały upadek autorytetu Ligi Narodów, słabą odporność państwa czechosłowackiego i porażkę ZSRR; na losy Polski zapatrywał się optymistycznie. Jednak już 22 XI konstatował on porażkę Polski w sprawie walki o utworzenie wspólnej granicy z Węgrami i antypolskie stanowisko Niemiec w tej kwestii. „*Minister* — odnotował Szembek — *nie sądzi jednak, by stanowisko to oznaczało jakąś zmianę w polityce Hitlera i III Rzeszy w stosunku do Polski.* Stanowisko to opierało się o błędne informacje ambasadora Lipskiego, który twierdził, że Ribbentrop wycofał się z propozycji złożonych 24 X, że Hitler chce „*kontynuować politykę porozumienia z Polską*". Rozmowy były kontynuowane. Hitler działał ostrożnie. Jeszcze 5 I 1939 r. przyjął on Becka, a 26 I 1939 r. Ribbentrop odwiedził Warszawę. Obchodzono 5 rocznicę podpisania deklaracji o niestosowaniu przemocy.

Plany agresji na Polskę

Tymczasem na wszelki wypadek, już we wrześniu 1938 r. przystąpiono w Niemczech do opracowania tajnych planów agresji na Polskę. 24 XI 1938 r. Szef Sztabu Sił Lądowych Rzeszy gen. W. Keitel dał uzupełnienie do poprzedniego rozkazu z września. w którym m. in. pisał: „*Führer rozkazał, by poza trzema ewentualnościami określonymi w poprzednich wytycznych poczynić przygotowania do niespodziewanej okupacji Wolnego Miasta Gdańska przez wojska niemieckie*"... Komisarz Generalny RP w Wolnym Mieście Gdańsku Marian Chodacki już 28 X 1938 r. przekazywał viceministrowi Szembekowi alarmujące informacje o zaostrzeniu stosunków w mieście. „*Na terenie Gdańska* — mówił Chodacki — *dało się zauważyć ostatnio wiele groźnych symptomów. Zarządzenia o obowiązkowej służbie policyjnej są już poniekąd tworzeniem na terenie Wolnego Miasta niemieckiej siły zbrojnej. Poza tym propaganda Drang nach Osten staje się w Gdańsku coraz wyraźniejsza... Wielkiej zmianie uległo również ustosunkowanie się Forstera, który po ostatniej sesji i konflikcie z Burchardtem był bardzo speszony, ostatnio jednak po bytności w Berchtesgaden jest bardzo podniesiony na duchu. Wezwany tam został przez kanclerza Hitlera, który odesłał go do Gdańska swym prywatnym samolotem. Po powrocie Forster zorganizował szereg zgromadzeń, na których przemawiał osobiście wyrażając największy optymizm co do przyszłości Gdańska*"[3]. Przemawiając 30 I 1939 r. w parlamencie Hitler stwierdził: „*Właśnie obchodzimy piątą rocznicę zawarcia naszego paktu o nieagresji z Polską. Żaden prawdziwy obrońca pokoju nie ma chyba dziś wątpliwości co do wartości tego układu. Wystarczy zastanowić się*



Reprodukcja W. Termanowski — Mapa dowódcy grupy atakującej Westerplatte

nad tym, co mogłoby zajść w Europie, gdyby nie zawarcie przed pięcioma laty tego układu, który przyniósł tak znaczne odprężenie...".

Oficjalny flirt Hitlera z Polską trwał jeszcze do końca marca 1939 r. Równolegle toczyły się jednak tajne przygotowania do ewentualnej akcji zbrojnej. Nabierała też coraz większego rozmachu akcja propagandowa przeciw Polsce. Na czoło wysuwano w niej problem Gdańska i rzekomego prześladowania mniejszości niemieckiej w Polsce. W Gdańsku podjęto kroki zmierzające do ostatecznego przyłączenia miasta do Rzeszy. Wiodącą rolę w akcji tej spełniał przywódca ruchu hitlerowskiego w Gdańsku Albert Forster.

Po zakończeniu rozmów z Hitlerem i Ribbentropem w Niemczech w styczniu 1939 r. Beck doszedł do wniosku, że sprawy są bardziej skomplikowane, aniżeli to wydawało się i postanowił szukać możliwości *„zakytwizowania stosunków z Anglią i Francją"*. Tymczasem Hitler nadal jeszcze nie odkrywał w pełni swych kart; oficjalnie zachowywał się pojednawczo.

Przywódcy III Rzeszy realizowali dwie koncepcje taktyczne wobec Polski. Z jednej strony toczyły się przygotowania do uderzenia militarnego, stwarzano fakty dokonane w Gdańsku i realizowano plan jej bezpośredniego okrążenia. Z drugiej strony nie szczędzono przyjacielskich gestów i słów celem uśpienia czujności i stworzenia sobie wygodnego alibi na forum międzynarodowym. Kierownictwo polskie do wiosny 1938 r. nie zdawało sobie w pełni sprawy z dwulicowości Hitlera i z grożącego niebezpieczeństwa.

Niemcy prowadzili równolegle rozgrywki z Polską o Gdańsk, z Litwą o Kłajpedę, z Węgrami o Ruś Karpacką. Poświęcali też dużo czasu na realizację planu ostatecznego rozbicia Czechosłowacji. Realizując politykę stopniowego okrążania Polski hitlerowcy prowadzili przygotowania do jej izolowania na forum międzynarodowym i zmuszania do podpisania nowego porozumienia z Rzeszą. 14 III 1939 r. spowodowali oni oderwanie się Słowacji od Czech; następnego dnia wojska niemieckie wkroczyły do Czech i Moraw przekształcając te kraje w protektorat niemiecki. 23 marca zajęły one Kłajpedę. Ambasador polski w Berlinie J. Lipski w rozmowie z wiceministrem J. Szembekiem w dniu 23 III 1939 r. przejawiał skrajny pesymizm. Ribbentrop domagał się ponownego przyjazdu Becka do Berlina. Po stronie polskiej uznano to za niemożliwe. Lipski obawiał się, że Niemcy wystąpią z ultimatum pod adresem Polski. Podkreślał, że Niemcy *„zmierzają wyraźnie do okrążenia nas"*. Dowodził on, że z Niemcami *„nie warto jest obecnie rozmawiać"*. Sam rozważał możliwość podania się do dymisji. Beck na konferencji w MSZ 24 III 1939 r. oświadczył, iż: *„Sytuacja jest poważna i nie można zamykać na to oczu"*. Zapowiadał on, że Polska nie zrezygnuje ze swych interesów nawet, gdyby miało dojść do wojny [4].

W tym samym dniu stanowisko MSZ przedstawiono na posiedzeniu rządu, który do tej pory tymi problemami nie zajmował się. Zasadnicze decyzje w tych sprawach podejmowano w trójkącie: Beck, Rydz-Śmigły i prezydent Mościcki. Polityka ta została poddana ostrej krytyce nie tylko ze strony opozycji, ale również grup rządzącego obozu sanacyjnego. Opozycja żądała ustąpienia odpowiedzialnego za ten stan rzeczy rządu.

Reakcja Anglii i Francji

Wbrew obawom Becka i jego współpracowników w marcu 1939 r. Hitler nie zdecydował się uderzyć na Polskę. Rząd Polski uzyskał nieco czasu na zmianę kursu politycznego i podjęcia przygotowań do obrony. Posunięcia marcowe Hitlera spowodowały zaniepokojenie Anglii i Francji. Zwolennicy polityki ustępstw wobec Niemiec stracili grunt pod nogami. Hitler łamał kolejno układy i zobowiązania nie licząc się z prawem i opinią publiczną. Zajęcie Austrii, Czech i Kłajpedy spowodowało poważną zmianę w układzie sił politycznych w Europie. W tej sytuacji przywódcy W. Brytanii i Francji musieli zająć bardziej stanowczą postawę wobec III Rzeszy. 31 III 1939 r. premier Chamberlain złożył w Izbie Gmin deklarację głoszącą, iż Wielka Brytania gwarantuje niepodległość państwa polskiego. Beck natychmiast udał się do Londynu. 6 IV 1939 r. podpisano tam dwustronną polsko-brytyjską umowę gwarancyjną. Anglia udzieliła też gwarancji innym państwom.

Fakt ten spowodował wybuch wściekłości u Hitlera. Misternie montowany plan pełnego izolowania i uzależnienia Polski od Rzeszy zaczynał się załamywać. Hitler zmienił ton i oficjalnie wystąpił z pogróżkami i oskarżeniami. W końcu marca wydał polecenie przygotowania planu inwazji na Polskę do końca sierpnia tegoż roku. 3 kwietnia szef OKW gen. W. Keitel podpisał rozkaz opracowania szczegółowych planów agresji, a 11 kwietnia Hitler podpisał wytyczne do jednolitego przygotowania Wehrmachtu do wojny na okres 1939—1940. Część druga wytycznych, pt.: *„Fall weiss"* obejmowała plan agresji na Polskę, a część trzecia plan zajęcia Gdańska.

---

1. J. Krasuski, *Z dziejów niemieckiej myśli politycznej XIX i XX wieku*, Poznań 1965, s. 169—170.
2. A. Hitler, *Mein Kampf*, Monachium 1939, s. 268, 381, 642—650.
3. *Diariusz i teki Jana Szembeka*, Tom IV, Oprac. Józef Zarański, Londyn 1972, s. 333.
4. Tamże, s. 527 i 519—520.

RYSZARD DŻAMAN

portret wpisany w stal

Można by ten portret rysować dzisiaj — 9 sierpnia 1979 roku. Jego tłem byłaby nowoczesna stoczniowa hala obróbki blach, o wymiarach 120 na 105 metrów. Tu właśnie rozmawiam z Mieczysławem Dmochowskim, starszym mistrzem wydziału K-1 Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Można by ten portret zaprogramować na stoczniowym komputerze, a potem automatycznie wypalać go w stali palnikami do krzywoliniowego cięcia blach firmy Messer-Griesheim. Udałoby się wtedy odzworować każdą rysę, każdą zmarszczkę, a nawet i każdy siwy włos zdobiący tu i ówdzie skroń naszego bohatera. Mieczysław Dmochowski jest dobrym modelem do tego portretu. Jako pierwszy figuruje w księdze zasłużonych stoczniowców, założonej w 1976 roku. Ma za sobą dwadzieścia siedem lat nieprzerwanej pracy w Stoczni Szczecińskiej. W każdym statku, który u Warskiego został wybudowany, od „Czułyma" poczynając, jest cząstka jego trudu.

Myślę jednak, że ten portret rysowany dzisiaj, nawet przy pomocy najnowocześniejszych urządzeń, byłby niepełny. Zabrakło by w nim tego, co tkwi w głębi, we wspomnieniach, w myślach, ba — w sercu; nie bójmy się użyć tego słowa. Zamiast więc ryć w stali obraz oglądany dzisiaj, cofnijmy się wstecz, kiedy nasz model, ten dojrzały obecnie mężczyzna, miał zaledwie osiemnaście lat. Cofnijmy się do dnia 5 września 1952 roku. Wtedy to Mieczysław Dmochowski po raz pierwszy przekroczył bramę stoczni. Razem z dziewięcioma innymi kandydatami do stoczniowego zawodu trafił na pochylnię, gdzie znajdował się będący w budowie — s/s „Czułym".

Po raz pierwszy widział statek z bliska. Wydawał się tak olbrzymi, że aż kręciło się w głowie. Mieczysław Dmochowski, wtedy gdy stał przed pochylnią i patrzył na statek, miał zaledwie osiemnaście lat. Przerażał go huk i szum, jaki tu panował. Zachwycała praca, krzątanina wielu ludzi. Przyglądał się im z podziwem. Przecież on sam nie potrafił jeszcze niczego robić. Dwuletni okres pracy w magazynie odzieżowym na ulicy Jagiellońskiej, gdzie był zatrudniony jako młodociany, niczego go nie nauczył. Kiedy tak stał i widział „Czułyma", w sercu tliło się zwątpienie. „Czy ja tu wytrzymam dłużej niż kilka dni" — myślał.

Na dziesiątkę kandydatów na stoczniowców czekało już trzech mistrzów — Jerzy Bałcz, Karol Leiman i Lucjan Wiśniewski. Mieczysław Dmochowski i jeszcze jeden młody człowiek zostali wybrani przez mistrza Jerzego Bałcza. Dzięki temu Dmochowski trafił na wydział K-1, zajmujący się obróbką elementów kadłuba.

Przed pochylnią stały dwie hale. W jednej z nich Jerzy Bałcz przydzielił Mieczysława Dmochowskiego pracownikowi, który znał się już na robocie. Zaczęli z nim kompletować, zgodnie z listami materiałowymi, elementy na poszczególne sekcje — był to magazyn kompletacyjny.

— To była dla mnie ciekawa praca, chociaż z początku nie wiedziałem nawet, co robię. Ja jednak zawsze chcę wiedzieć wszystko. Nauczyłem się rysunku technicznego. I wszystko stało się jasne. W magazynie kompletacyjnym pracowałem miesiąc. Potem przeszedłem do brygady obróbki wręgów. Była to już prawdziwa, męska praca. Do moich zadań należała obróbka wręgów i usztywnień. Przedtem — mówi dalej pan Mieczysław — wszyscy robili wszystko. Trzeba było trasować (rysować), wypalać (ciąć palnikiem), wyginać (dokształtywać do szablonu). Szybko tego się nauczyłem. Po roku zostałem mianowany brygadzistą.

Krótki był więc ten pierwszy odcinek stoczniowej drogi. Zadziwiająco krótki. Przecież ten osiemnastoletni chłopiec musiał uczyć się wszystkiego od zera. Był pojętnym uczniem. Ale nauczycieli też miałem dobrych. Wymienia ich kilku.

— Jerzy Bałcz przez dłuższy czas był moim mistrzem. On mnie nauczył roboty. Zastępował mi także ojca, który zginął w 1947 roku. Bardzo dużo zawdzięczał też mistrzowi Felicjanowi Myczko. Zapoznał mnie z rysunkiem technicznym i wprowadził w budowę statku. Myczko miał ukończone Technikum Okrętowe w Gdańsku. I chciał się ze wszystkimi podzielić tym, co umiał. Było nas dwóch, którzy chcieli się uczyć. Myczko zostawał z nami po godzinach pracy i tłumaczył. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata. W tym czasie w stoczni pracowało dwa tysiące osób, a inżynierów było dwóch albo trzech, w tym jeden tylko okrętowiec. Więc Myczko, z ukończonym Technikum Okrętowym, był fachowcem nie byle jakim. Wiele nauczył mnie także Stanisław Chodrzyński, który przyszedł do nas ze Stoczni Gdańskiej. Był starszy ode mnie o dziesięć lat i należał do dobrych fachowców. Nie trzymał dla siebie wiadomości i wychował co najmniej kilku stoczniowców.

Mieczysław Dmochowski na pierwszy stoczniowy awans czekał zaledwie rok czasu. A przecież od niedawna był w mieście. Przyjechał razem z matką i młodszym bratem do Szczecina w 1950 roku. Przedtem mieszkał na wsi — ładnie się nazywała: Białe Figle. Wieś należała do gminy Bogutyn w powiecie Ostrów Mazowiecki. Pamięć tych okolic ma dla Mieczysława Dmochowskiego odcień nie zakrzepłej jeszcze krwi. Jego ojciec, Jan Dmochowski, zginął we własnym domu, na oczach rodziny. Został zastrzelony przez bandytów, w biały dzień, dnia 15 października 1947 roku. Czemu zginął i to w dwa lata i sześć miesięcy po zakończeniu wojny? Podczas okupacji należał do partyzantki. Po wyzwoleniu ujawnił się i zdał broń. Został sołtysem. Włączył się w nurt odbudowującego się życia. Czemu zginął? Chyba dlatego, że nie chciał się ukrywać, że włączył się do tworzenia powojennej rzeczywistości.

Najstarszy brat Mieczysława zginął w dwa tygodnie po śmierci ojca, podczas napadu bandy na majątek zajęty przez żołnierzy.

Mieczysław Dmochowski widział śmierć swojego ojca. I słyszał strzały, gdy ginął jego brat. Miał wtedy trzynaście lat i siedem miesięcy.

W 1950 roku opuścił wraz z matką i młodszym bratem wieś Białe Figle. Przyjechał do Szczecina, gdzie mieszkał już jego brat Tadeusz, który osiedlił się tutaj zaraz po wyzwoleniu.

W 1952 roku poszedł do pracy w stoczni. Zależało mu na pieniądzach, zarabiał bowiem dotąd grosze. A musiał utrzymać nie tylko siebie ale i matkę oraz młodszego brata. Ten brat też wziął z niego przykład. Skończył Zasadniczą Szkołę Budowy Okrętów i pracował jako stoczniowiec dziesięć lat; później pływał w PŻM.

Wróćmy do tego pierwszego roku pracy Mieczysława Dmochowskiego w stoczni.

— Jak stanąłem do pracy, budowano „Czułyma". Ja na nim dużo wierciłem. Po ośmiu godzinach pracy na swoim wydziale szedłem pomagać kadłubowcom, żeby przyspieszyć wodowanie statku. Zresztą nie tylko ja chodziłem. W naszej brygadzie było wielu młodych chłopaków, ZMP-owców. Zostawaliśmy po pracy całą brygadą. Zresztą nie tylko myśmy to robili. „Czułyma" budowała cała stocznia. O nadgodziny wtedy nikt nie pytał.

— Pamiętam wodowanie tego statku. To było chyba w grudniu (16 grudnia 1952 roku). Panowało wtedy duże napięcie. Nikt nie wiedział jak on zejdzie na wodę. Wszyscy stoczniowcy przyszli na wodowanie. Każdy chciał zobaczyć. Wodowanie to wzruszający moment. Jak statek ześlizguje się z pochylni, przez człowieka przechodzi dreszcz. Chyba nie tylko ja to odczuwam, ale każdy stoczniowiec. Takich statków jak „Czułym" spłynęło na wodę łącznie czterdzieści jeden sztuk. Budowaliśmy tę serię do 1958 roku. Siódmym statkiem był „Malbork", zbudowany dla Polski, dla szczecińskiego armatora — Polskiej Żeglugi Morskiej.

W 1957 roku podjęto produkcję nowej serii statków o nośności 6000 DWT. Były to pierwsze tej wielkości statki motorowe budowane przez polski przemysł stoczniowy. Serię rozpoczęła „Krynica". Ważną datą był rok 1958. Wtedy rozpoczęliśmy budowę pierwszego dziesięciotysięcznika — „Janka Krasickiego". Po dziesięciotysięcznikach przyszedł czas budowy 12-, 16-, 18-, 24- i 32-tysięczników. Pierwszym 32-tysięcznikiem był m/s „Powstaniec Śląski" zbudowany w 1970 roku. Najbardziej trudna była budowa chemikaliowców, z uwagi na technologię. Początkowo nie mieliśmy doświadczenia w obróbce blach platerowanych. Szybko opanowaliśmy tę sztukę. Ostatnie statki z tej serii szły jak woda. Seria została zakończona dwa lata temu. Teraz budujemy prom olimpijski. Będzie on utrzymywał łączność między Helsinkami a Leningradem — budujemy go dla Związku Radzieckiego.

Mam swój udział w budowie wszystkich tych statków. Jest już ich razem trzysta czterdzieści — mówi z dumą Mieczysław Dmochowski.

Na wręgowni i obróbce profili pracował Mieczysław Dmochowski jako brygadzista do 1962 roku. W tym czasie kończył różne kursy zawodowe i podjął naukę w wieczorowym pięcioletnim Technikum Budowy Okrętów. Musiał wtedy godzić obowiązki w pracy z nauką i obowiązkami rodzinnymi: w 1955 roku ożenił się i — chodząc do technikum — był już ojcem. Razem z nim zaczynało wtedy naukę czterdziestu trzech stoczniowców, a kończyło zaledwie czternastu. Świadczy to dobitnie o tym, że nauka nie przychodziła łatwo. Trzeba było mieć wiele uporu i zdolności, aby uzyskać upragniony dyplom technika.

Po ukończeniu technikum Mieczysława Dmochowskiego mianowano na mistrza. Początkowo pracował w tym charakterze na wręgowni. Potem — już jako mistrz i starszy mistrz — przeszedł wszystkie odcinki pracy na wydziale. Obecnie do jego zadań należy gospodarka farbą, śrutem i narzędziami spawalniczymi. O swojej obecnej roli mówi krótko:

— Muszę wiedzieć, co faktycznie komu potrzeba. I dostarczyć mu to w porę.

Pytam, co się zmieniło przez te dwadzieścia siedem lat jego pracy w stoczni.

— Jak myśmy zaczynali, a teraz jak przychodzą do pracy, to nie ma porównania. Rozwinęła się mechanizacja — transport poziomy i pionowy.

Nie ma porównania tego, co było dawniej, z tym co jest dzisiaj — powtarza pan Mieczysław. Zmieniła się technika łączenia blach. Zamiast nitowania mamy już od dawna spawanie, automatami i półautomatami. „Czułyma" budowano różnie, zakładano nawet pojedyncze blachy. Teraz na naszym wydziale K-1 przygotowuje się sekcje o wadze 50 a nawet i 100 ton.

Rozmowę prowadzimy w nowoczesnych halach oddanych do eksploatacji dwa lata temu. Jesteśmy teraz w hali obróbki wstępnej blach.

Pan Mieczysław wspomina, że kiedyś blachy czyściło się na pochylni piaskiem i malowało się je pistoletami, a nie przy pomocy automatycznej komory.

Przechodzimy do olbrzymiej hali obróbki blach. Ma ona, jak już powiedzieliśmy na wstępie, wymiary 105 na 120 metrów. Po drodze zwiedzamy jeszcze sterownię krzywoliniowego cięcia blach. Procesem produkcyjnym kieruje tutaj kilka stoczniowych kom-

Fot. W. Termanowski, PIOTR WIECZOREK — „Pejzaż nadmorski" — *olej*, z wystawy indywidualnej, Szczecin 1979



Fot. W. Termanowski, ALICJA HAŁAJKIEWICZ — „O k n o" — *olej*, III nagroda w konkursie „Konik Morski '79"



puterów. Na samym oddziale krzywoliniowego cięcia blach jasnym światłem palą się palniki, wykrawające na podstawie komputerowego zapisu różnego kształtu otwory i obrębienia. Pracownik nadzoruje tu tylko przebieg operacji. Następnie zwiedzamy tę część hali, gdzie są spawane płaty.

Uderza spokój i cisza, w jakiej odbywają się w hali poszczególne operacje. Dzisiejsi kandydaci na stoczniowców nie muszą myśleć o tym, czy wytrzymają w stoczni kilka dni czy dłużej. Czy jednak wytrwają w pracy, i to na jednym wydziale aż dwadzieścia siedem lat, tak jak Mieczysław Dmochowski?

Dwadzieścia siedem lat mozolnej odpowiedzialnej stoczniowej pracy. Jak to opisać w jednym reportażu? Więc może jednak nie należało się cofać w czasie, a trzeba było opisywać tylko ten dzień dzisiejszy?

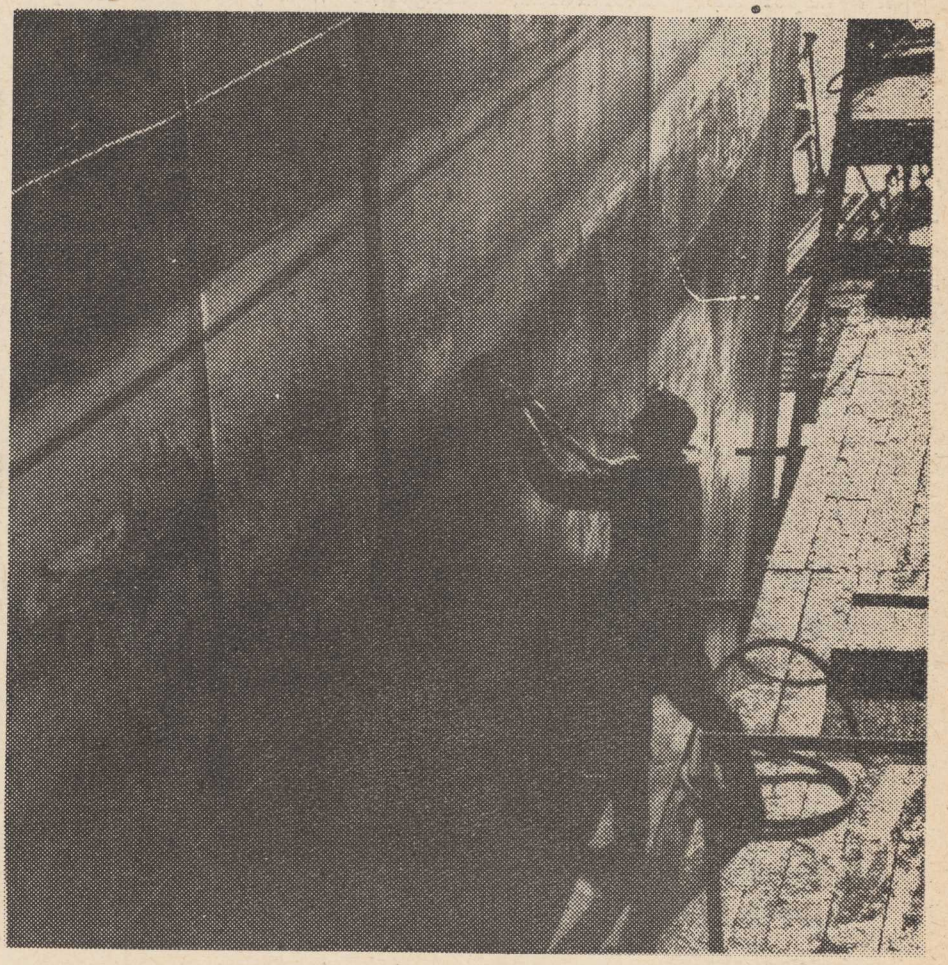
Może więcej prawdy o nim powiedziałyby przyznane mu pamiątkowe odznaki i odznaczenia. Stoczniowa siekierka z napisem „Zasłużonemu mistrzowi kierownictwo Stoczni". I data: „Szczecin, luty 1973". Tę siekierkę otrzymał z okazji wodowania dwumilionowej tony nośności. Tylko kilku stoczniowców dostało takie siekierki. Można by wymieniać odznaczenia państwowe — brązowy, srebrny i złoty krzyż zasługi. I inne wyróżnienia — legitymacja przodownika pracy socjalistycznej (21.07.1966) czy też odznakę brygady pracy socjalistycznej (19.V.1973). Do tego wypadało by jeszcze wspomnieć o srebrnej odznace zasłużonego działacza Związku Zawodowego Metalowców. Nie zapomnijmy też o tym wspomnianym na wstępie wpisaniu do księgi zasłużonych stoczniowców.

To skrótowe wyliczanie nie daje jednak jeszcze pełnej prawdy. O tym chłopskim synu, którego losy rzuciły na szczecińskie ulice. O tym młodzieńcu, który od najwcześniejszych lat musiał pracować na chleb powszedni. O tym człowieku, który w każdej zbudowanej w szczecińskiej stoczni jednostce zostawił kroplę swojego potu.

Ten portret trzeba by wpisać w stal kadłubów przeszło trzystu czterdziestu statków, które przez okres dwudziestu siedmiu lat pracy budował Mieczysław Dmochowski. I które teraz buduje także jego syn, już posiadający dyplom ukończenia Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów. I które już niedługo zacznie budować jego córka, studiująca na Wydziale Ekonomicznym Politechniki Szczecińskiej, jako stypendystka stoczni, specjalizująca się w informatyce.



Fot. S. Pleśniarowicz



KATARZYNA SUCHODOLSKA

Znam i każdy z nas zna pewien opis krajobrazu tak bogaty, tak zbliżony do doskonałości, że niewiele podobnych dałoby się znaleźć w światowej literaturze. Jest w nim mglisty jesienny dzień, a raczej ranek, jest przepych sepii, zieleni i żółci przywiędłych traw, jest granatowa zieleń jodeł na skraju puszczy, są błyski fioletu na zwałach rdzawej ściółki, i są konie przedziwnej zapomnianej maści: cisawe, skarogniade, izabelowate, i kolorowi ludzie, i czas, i granie... Można by jeszcze długo wyliczać szczegóły, długo aż do całkowitego znudzenia, nie osiągając nawet setnej części tego, co osiąga rzeczywisty opis zawarty w trzech słowach: Ogary poszły w las.

We współczesnej literaturze, szczególnie w tej młodej i najmłodszej, z niczym podobnym spotkać się nie da. Opisy krajobrazów straciły na popularności, stają się coraz rzadsze, chociaż wszelkich innych opisywań jest *quantum* bardziej niż *satis*. Można by już zaryzykować twierdzenie, że pejzaż jako żywy uczestnik akcji utworu literackiego — znikł. Teraz wszystko odbywa się w czterech ścianach, na kilku lub kilkudziesięciu metrach kwadratowych podłogi. Przepraszam, czasami jest to chodnik bezimiennej i beztwarzej ulicy, przecinającej nieokreśloną przestrzeń. Dlaczego rezygnuje się z tak znaczącego w ludzkim życiu czynnika? Czyżby człowiekowi współczesnemu przestało być konieczne piękno krajobrazu? Nie tak dawno Mircea Eliade przestrzegał: „*...jeżeli człowiek doby dzisiejszej nie chce pójść w niewolę automatów, musi nawiązać łączność z tym, co stałe, ponadczasowe, co znajduje swój wyraz w symbolu, poezji, micie*". A krajobraz to właśnie mit. Nie ten podstępny, skonstruowany przez jednostkę *ad usum* spraw i sprawek doraźnych, na który Cassierer zaleca spoglądać z wielką podejrzliwością, ale ten stworzony przez wyobraźnię, odczucia i doświadczenie dalekich przodków. A więc mit wspólnego pnia, potężnego drzewa życia, a więc mit o braciach-ziołach i braciach-zwierzętach, o możliwości porozumienia się, o przyjaźni i wierności.

Każdy z nas zaczyna się w jakimś krajobrazie. I to jest ważne. Każdy z nas umrze w jakimś krajobrazie. I to nie jest ważne, bo ten ostatni krajobraz nie miał żadnego wpływu na nasze takie, czy owakie życie. Pierwsze kroki w przestrzeni, ograniczonej ciągle tym samym horyzontem, powolne poznawanie jej różnorakich kształtów, poziomów i barw, konieczność respektowania praw nią rządzących, a także konfrontacja z innymi niż ludzki gatunkami, i co bardzo istotne, przymus akceptowania ich obecności, wszystko to staje się bezwzględną wartością, stałym punktem odniesienia oraz podstawą nie tylko poznawczą, ale przede wszystkim etyczną lat, które mają nadejść.

Jeśli na początku naszego stawania się krajobraz można określić jako pierwszą lekcję, to w wieku dojrzałym nabiera on cech wzorca, sprawdzianu otaczającej rzeczywistości. Właśnie wtedy Heraklitowe *panta rhei* jest opatrywane nieśmiałym znakiem zapytania, gdyż codzienne doświadczenie podpowiada wbrew niemu, że jednak w wymiarze ludzkiego bytowania istnieje coś stałego, że tamten nasz pierwszy krajobraz nie jest ani płynny, ani zmienny, ani nietrwały. Można wchodzić w nurty Huanghe, La Platy, Limpopo i tysiąca innych rzek, ale — tak naprawdę — zawsze to będzie kąpiel w tej jedynej rzece, w której kiedyś tam, kiedyś złapało się pierwszego kiełbia. Można z zachwytem oglądać bajeczne egzotyczne pejzaże, a podświadomie wypatrywać i szukać w nich niepowtarzalnego piękna rdzawo-błękitnego bajorka wśród zgniłej zieleni turzycy, czermieni i sitowia na płaskim mokradle. I rzecz jasna *vice versa*. Wiek dojrzały ma to do siebie, że powraca do miejsc sobie bliskich — oddalonych czasami o tysiące kilometrów — i odkrywa je na nowo, i coraz to stwierdza, że ten malutki skrawek ziemi, który nosi w sobie, zawiera wszystkie widoki i całe różnorodne piękno widziane kiedykolwiek i gdziekolwiek. Nie znaczy to wcale, że człowiek może egzystować tylko w obrębie etalonu, absolutnie nie, znaczy to jedynie, że wszędzie usiłuje doszukać się cech przystawania, które są mu nie-

O KRAJOBRAZIE

zbędne dla uzyskania wewnętrznej równowagi, poczucie bezpieczeństwa, i co tu dużo gadać — szczęścia. Rzucony przez dobry lub zły los gdzieś daleko od miejsca, w którym wyrastał, może nawet nie zdawać sobie sprawy, że o jego dycyzji zamieszkania właśnie w tym, a nie innym osiedlu czy mieście, przesądził znajomy kształt kępy łopianu przy śmietniku, krzak czarnego bzu, który chyłkiem wyrósł przy ślepym mrowiskowcu czy betonowy słup ogłoszeniowy na rogu właśnie tak, a nie inaczej przebiegającej ulicy. Wszystkim chyba są znane owe przypadkowe spotkania z czymś jakby żywcem wyjętym z ich własnego krajobrazu. Nierzadko ślady tych spotkań pozostają w literaturze: „*...raz gdzieś w zakurzonej dziurze w okręgu Mora/pół miasto, pół pustynia, śmietnik i zarośla mesquite/a potem raz w Zachodniej Virginii/błotnista czerwona droga między sadem i zasłoną letniego deszczu/przejął mnie ten nagły dreszcz czegoś znów rosyjskiego, czym mogłem odetchnąć...*" mówi dwujęzyczny, dwukulturowy Władimir-Vladimir Nabokow w swym nostalgicznym, nieco dziwacznym poemacie „An evening of Russian poetry" (tłum. Robert Stiller). I dla nikogo nie jest tajemnicą, jak wielkim dziełom dała początek tęsknota za własnym, za ojczystym krajobrazem, że wspomnę: „*Litwo, ojczyzno moja...*"

A potem, potem mija wiek możności i spodziewań, nadziei i klęski i „*...przychodzą potłumione zielenią otchłanie i dziewczęta, co w oczach dźwigają los nieba — i obłoków nad ziemią srebrne górowanie, i ta wiara, że właśnie tak trzeba, tak trzeba...*", czyli nadchodzi starość. Można by ją podzielić na dwa okresy: na okres wchodzenia w starość i na okres właściwej pełnej starości, kiedy już na dobre utwierdza się owo Leśmianowskie ...tak trzeba, tak trzeba.

Ci, którzy dopiero wchodzą w starość, są jeszcze w kręgu aktywności, bliskich kontaktów z rodziną i w ogóle z ludźmi, więc dzień powszedni dostarcza im dostateczną ilość pożywki, dzięki której mogą istnieć bez sięgania do wspomnień. Dla nich krajobraz staje się terenem nieoczekiwanych odkryć i nowych wzruszeń. Ileż przegapiła zajęta sobą młodość, ileż jeszcze można odrobić! I szlaki turystyczne zaczynają zaludniać się starszymi paniami, i na brzegach byle jakich wód pojawia się mnóstwo siwych wędkarzy, których ryby interesują raczej w znikomym stopniu.

Ludzie bardzo starzy nie pragną już niczego odrobić. Jeśli kilkanaście lat temu byli ogromnie chętni do rozmów i obszernych opowieści, teraz milkną w czyjejś obecności. Rozmawiają tylko ze sobą, mamroczą sami do siebie i tym mamrotaniem wypełniają wszystkie godziny czuwania. Kiedyś konieczny był im słuchacz: pies, kot, dzieciak, czajnik, wszystko jedno kto i co, ale być musiał. Teraz nie potrzebują słuchacza, więcej: słuchacz męczy ich, zmusza do utrzymywania w równym szeregu słów przystających do spraw i obrazów, o których chcieli mówić, którymi chcieli się podzielić. A o te właśnie słowa jest im chyba najtrudniej. Mozolne poszukiwania męczą i kontakt po prostu traci wartość, nie opłaca się. Warto czasami stanąć obok nich, ale poza ciasnym polem ich widzenia i wsłuchać się w kalekie mamrotanie. Z początku odbiera się je jako bezładną zbieraninę niezrozumiałych dźwięków, urwanych sylab, onomatopei, poszczególnych, nie związanych ze sobą słów. Potem, kiedy uda się skupić, powoli, jakby podświadomie zaczyna się rozumieć, łączyć w całość rozproszoną treść. I dochodzi się nagle do wniosku, że oto mamy przed sobą całkowicie przewartościowaną przeszłość i teraźniejszość. Ludzie, zdarzenia, wszystko co bolesne i przykre, wszystko co hamowało i ograniczało zatarło się, stało się bezkształtnym groźnym cieniem na skraju świadomości. Z dotychczasowego niebytu wychynęły, przybliżyły się „*...psy, wierzby, nagłe sady, ćmy białe, ćmy szare i próżnię zapełniają...*" i stają się wytchnieniem.

Krajobraz na początku, krajobraz na końcu. Zawsze łagodny, przyjazny, bezpieczny. Nie da się obejść bez niego.

Aleksander Walczak





Fot. D. Nalewajko

Najbardziej rzetelną informacją odnośnie uznawania określonych wartości jest zachowanie człowieka. Najłatwiej przedstawić słownie własną koncepcję życia, szczególnie wtedy, gdy się zna jego pożądany model. Rzeczywiste koncepcje uznawanych przez mnie wartości... najpełniejszą ilustracją tego jest moja praca zawodowa i społeczna oraz moje życie.

To, co przedstawia dla mnie najwyższą wartość staram się realizować w codziennych działaniach. Są one wynikiem nie tylko akceptowanych, ale i wewnętrznych postaw i wartości, w które zostałem wyposażony, które wykształciłem w sobie dotychczas.

W latach powojennych nie zawsze predyspozycje, zamiłowania i dążenia każdego młodego człowieka były łatwe do realizacji. Bardzo często rządził przypadek. W moim życiu przypadek zrządził, że zamieszkałem na Wybrzeżu, co pozwoliło mi odbyć Kurs Pracy na Morzu, poznać warunki przyszłego zawodu. Ale nie sądzę, żeby wybór ten był poprzedzony li tylko dogłębną analizą zebranych informacji o przyszłym zawodzie. Był on mocno podbarwiony emocjami młodzieńczej wyobraźni, także cichą nutą romantyzmu. Nie wykluczałbym jednak i faktu, że wybór szkoły dawał możliwość otrzymania bezpłatnego umundurowania, zamieszkania i wyżywienia.

Przeżyłem okupację. Wiek upoważniał do młodzieńczych marzeń, ale doznane przeżycia wyczuliły na sprawy codzienne, przypominały o butach, dachu nad głową i chlebie.

Dziś po trzydziestu kilku latach — trudno przypomnieć, który z motywów zdecydował o wyborze zawodu.

Swojej decyzji nigdy nie żałowałem. Uważam, że wybrałem piękny zawód, pozwalający na realizację moich zamierzeń i ambicji. Zresztą jestem w dziwnym układzie, pełnię dwie role zawodowe: marynarza i nauczyciela; nauczyciela i marynarza. Oba zawody wysoko cenię. Jeden z nich pozwolił mi na samorealizację, ukształtował człowieka o określonych postawach, w sytuacjach i warunkach twardych i bardzo złożonych, ponieważ dyktowanych przez żywioł, trudnych do przewidzenia.

Drugi zawód związany jest z niezwykle odpowiedzialnym odcinkiem pracy i dotyczy kształtowania młodych ludzi. Nie trzeba chyba tłumaczyć jak ważna społecznie jest rola nauczyciela, którą traktuję bardzo poważnie.

Nie, to nie specjalne predyspozycje psychiczne, lecz stosunek do swojej pracy, poważne jej traktowanie i należyte poczucie odpowiedzialności...

Obowiązek rektora Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie pełnię niecały rok, trudno więc mówić o pełnych doświadczeniach w tym zakresie.

Dowodzenie jednostką taką, jak Wyższa Szkoła Morska jest zbliżone do dowodzenia statkiem, z tym, że ilość mielizn, sztormów i szkwałów jest odrobinę większa, no i więcej papierów. Poczta na statek dochodzi tylko w portach i to nie do wszystkich — tutaj płynie wartkim, nieustającym strumieniem. No i załoga jest liczniejsza.

Praca rektora to umiejętność ustaleń koncepcji, organizacja realizacji i kontrola. Działalność ta jest czasochłonna i niewątpliwie wpływa na pewne ograniczenia w działalności naukowej. Niemniej, we współczesnych badaniach naukowych nie pracuje się indywidualnie. Pracują całe zespoły ludzkie, których organizacja i podział pracy są niesłychanie ważne. Staram się nie zaniedbywać w rozwoju własnym. Zaobserwowałem większą koncentrację swoich zainteresowań, ich sprzężeń z potrzebami uczelni. Do nich zaliczam kształcenie młodej kadry naukowej w zakresie deficytowej dyscypliny jaką jest nawigacja. Poza tym udzielam się bardziej w naukowej działalności koncepcyjnej niż w rozwiązywaniu szczegółów lub elementów badawczych, których pozbawienia odczuwam najbardziej.

Koncentracja mojej działalności naukowej na zagadnieniach bezpieczeństwa statku zmierza do teoretycznych i praktycznych ustaleń metod bezpiecznego prowadzenia jednostki we współczesnych sytuacjach żeglugowych, eksploatacyjnych i technicznych.

Występowanie awarii morskich jest zjawiskiem nierozerwalnie związanym z uprawianiem żeglugi morskiej. Nie jest w stanie wyeliminować go nawet współczesny postęp w konstrukcji i wyposażeniu statków morskich.

Stopień bezpieczeństwa żeglugi jest wynikiem oddziaływania zespołu czynników, ściśle ze sobą powiązanych i wzajemnie uwarunkowanych.

Z przeprowadzonych przeze mnie badań wynika, że problem bezpiecznej żeglugi wiąże się ze strukturą techniczną flot, strukturą rodzajową kadry pływającej oraz warunkami w jakich odbywa się eksploatacja statków. Jednak na czoło przyczyn wypadków morskich wysuwa się

wina człowieka. Szukając zatem metod prewencyjnych należy przede wszystkim doskonalić kwalifikacje człowieka i prowadzić właściwą politykę kadrową. Nie znaczy to, aby zaniedbywać przyczyny tkwiące w strukturze technicznej flot czy w warunkach eksploatacyjnych statków...

Recepta na wychowanie człowieka morza... to przekracza moje możliwości... to tak, jak trudno dać receptę rodzicom na wychowanie dziecka...

Pod pojęciem wychowania morskiego rozumiem proces świadomego kształtowania tych dyspozycji osobowościowych, które są niezbędne do pracy na morzu. Cele wychowania morskiego nie są oderwane od zadań ogólnospołecznych. Ustalając zamierzony model wychowawczy należy przyjąć, że kształtowanie pożądanych postaw następuje tylko w określonych sytuacjach, które wymagają od człowieka zajęcia jakiegoś stanowiska. Metody i formy oddziaływań wychowawczych ulegają ciągłym przeobrażeniom w zależności od stanu przedmiotu wychowawczego. Kształtowanie postaw osobowych następuje tylko indywidualnie, niemożliwe jest natychmiastowe sprawdzenie efektów wychowawczych, może ono nastąpić po wielu latach w określonych sytuacjach życiowych.

Trudno więc dzisiaj mówić o skuteczności obecnie stosowanego modelu wychowawczego tej uczelni morskiej. Mogę natomiast zapewnić, że szkoła stara się na wszystkich płaszczyznach oddziaływań wychowawczych — w murach uczelni i na statkach — stwarzać takie sytuacje, w których kształtowałyby się pożądane cechy osobowe, niezbędne do pracy na morzu. Wyrażają się one między innymi — w kultywowaniu tradycji narodowych i morskich, w przestrzeganiu ceremoniału i zwyczajów morskich, w stosowanej dyscyplinie opartej o specjalny regulamin wynikający z potrzeb życia okrętowego, a uwzględniający zależności służbowe, polecenia, wyróżnienia i kary, w obowiązkowym umundurowaniu, zakwaterowaniu przygotowującym do życia w kolektywie okrętowym, w obowiązku obecności na wszystkich zajęciach, punktualności, sumienności, w obowiązkowym szkoleniu wojskowym kształtującym cechy dowódcze, dyscyplinę i karność, w ocenie predyspozycji fizycznych i psychicznych, umiejętności analizy sytuacji, podejmowania szybkich i trafnych decyzji...

W zakresie dydaktyki trzeba wykształcić wysoko kwalifikowane kadry, odpowiadające współczesnym i przyszłościowym potrzebom gospodarki morskiej. Rewolucja naukowo-techniczna wykazała niezwykłą dynamikę rozwojową, wpływając na strukturę ilościową i jakościową flot. Obserwuje się znaczny wzrost wielkości i prędkości statków, wysoki stopień automatyzacji urządzeń, zmiany w rodzajach i mocy napędów okrętowych oraz eksploatacyjną specjalizację jednostek morskich. Ten nieodwracalny fakt wywiera podstawowy wpływ na kształtowanie odmiennych potrzeb w zakresie kwalifikacji kadr. Następuje widoczne przewartościowanie wymagań odnośnie wiedzy zawodowej załóg okrętowych, a szczególnie oficerów.

Uczelnia nasza przygotowująca kadry dla floty transportowej i rybackiej, a w niedługim czasie i dla portów, nie może pomijać zaistniałych zmian, a przeciwnie — uwzględnia je i notuje dalsze tendencje rozwojowe. Jest również ich współtwórcą i dostosowuje proces kształcenia do potrzeb współczesnej i przyszłościowej techniki i eksploatacji.

Natomiast w ramach wychowania, o czym już wspominałem, wymagania kwalifikacyjne to nie tylko przygotowanie zawodowe, ale również cechy osobowe człowieka. W żadnym chyba zawodzie nie jest tak konieczny równomierny rozwój cech instrumentalnych i kierunkowych.

W życiu i pracy ludziom na statku towarzyszy poważny wysiłek umysłowy, fizyczny i psychiczny. Wynika to ze złożoności problemów ich pracy zawodowej oraz sytuacji morskich trudnych do przewidzenia, często niepowtarzalnych, ponieważ dyktowanych przez żywioł. Od podstaw politycznych i moralno-etycznych załóg zależy nie tylko opinia cudzoziemców o naszym społeczeństwie i kraju, a także układ stosunków międzyludzkich w izolowanym środowisku jakim jest statek. Realizacja zadań eksploatacyjnych dokonywana jest z dala od kraju i najbliższych, często w trudnych warunkach pogodowych i klimatycznych.

Szczególna zatem rola przypada oficerom, kadrze dowódczej, której przygotowania zawodowe i polityczne, postawa etyczno-moralna oraz odporność psychofizyczna w decydujący sposób wpływa na wypełnianie ról zawodowych przez załogę. Od właściwego przygotowania oficerskich kadr okrętowych zależy poziom eksploatacji naszych jednostek morskich, bezpieczeństwo żeglugi, załogi, statku, ładunku...

Morski i eksploatacyjny charakter uczelni nakreśla kierunek działalności naukowo-badawczej koncentrujący się na problemach nawigacji morskiej, eksploatacji statków transportowych i rybackich, technicznej eksploatacji siłowni okrętowych, taktyki i techniki połowów.

Otwarcie kierunku „eksploatacja portów" określi w przyszłości potrzebę szerszego podjęcia tematów z tego zakresu, mimo że w tym kierunku prowadzimy już od lat badania z teorii regulacji ruchu, sprzężone z tematyką nawigacyjną. Chciałbym podkreślić, że w WSM w Szczecinie działalność naukowo-badawcza uwarunkowana jest potrzebami gospodarki morskiej, a szczególnie Pomorza Zachodniego oraz rozwoju naukowego kadry dydaktycznej uczelni.

Żadna ze znaczących konferencji i spotkań naukowych w kraju, które odpowiadają profilowi zainteresowań uczelni, nie odbywa się bez udziału naukowców Wyższej Szkoły Morskiej. Mało, WSM w Szczecinie była sama organizatorem kilkunastu seminariów naukowych o charakterze międzynarodowym i ogólnopolskim. Nie liczę tutaj spotkań o charakterze resortowym. Partnerami tych konferencji były znaczące państwa morskie, a w ramach kraju poważne uczelnie techniczne i uniwersytety oraz Komitety PAN.

Ażeby nie być gołosłownym wspomnę o głośnym sympoziom nt.: „Wykorzystanie sztucznych satelitów Ziemi w nawigacji i kartografii", które zorganizowała w 1976 roku nasza uczelnia z Komitetem Geodezji PAN. Drugim — znaczącym w kraju i za granicą — było zorganizowane przez nas w 1974 roku sympozjum nt.: „Zagadnienia prawne rybołówstwa dalekomorskiego", itp.

Nasi naukowcy uczestniczą w konferencjach okrętownictwa, eksploatacji statków i siłowni okrętowych, nawigacji, meteorologii i oceanografii, prawa morskiego, towarzystwa ochrony środowiska i rybołówstwa morskiego — nie tylko w kraju, ale i za granicą. Sami także występowali z dobrze przyjętymi referatami w ZSRR, we Francji, w NRD, w RFN, w Bułgarii, a nawet w Japonii.

A szczerze mówiąc — nie każde sympozjum interesuje naszą uczelnię. Nie jesteśmy ilościowymi kolekcjonerami... Ważna jest jakość i przydatność tych spotkań w rozwoju młodej uczelni i jej kadry...

Satysfakcję sprawia mi każda działalność, która przynosi oczekiwane efekty.

Zauważyłem, że stopień zadowolenia zależy u mnie od wysokości przeszkód, które miałem do pokonania. Osiągnięcie celu i założonych wyników, które przyszły z większym wysiłkiem, bardziej cieszy. Nie znaczy to, że brak wyników szybko mnie załamuje.

Teresa Truszkowska

Ślub

Jeszcze jedna próba szczęścia —

Może tym razem
wojna nie wybuchnie —

Może dom się nie spali
a rzeki nie wystąpią z brzegów —

Na nieprzewidziane okoliczności
odpowiadają wyzwaniem —

Ich szczęście nie wspiera się
na niczym pewnym —

Lista katastrof jest długa
Ich bezbronność kompletna —

Ciągną losy —
Ich ufność wrasta korzeniami
w niebo

Na odwrocie

Na odwrocie tej ściany
ktoś wypisał wulgarne słowo

Na odwrocie księżyca jest raj
Biblia o nim milczy

Na odwrocie snów
list który zgubiłam w dzieciństwie

Na odwrocie tej kartki
nie dokończony wiersz

Na odwrocie życia
czyjś podpis nieczytelny

Na odwrocie lustra
brak twarzy

Wielkie usta
otwarte w zdziwieniu

Bezsenność

Rozpalone powieki
Piasek w który świadomość
zagłębia się powoli—

Dom zamknięty milczeniem
Słowa zostały na zewnątrz

Tu wnętrze ciszy narasta
w każdej chwili
bezgłośnie od spodu

Rozgałęzia się
Przebija sufit

Sączy się niewidzialność
w ciemności

Przylega cień do cienia
odbicie do odbicia

Umysł nie może
wysnuć swego snu—

Okno

Nie ma własnego wnętrza —
Dno zatraciło się
w niewyczerpalnym widoku —

Jego horyzontem jest
zasięg czyjegoś spojrzenia
To co widzialne jest tam
dobrze ukryte

Przesącza niedostrzegalnie
każdy zarys i barwę —
Odmienia się
na tyle sposobów
i zawsze odzyskuje
pierwotną naturalność
niczym nie zamąconą —

Nie przekształca
na swoje podobieństwo —
Nie dodaje nic od siebie
i nic nie pochłania —

Zygmunt BORAS

Refleksje o morskiej świadomości polskiej szlachty w XVI–XVII w.

Z uwagi na szczupły zasób źródeł trudno badać problem świadomości morskiej Polaków w okresie średniowiecza, lecz w epoce nowożytnej, gdy Bałtyk bardziej należne zajął miejsce w dziejach narodu, sprawy te dadzą się łatwiej uchwycić.

Przez świadomość morską rozumieć będziemy tu wszelkie przejawy doceniania roli spraw morskich tak w życiu społecznym, państwowym jak i w życiu codziennym, w naszym przypadku przeciętnego szlachcica polskiego w XVI czy w XVII wieku. Tak rozumiana świadomość morska jest tu pojmowana jako część składowa świadomości państwowej a zarazem historycznej. W zakres naszych źródeł wejdą nie tylko dzieła polemiczne, propagandowe, traktaty naukowe, czy mowy sejmowe, ale także opinie wyrażane w pamiętnikach, w listach prywatnych i podobnych materiałach.

Na wstępie wysunąć należałoby pytanie czy szlachta polska zdawała sobie sprawę z roli dostępu do Bałtyku dla państwa polskiego. Generalnie na to pytanie trzeba by udzielić odpowiedzi negatywnej. Świadczą o tym niemal wszystkie sejmy polskie, na których tak trudno było o uchwały zabezpieczające realizację szerszych programów polityki morskiej. O brak zrozumienia problemów morskich rozbijały się niejednokrotnie bardzo szeroko pomyślane próby stworzenia polskiej siły na Bałtyku. O niedocenianiu wagi morza świadczyć mogą także liczne utwory poetyckie tak bardzo wpływowych na opinię mas szlacheckich autorów, jakimi byli: Mikołaj Rej, Jan Kochanowski, jak i ważne traktaty naukowe chociażby takich postępowych myślicieli, jak: Andrzej Frycz Modrzewski, konclerz Jan Zamoyski.

Z czego to wynikało, jakie były przyczyny, że nawet w tym złotym wieku w okresie potęgi państwa polsko-litewskiego tak lekceważono sobie kwestię morską i niewielką przywiązywano wagę do spraw obrony wybrzeża i siły zbrojnej na morzu? Trudno na to pytanie dać jednoznaczną odpowiedź. Przyczyn było wiele, ale z pewnością jedną z nich była ogólna świadomość społeczno-historyczna naszego narodu szlacheckiego. Szlachta polska uważała bowiem, że polski ustrój, polska złota wolność jest tak odmienna od obcych nawet zachodnich wzorów ustrojowych, iż nie należy — tak jak to pisał Starowolski — *„brać na przykład innych narodów"*. W szerokich masach szlacheckich ugruntowała się myśl i przekonanie o niezmienności polskiego charakteru narodowego.

W miarę rozwoju historycznego wytworzyło się przeświadczenie, że Polska jest otoczona, jako przedmurze chrześcijaństwa, jakąś specjalną opieką opatrzności. Polska bowiem nie miała żadnych naturalnych granic, z wyjątkiem granicy południowej, była krajem olbrzymim i równinnym. Była zatem łącznikiem i pomostem między narodami. Jej bezpieczeństwo opierało się na odwadze i rycerskości szlachty, a nie na fortecach czy też granicach naturalnych. Szlachta polska była nawet przekonana, że jeśli Bóg nie dał naszemu narodowi obronnych granic to tylko dlatego, aby Polacy ustawicznie i wciąż musieli ćwiczyć się w krwawych bojach za wiarę i hartować swą odwagę. Nie darmo w początkach XVII wieku pisał Piotr Grabowski *„w samych rękach naszych i w piersiach i gardłach munitia nasza: to nasze góry, nasze wody, to zamki, mury i wały polskie"*.

Nie inaczej argumentuje Sarbiewski pisząc, że *„jednych chronią morza, drugich Alpy, innych Pireneje, my ludzie równin zawsze mieliśmy tylko piersi nasze za osłonę"*. Stąd też tak trudno było przekonać szlachtę do budowy twierdz na granicach państwa czy też na morskim wybrzeżu. Bo po cóż budowa kosztownych twierdz i kosztowne ich utrzymanie skoro cały naród szlachecki zawsze może powstrzymać wroga swym męstwem i umiejętnością władania bronią? Stąd też rodzi się kult konia i konnicy. Jako związani z ideą przedmurza chrześcijaństwa Polacy, sądzono, są ciągle narażeni na atak, ale też zawsze wspiera ich opatrzność. Stąd właśnie rodziła się świadomość wyższości polskiego szlachcica-rycerza nad obcym zaciężnym żołnierzem i wyższość narodu szlacheckiego nad kupieckimi narodami Anglii, Niderlandów czy Niemiec. Szlachta polska, która sama sobie wybierała władców, z pewnością patrzyła z politowaniem na sąsiadów, gdzie poddani nie dysponowali pełnią władz politycznych. Dobra koniunktura gospodarcza, wywóz produktów rolnych na Zachód, rodziły poczucie przesadnej dumy, że Polska jest spichlerzem narodów, że *„żywi i utrzymuje znaczną część Europy"* jak twierdził Łukasz Opaliński. Napływające z różnych stron kontynentu wieści o srogich wojnach i okrutnych domowych kłótniach stawiało w oczach szlachcica wyżej jednak demokrację szlachecką w Polsce. Polski szlachcic podróżujący po krajach zachodnich nie ciekaw był ich systemów politycznych, bo te z góry były skazane na przegraną w porównaniu z Polską Rzeczypospolitą. Jeśli go coś zainteresowało to raczej technika budowy twierdz czy nowa taktyka wojenna, a nie doktryny prawno-ustrojowe, w których polski szlachcic zawsze węszył absolutyzm, czy makiawelizm. Sam zaś jako Polak nie chwalił się Kopernikiem, Fryczem Modrzewskim czy Kochanowskim, a raczej z dumą przedstawiał siebie i swój kraj jako przedmurze chrześcijaństwa i żywiciela innych narodów. Z przeświadczeniem o spełnianej roli szlachcic polski obnosił swe sukcesy w walkach z Moskwą czy Turcją. Zresztą te elementy były bardziej widoczne na bieżąco, natomiast dla oceny wkładu w kulturę ogólnoludzką trzeba odpowiedniej perspektywy czasowej. Z tego punktu widzenia to, co szlachcic polski z pewnością dostrzegał i z czego był dumny, to była na pewno tolerancja religijna, gdy widział na Zachodzie płonące stosy z heretykami lub z lękiem przeżywał grozę wojen religijnych we Francji, czy w Niemczech. Wielonarodowa i wieloreligijna Rzeczpospolita obojga narodów z samej natury rzeczy musiała się zdobyć na tolerancję tak religii jak języka i obyczajów. Odnosiło się to do wszystkich grup narodowościowych: do Rusinów, Niemców, Tatarów, Żydów czy Szkotów i innych przybyszów.

Stopień świadomości morskiej przeciętnego szlachcica w XVI wieku dobrze odzwierciedlają wynurzenia Mikołaja Reja, który o morzu tak pisał:

O SZWEDZIE, O DUŃCZYKU

„Tam nie umiem mówić,
Bom nie bywał na morzu, nie chcę śledzi łowić.
Tum jeno po sadzawkach polskich trochę pływał,
A na morzu bodaj tam nikt kto dobry nie bywał."

Ta świadomość przechodziła z pokolenia na pokolenie. Polska szlachta, podobnie jak szlachta innych narodów, kultywowała poczucie swego statusu. Nie darmo w swych genealogiach, kto tylko mógł, wyszukiwał dalekich przodków i nawet sięgano aż do rzymskich rodów. Nawet średnia szlachta, wykorzystując nieraz obce brzmienie nazwiska, sztukowała swój rodowód powołując się niekiedy na rzymskich historyków. Przy tego ro-

dzaju snobizmie nietrudno zrozumieć, że w świadomości historycznej morze i jego problemy nie znajdowały prawie żadnego odbicia, a raczej ugruntowany był pogląd wyrażony przez poetę S. Klonowica:

„Miła Polska na żyznym zagonie,
Zasiadła jako u Boga na łonie,
Może nie wiedzieć Polak co morze,
gdy pilnie orze".

Morze było synonimem czegoś odległego i dla wysoko urodzonego obywatela zupełnie obce. Mogło co najwyżej służyć jako droga wygodna dla spławu zboża. Dlatego też Klonowic pisze:

„Jeno wżdy morzu daj pokój
a w Wiśle frachtuj zdrów."

I tutaj jest sedno sprawy. Morze należy wykorzystać jako szlak handlowy wiodący do bogatych i ludnych krajów, ale samemu po nim pływać czy kierować statkiem to dla szlachcica polskiego nie byłoby godne polecenia.

Łukasz Opaliński wprost przestrzega swych współbraci herbowych:

„Nie puszczaj się na morze jeślić
roli przywykł,
insza kmieć, insza żeglarz,
nie społem to chodzi,
a maszt żagiel i kotew krzywą
nich ci mają,
co nad słonym Neptunem
od pieluch mieszkają."

Bo też w tym czasie żeglugą zajmowali się jedynie mieszczanie. Służba na morzu była ciężka i bardzo ryzykowna, zważywszy stan techniczny ówczesnych jednostek pływających i całej sztuki nawigacyjnej. W krajach zachodnich przeludnienie i brak żyznej ziemi zmuszały niekiedy i szlachtę do imania się tych zawodów morskich w Polsce na morzu, gdy zaszła potrzeba pływali, co najwyżej chłopi kaszubscy, bo nawet uboga szlachta kaszubska stroniła od służby na okrętach. Nie tyle szlachtę polską od służby na morzu odstręczał strach, chociaż S. Klonowic o nim też pisze: *„Strach pomyśleć o morzu głębokim"*, ile powstrzymywał ją raczej lęk przed uszczerbkiem na honorze. Służba na morzu była tym dla polskiej szlachty, czym walka na polu bitewnym bez konia. Służyć w piechocie nie szlachecka to rzecz, a raczej chłopska. Podobnie i na morzu. Kolebanie się na łupinach po burzliwym akwenie zawsze szlachtę przerażało, chociaż z pewnością ci co Bałtyk oglądali, podziwiali tak jak Jan Kochanowski jego uroki:

„Gdzie brzegi bursztynem świecą,
gdzie fale grają połyskując złotem"

wtórował mu w tym Klonowic:

„Z brzegu na morze patrzeć i na
szumne wały
Piękna to rzecz, o pomorskie gdy
łamią się skały"

Tak zatem mimo obszernego wybrzeża, mimo portów znamienitych i miast bogatych wiedza o morzu społeczeństwa polskiego, a polskiej szlachty w szczególności, była niezwykle uboga. Szlachta przez stulecia zrośnięta z życiem na lądzie i z pracą na roli, stroniła od morza. Nie znała go z autopsji, a jedynie z fantastycznych opowiadań. Głuche wieści krążyły o bezludnych, wodnych przestworzach. Morze kojarzyło się w świadomości szlacheckiej ze straszliwymi burzami, z rozbitymi okrętami i morskimi potworami. Była to wiedza wyrosła z fantazji i lektury utworów starożytnych. Z morzem łączył się zespół wyobrażeń odstraszających i otaczał go zabobonny lęk.

Większość nawet tych co o morzu niekiedy wspominali, nigdy go na oczy nie widzieli, jak chociażby nasz Mikołaj Rej, gdy napomknął coś o morzu, to odtwarzał starożytne fikcje literackie pisząc: *„...morza ony srodze burzliwe, wieloryby po nich pływające, syreny śpiewające, krokodryły albo smoki latające."*

Morze i wszelkie sprawy z morzem związane, stanowiły w świadomości ogółu szlachty polskiej świat egzotyczny, pełen grozy i stąd rodziła się niechęć i obojętność. Skoro zaś przyszła konieczność, że ten, lub ów musiał siąść na chybotliwą łupinę, jaką w owym czasie był żaglowiec, to musiał się czuć jak więzień lub wygnaniec i w ustawicznym starchu płynął ciągle Bogu się oddając w opiekę, a kiedy już szczęśliwie dobił do celu i wysiadł, to z pewnością poprzysięgał, że póki żyć będzie na nic podobnego się nie odważy.

Lęk przed morzem i przed jego żywiołami przebija także z poematu Borzymowskiego „Morska nawigacja do Lubeka":

„Sroższe jest morze, niżeli bój
krwawy... Pod macedońskim
nie wszyscy żelazem giną,
a w morzu wszyscy toną razem.
Rzadko kto z sztormów port miły
obłapi
i to ze szczęściem gdy deskę obłapi"

Autor sam taki sztorm przeżył i tak o nim pisze:

„Tak jedni mówią a drudzy padają
Z bojaźni na wznak ledwie duszę
mają
w oziębłym ciele, drudzy się
żegnamy
Z sobą i piersi płaczem polewamy
...Więc tu już patrzym: czyli śmierć,
czy życie
Wy srogie wody na nas obrócice?"

Można zatem ogólnie powiedzieć, że w obrazie Polski XVI czy XVII wieku szlachcica nie ma miejsca na bezmiar falującego morza. Szlachtę nie pociąga ani jego groza, ani jego piękno. W świadomości jej natomiast głęboko tkwi owa żyzna ziemia falująca dorodnym kłosem i oracz nad pługiem pochylony. Ten właśnie ideał był pieczołowicie pielęgnowany w naszej literaturze pięknej tych czasów. W takiej atmosferze wyrastały pokolenia i taka była rodzima tradycja. Ten właśnie schemat, a raczej ta ideologia, wyznacza zasadnicze linie nastawienia i obraz świadomości szlachty polskiej tego czasu. Lądowa ideologia była spuścizną po wiekach wcześniejszych. Wystarczy przejrzeć choćby tylko herbarze polskie, wszelkie te godła i zawołania. W nich także, jak w lustrze można znaleźć odbicie świadomości szlachty polskiej i umocnić się w przekonaniu jak bardzo ta świadomość i ta ideologia była antymorską i lądową. Przez wieki całe szlachcic na zagonie był plecami odwrócony do Bałtyku. A jeśli już przyszło mu spojrzeć w tę stronę to nie na jako integralną część Rzeczypospolitej, jak to było np. w królestwie duńskim czy szwedzkim, a jedynie dla oczyszczenia sobie drogi, czy też szlaku handlowego. Dlatego też Bałtyk nie jawił się jako wielkie polskie wybrzeże, a raczej starania szły o zachowanie dogodnego portu dla wywozu nadwyżek produkcyjnych szlacheckiej gospodarki folwarcznej i leśnej. Przeglądając herbarze Paprockiego, Niesieckiego czy innych autorów łatwo skonstatować, jak nikły był tutaj wpływ ideologii morskiej, jak słabo w świadomości szlacheckiej tkwiły morskie realia. Wielki naród i wielkie państwo morskie mimo bliskich i intensywnych kontaktów morskich, w świadomości swych obywateli I kategorii, nie wytworzyło żadnej morskiej ideologii. Wśród setek i tysięcy herbów szlacheckich darmenie byśmy szukali pojęć i symboli morskich. Nawet jeśli jest korab, to wcale nie ma on związku z morzem, a również podpisujący się herbem Łodzia nie mieli żadnych powiązań z Bałtykiem.

Zygmunt BORAS

Natomiast wśród tak wielkiej liczby herbów pełno znaleźć można symboli nawiązujących do lądowej ideologii szlachty polskiej.

Mimo tak nikłych przejawów świadomości morskiej wśród szlachty polskiej nie można jednak twierdzić, że nasza ideologia państwowa i narodowa nie miała w sobie pierwiastków morskich i do morza nie nawiązywała. Obie ideologie, tak lądową jak i morską, śledzić możemy od zarania naszej państwowości od Piastów do Wazów, z tym, że teoretyczne sformułowanie ideologii morskiej nastąpiło dopiero w drugiej połowie XVI wieku.

Ideologia morska, choć występująca niewątpliwie w świadomości Polaków w średniowieczu, jest, jak stwierdziliśmy, trudna do uchwycenia. Dopiero za ostatniego Jagiellona elementy morskie w świadomości zaczynają przybierać większe wymiary i stawać się możliwym do uchwycenia i bardziej wyrazistym elementem szlacheckiej świadomości XVI wieku.

Przyczyny tych przeobrażeń tkwią w wielkich wydarzeniach politycznych. Do takich należą bez wątpienia wojna 13-letnia i pokój toruński, na skutek którego Polska odzyskała Gdańsk wraz z Pomorzem Gdańskim i ujściem Wisły. *Wam Turków i Tatarów"*. W tej sprawie bowiem szlachta była w pełni świadoma, że dostęp do Bałtyku był drogo nabyty, że *„krew, kości i ciała nasze napoły z tamtą ziemią pomieszane jest"*.

W miarę upływu czasu, zwłaszcza w okresie panowania króla Zygmunta Augusta rozwijają się dalsze elementy świadomości morskiej szlachty chociaż nie są to idee przenikające do liczniejszych jej kręgów. Można stwierdzić, że coraz większy odłam grupy rządzącej rozumie, lub stara się zrozumieć ideę monarchy wyrażoną w haśle walki o dominium Maris Baltici.

Kto po raz pierwszy sformułował ten program? Nie wiemy. I to nie jest tak ważne. Daleko istotniejszym jest fakt, że po raz pierwszy w dziejach Polski rodzi się prawdziwa ideologia morska i chociaż obejmuje ona wąski krąg polityków i senatorów, to jednak dotyczy ludzi stojących za sterem nawy państwowej, bo w tym kręgu spotkać można obok króla także wybitnych senatorów takich, jak: Jan Kostka kasztelan gdański, Marcin Kromer, późniejszy biskup warmiński i człowiek wielkiej nauki. W kręgu tym spotkać możemy także Stanisława Hozjusza, opata oliwskiego Kaspra Geschkaua, a także głównego propagatora i ideologa idei morskiej Dymitra Jana Solikowskiego. Ta grupa jest niezwykle czynna, wciąga do swej działalności nie tylko senatorów i ludzi pióra, ale także przedsiębiorców i bankierów jak np. braci Loitzów Stefana i Jana, i kilku poważniejszych kupców gdańskich, a wszystkim tym zapaleńcom i entuzjastom morza przewodzi sam król Zygmunt August.

Ludzie ci, w pełni rozumiejący zaniedbania Polski w polityce morskiej, zabiegali o odrobienie zaległości i przyspieszenie zmian i uwzględnienie w polityce państwa także ważnego wycinka morskiego. Sprawa Inflant wywołana upadkiem Zakonu Kawalerów Mieczowych przyspieszyła krystalizację programu morskiego w Polsce i pod jej wpływem wykształciła się wspomniana ogólna idea „Dominium Maris Baltici". Odtąd już przez całe prawie sto lat problem morski nie zejdzie z obrad sejmu i choć nadal słaba świadomość morska szlachty polskiej będzie poważną przeszkodą w realizacji ważnego programu politycznego to jednak istotną sprawą był fakt, że władza państwowa i najwyższe czynniki, a także w pewnych momentach i ogół szlachecki coraz bardziej zdaje się rozumieć potrzebę polityki morskiej i konieczność utrzymania sił militarnych na Bałtyku. Ostatnim akordem w ciągłości tej ideologii morskiej Polski szlacheckiej stanie się Konstytucja 3-go Maja.

Przez całe stulecia nie można było rozwikłać niebezpiecznej sprzeczności, że wielki naród i wielkie państwo, posiadające olbrzymi pas wybrzeża Bałtyku, nie miało ani floty, ani własnych portów, a ogół społeczeństwa szlacheckiego nie uświadamiał sobie, jakie stąd mogą grozić niebezpieczeństwa.

Nauczeni doświadczeniem Polacy w okresie krótkiego dwudziestolecia międzywojennego starali się nadrobić zapóźnienia i zaległości w polskim władztwie nad Bałtykiem i stąd zrodziła się potrzeba silnej propagandy morza, powstała idea budowy własnego portu w Gdyni. Dziś po drugiej wojnie światowej skoro znowu odzyskaliśmy szerokie wybrzeże Bałtyku, tym bardziej musimy zwrócić uwagę na wykształce-

Refleksje o morskiej świadomości polskiej szlachty w XVI–XVII w.

W świadomości szlachty polskiej nastąpiły poważne przemiany. Zrodziło się poczucie łączności interesu własnego z interesem państwowym wyrażającym się w posiadaniu ujścia Wisły i władzy nad portem gdańskim. Daleko posunięta autonomia Prus Królewskich szkodziła interesom nie tylko Rzeczypospolitej, ale także przynosiła straty szlachcie polskiej. Ogół szlachecki poczyna w pewnym stopniu doceniać wartość handlu morskiego, a zatem także wartość morza. Prusy były pomostem łączącym poszczególne folwarki szlacheckie z portem gdańskim i dlatego szlachta zgodna w swej polityce tak samo mocno obstaje za inkorporacją tych ziem do Korony, a gdy wreszcie to zrealizowano w roku Unii Lubelskiej (1569) opinia szlachecka pilnie baczy, aby Gdańsk nie zerwał więzów łączących go z państwem polskim. Skoro zatem Habsburgowie przy pomocy papiestwa próbowali rozluźnić związki Prus z Polską na dworze królewskim powstał szum i wzburzenie, a agent cesarski tak donosił swemu władcy: *„pełno o tym na dworze, pełno na biesiadach i w świątyniach"*. Zaś sekretarz królewski Krzywiński wprost oświadczył, że gdyby cesarz chciał orężem dochodzić swych praw do Prus, wówczas *„podburzylibyśmy wpierw przeciw*

nie świadomości morskiej w szerokich warstwach społeczeństwa polskiego. Mamy pogłębić tę świadomość zarówno u osób dorosłych jak i u młodzieży. Winniśmy szerzyć kult morza, dokumentować ścisłe związki Polski z Bałtykiem, wykazywać jak ich brak rodził przykre konsekwencje dla naszej narodowej historii. Rzecz zrozumiała, dziś nam łatwiej o to niż przed wiekami, ponieważ przy obecnej technice, możliwościach komunikacyjnych, transporcie i rozwoju turystyki trudno zaniedbywać, aby wykształcić w ny do Bałtyku. W czasie gdy każdego lata miliony naszych rodaków wędrują po jego wybrzeżach, łatwiej nam szerzyć zrozumienie roli morza. Mimo wszystko niczego nam nie wolno zaniedbywać, aby wykształcić w społeczeństwie polskim przekonanie, że jesteśmy państwem morskim. Temu też celowi ma służyć powyższy artykuł, który ma ułatwić zrozumienie znaczenia świadomości morskiej w historii narodu i państwa.

JERZY ARKADIUSZ BIELECKI

obcowanie

Rzeką statkiem biegnącą do morza
uciekasz ze spalin miasta
w słoności sierpnia
delektować się złotem słońca
rozlanym na prześcieradle plaży

Jest w tobie kamieny ciężar morza
który jak narkotyk płynący we krwi
przypomina o głodzie oddechu fali

Jak morze samotnie wsłuchujesz się
w wiatr bijący ciężkimi skrzydłami
wsłuchujesz się w jego dzwony
w przypadkowo znalezionej muszli

Nocą obserwujesz przepływające gwiazdy
stygnące na granicy stopienia dwóch oceanów

W bramach zamglonego świtu witasz
budzące sę słońce
w lustrze załamanej fali dostrzegasz
swą obecność
w ciągłej tęsknocie
niedosytu bursztynowego jodu

ostatnia brzytwa fali

Wiosną plaża jest samotna
tylko ostra brzytwa fali dotyka
swym ostrzem rybacką łódź

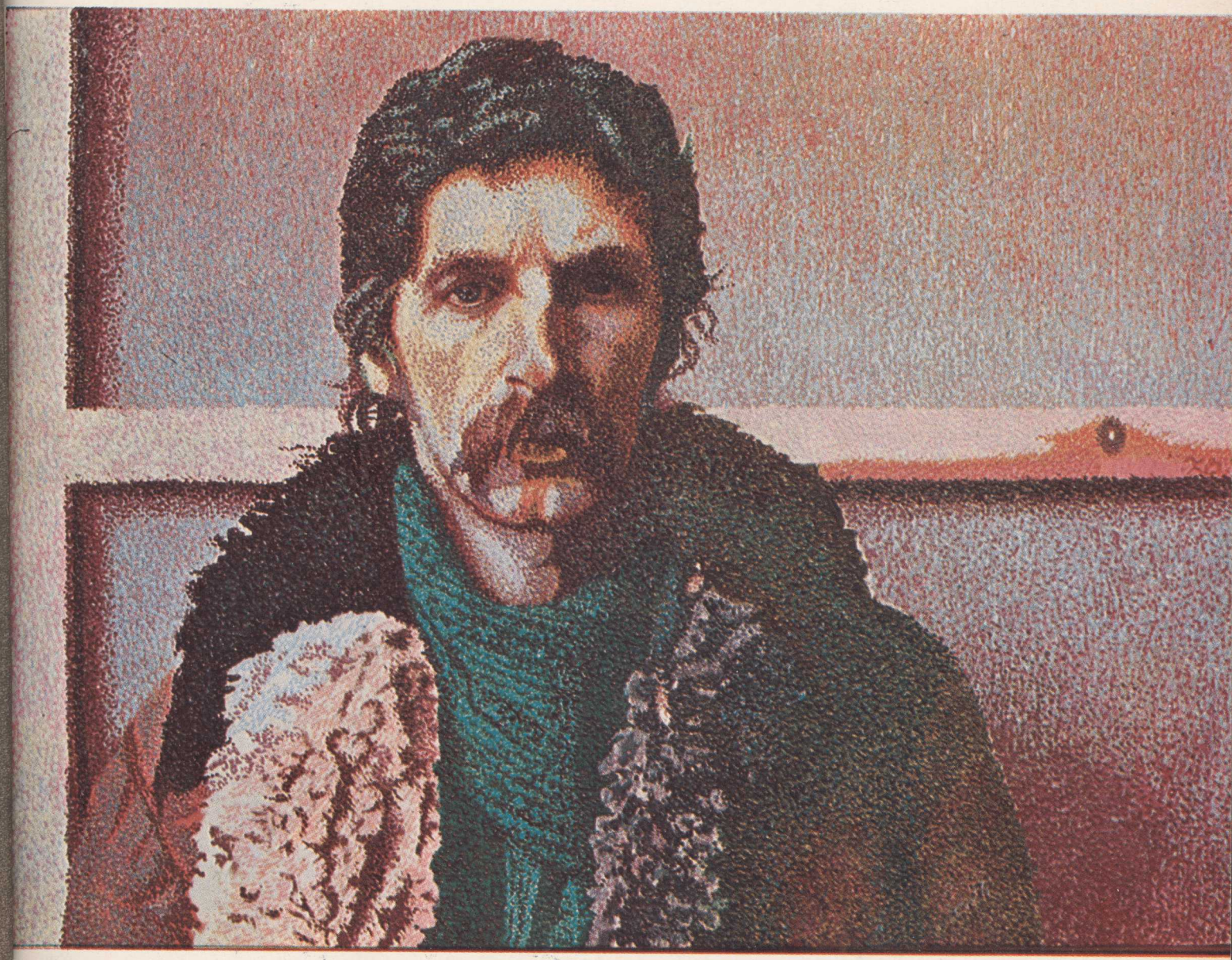
Skrzydlaty wiatr w krzykach mew
nadciąga pierzem chmur

Wrzące morze goni aż do czaszy zatoki
uciekających rybaków
i wraz z kumplem wiatrem w pijanym uniesieniu
wali się ryczącą falą na piaszczysty brzeg

Ale już wyczuwa się zbliżanie lata
w pędzie pierwszych wczasowiczów
zgłodniałych widoku łagodnego morza
orzeźwiającego bursztynu jodu
spieczonego słońca które pozostawi swój ślad
na skórze dwutygodniowego pobytu

Wyczuwa się zbliżanie lata
jeszcze tylko
ostatnia ostra brzytwa fali tępi swe ostrze
o piaszczysty brzeg plaży
jakby nie dając wiary w nieuchronną
bliskość sezonu

ŻBIGNIEW KARPIŃSKI — „Portret artysty malarza Grzegorza Zyndwalewicza" — *olej*, VIII Prezentacja Malarzy Krajów Socjalistycznych, Szczecin 1979



Fot. Z. Ryngwelski



HORIA BERNEA — „O b r a z y I — VIII" — *olej,* VIII Prezentacja Malarzy Krajów Socjalistycznych, Szczecin 1979

ARTUR DANIEL
LISKOWACKI

★

Motyw portu w polskiej poezji współczesnej

cz. I.

Pisano już wielokrotnie w rozmaitych ujęciach o literaturze marynistycznej i choć poezja w tych opracowaniach znajdowała z reguły mniej miejsca niż proza, to przecież trzeba powiedzieć, że morze jako temat liryki, przestało już być traktowane niczym margines wyobraźni twórczej. Morze stało się tematem jeśli nawet nie zupełnie samodzielnym, to w każdym razie do tej samodzielności zdolnym. Odrębność tradycji, specyfika doświadczeń, charakter przeżycia o wielu bardzo różnych przesłankach emocjonalnych, uczyniły zeń nie tylko zbanalizowany i oleodrukowy w końcu symbol tajemniczego piękna, ale i trudny, wieloznaczny motyw literacki. Motyw prowokujący swą formalną i treściową stabilnością, a jednocześnie kuszący różnorodnością interpretacji.

Kilka antologii, które ukazały się w ciągu ostatnich lat (m. in. niedawno — „Morze u poetów" w oprac. Z. Jankowskiego), dokumentują doskonale właśnie ową pozorną sprzeczność. O morzu piszą w nich poeci tak różnych orientacji, iż śmiało można przyznać, że liryka marynistyczna stanowi nie tylko domenę zbanalizowanej tematyki słonych fal, ale i rodzaj przeżycia o trudnej do odtworzenia w innych warunkach skali. Co więcej — stałość motywu jest tu dla poetów wyborną okazją do zaprezentowania własnej oryginalności, zarówno od strony poetyki jak i światopoglądu. Identyczność motywu przy rozmaitości jego potraktowania stwarza przecież klimat wszechstronnie pogłębionej analizy.

Ale nie samo morze jako motyw przewodni, w najnowszej poezji jest dla mnie w tym wypadku najistotniejsze. Autorzy morskich antologii nie przeprowadzali zazwyczaj zbyt daleko idących podziałów na zakresy tematyczne, ale przy lekturze wszystkich tego typu tekstów daje się odczuć wyraźnie odmienność przynajmniej dwóch podstawowych grup, z których jedna zbliża się wyraźnie ku lądowi, w czasie, gdy druga oddala się jednoznacznie ku bezkresnym morskim przestrzeniom. Innymi słowy, można w owej masie tekstów dokonać nieoficjalnego podziału na wiersze stricte morskie, i te, w których ważniejszy jest stosunek ziemi do morza. Leszek Prorok, we wstępie do swej antologii „Poeci i morze", pisze: *„Twórczość marynistyczna to twórczość związana tematycznie i problemowo ze światem mórz, marynarzy i statków. W mniejszym stopniu należy do niej tematyka wybrzeża, skrawka na styku morza i lądu, dwóch żywiołów działających odmiennie na wyobraźnię twórców. Ważne to pasmo ziemi stanowi bowiem pomost, jest pośrednikiem w stosunkach z kapryśnym i zmiennym obszarem mórz".*

Idąc w ślad za tą myślą, dodać muszę, że interesować mnie będzie nie tyle wyodrębnienie z liryki poświęconej morzu tej poezji, którą można by nazwać umownie poezją wybrzeża, ile zasygnalizowanie, iż w masie twórczości, którą zwykliśmy zaliczać do marynistyki, istnieje spora grupa tekstów, traktujących żywioł morski jako okazję do przedstawienia wieloznaczności związków z ziemią. Ważny więc będzie nie tyle podział, bo o takim nie powinno być raczej mowy, ile próba znalezienia odpowiedzi na pytanie: jak dalece inspirującą rolę w lirycе morskiej odgrywają związki z lądem? Czym jest obecny w twórczości od początków literatury motyw portu? Znakiem ziemi wobec ogromu mórz, czy progiem oceanów, przysłowiowym i wyświechtanym przez publikatory „oknem na świat"?

Przejdźmy jednak do precyzyjniejszego określenia zakresu tematyki niniejszego szkicu. Podtytuł sugeruje, że zajmę się w nim całą naszą współczesną poezją, i że, mówiąc mniej poważnie, poddam ją „próbie wody". Zadania, które przed sobą postawiłem są jednakże o wiele skromniejsze. W analizie ograniczyłem się do materiału wybranego z 35-lecia powojennego. Wybór jak to wybór, nie uświęca go nawet opieranie się na kompetentnych antalogiach, gdyż i one, jak wiadomo, stanowią już wynik pewnego wyboru. Mogę wszakże powiedzieć, że teksty, na których się oparłem, te mniej lub bardziej przypadkowo dobrane wiersze autorów o rozmaitym stopniu zainteresowań morzem i bardzo różnym poziomie artystycznym, stanowią jednak pewną wypadkową aktualnej sytuacji liryki marynistycznej, lub tylko o marynistykę zahaczającej. Ślad, obecność morza, w tych tekstach, charakter i sposób realizacji odwiecznego motywu, dostrzegalny jest bardzo wyraźnie nawet u poetów, dla których morze i problematyka z nim związana, jest tylko umownym znakiem ponadczasowych treści.

Rozterki Odyseusza

Nie sposób pisać o motywie portu bez motywu wędrówki, której port jest zarówno początkiem jak i oczekiwanym kresem. Tak się jakoś w literaturze złożyło, że najtrwalszymi w społecznej świadomości śladami tego motywu są losy wędrowca — żeglarza, przemierzającego morza, by wrócić do ojczyzny. Mowa tu oczywiście o homerowskim Odyseuszu, który dostarczył nie tylko tematu sztuce późniejszych wieków, ale przeniknął do obiegowych wyobrażeń, stał się mitem tak trwale związanym z motywem wędrówki, że można nawet zaryzykować przypuszczenie, iż sam był po prostu refleksem jakichś typowych dla naszej cywilizacji znaczeń, nośnikiem wartości stałych, elementem z pogranicza archetypu i argumentacyjnej topiki. Zostawiając tymczasem na boku owe dywagacje nie sposób jednak pominąć tego kulturowego kontekstu, będącego podstawą wszelkich rozważań nie tylko o żegludze i porcie, ale i wędrówce w ogóle.

Poetą, u którego szczególnie wyraźnie widoczny jest motyw morskiej odysei, jest Nikos Chadzinikolau. Tradycję antyczną wyzwoliły u niego rodzinne związki z ziemią grecką. Wędrówki, które odbywa w jego wierszach Odys, są przecież w jakimś innym, szerszym planie, transpozycją powrotów samego poety, powrotów do świata ojczystej kultury. Ten Odyseusz, z wierszy zawartych w tomie „Dobrze Syzyfie", który *„w śpiewie Syren głos Penelopy słyszy"*, nie ma jednak zbyt jasnego wyobrażenia swojej ojczyzny: *„poznaje wyspy po zalotnikach"* (Odys).

Idea stała się dlań jedyną formą istnienia rzeczywistości, ale wypatrywany ląd nie zbliża się przez to ani o cal. Co więcej — Itaka, port docelowy, okazuje się być poza zasięgiem, nie sposób do niego dotrzeć, brutalna rzeczywistość niweczy mity: *„obudził się wieprzem (...) w drodze do rzeźni myślał o Itace"* (Odys).

Ale dla Chadzinikolau Itaka to coś więcej niż samo spełnienie. Ten port, do którego dąży jego Odyseusz, nie musi być odnaleziony. Ważne tylko, by istniał, i żeby istniała droga w jego kierunku. Liczy się bowiem nie odnalezienie, ale poszukiwanie. I dlatego w innych wierszach, mimo iż Odyseusz nigdy nie dopływa do portu, tyle optymizmu i czystej wiary w sens samej wędrówki. (m. in. Navigare).

A kiedy istnieje ta świadomość, wszyscy żeglarze stają się wobec niej wracającymi wędrowcami *„wiosłują do brzegu"* (Czytająca list — Vermeera), który jest na wyciągnięcie ręki, na... słowo stąd, bo przecież w każdej chwili stworzyć go możemy własną wiarą, zaklęciem, imieniem: *„Teraz już wracam do Itaki (...) Ustami obudzę brzeg"* (Powrót do Itaki).

Zupełnie inną perspektywę przyjmuje w swoich wierszach Adam Kawa, autor ironicznego cyklu „Sonetów do Gienki", który już w pierwszej zwrotce zbioru zapowiada:

Omijam Grecję — zapamiętaj muzo;
w żadnej Itace nie odnajdę brata,
niejeden kochał Penelopę w krzakach,
a Odys zginął jeszcze przed podróżą.

To, co dla Chadzinikolau konieczne, a dla Kawy — zbubne przez swą zwodniczą idealności, u innych poetów staje się przedmiotem refleksji o bardziej rozłożonych racjach. Jedni, jak F. Fenikowski, pełni wątpliwości nie potrafią nawet umiejscowić bliżej celu swojej wędrówki (*„Gdzie jest port nasz? Milczysz, Talesie..."*), inni widzą w takim schemacie portu niebezpieczeństwo życiowej łatwizny: Itaką można przecież nazwać w końcu wszystko i zgodzić się na każdą małość pod pozorem odnalezionej ojczyzny. Leszek Długosz pisze: *„Więc nie żaglom oddany/ Może ląd pokochałeś/ Gdy u powiek cumujesz — Brzeg [...] Czyś zanadto zmęczony/ By odejść stąd — Lecz to twoja Itaka"*.

Bohater wiersza Tadeusza Urgacza „Anna-Klara", holenderski kapitan „zatopionego żaglowca", jest Odysem, dla którego powrót możliwy jest tylko po śmierci. Prawdziwy powrót do spokojnego portu, w którym *„zegary zarządziły południe"*, w którym czeka wierna, i nierozumiana dotąd kochanka, w którym codzienne, szare życie *„po dwóch miesiącach Bożego potopu"*, z jakim miał do czynienia na morzu, wydaje się *„diabelskim widokiem"*; prawdziwy powrót oznacza tu ów stan gorzkiej i tajemniczej wiedzy o życiu nie przeżytym do końca. Cień kapitana błąkający się po portowych uliczkach, będący sam dla siebie snem, nie jest wizją powrotu ponad czasem, ale głęboką, poruszającą refleksją nad niemożliwością porozumienia: *„czy zdążymy jeszcze, zanim sen się skończy..."*, czy zdążymy się odnaleźć przed wyruszeniem w morze, z którego, tak naprawdę, nigdy nie ma powrotu?

W innym wierszu z tego samego tomu motyw portu — Itaki, pojawia się już bardziej *ex-post*. Po początkowych wersach, w których Odys jest równie bezradny jak kapitan holenderskiego żaglowca (*„On ciągle wraca, a wrócić nie może"*), wyjaśnia się w końcu ukryty sens... tak bezsensownie pojętej wędrówki: *„Więc podarujmy Odysowi półmrok i pozostawmy Odysa na szlakach/Bo przecież nie w tym cud, że Odys wróci, lecz w tym, że jest Itaka"* (Itaka).

Wniosek to zbliżony bardzo do point Chadzinikolau, ale uzasadniony całą zawartością tomu, pokonany absurd mozolnej, bezcelowej wędrówki znajduje tu zadziwiającą argumentację. Rzecz przedstawia się jednak o wiele mniej ciekawie, gdy motyw Odysa wykorzystany zostaje nieomal (i zaledwie) ikonograficznie, jako ślad mitu, gloryfikujący banał rzeczywistości. Słyszy się wtedy pompatyczne, wyrażone naiwnie i wprost, zapewnienia typu: *„ja — zasłuchany w morze Odyseusz/który przybiłem by znowu odpłynąć"* (A. Zaniewski, Nowy Port).

Motyw Odysa konstruujący swą obecnością w utworze prawie automatycznie opozycję podróży i powrotu, jest jednakże przede wszystkim scharakteryzowany tendencją, którą określiłbym jako dośrodkową. Tu liczy się przede wszystkim droga powrotna, a port staje się w niej *„spokojną przystanią"*, która egzystuje zresztą, lub egzystowała do niedawna w mowie potocznej jako synonim życiowej stabilizacji.

Bywa więc, że poeta użyje tego znaku właśnie w owej najprostszej, jednoznacznej formie. Wtedy portem może być dla niego nawet drugi człowiek, odnaleziony po długiej wędrówce po *„morzach przeróżnej nadziei"*. Oczywiste staje się wyznanie: *„Ty jesteś przystanią dla moich statków"* (Jerzy Wawrzak, Wbrew pozorom).

Najpełniejszy wyraz znajduje ów kontekst w dwuwierszu K. I. Gałczyńskiego. Szczecin, miasto, które stało się dla poety odnalezioną krainą szczęśliwości, wytęsknioną a nieznaną dotąd Itaką, znajduje się tu w podwójnym układzie znaczeniowym: raz jako autentyczny port, a raz jako symboliczna życiowa przystań: *„Tu jest mój port, tu słońce mam na czole i dom, i sad, i kota — nie do wiary...!"* (Szczecin).

Wracając jednak do pierwszego zdania tego podrozdziału: powrót, którego synonimem stał się właśnie port, implikowany jest jednakże samą podróżą. Zanim statki

zawiną do przystani, muszą z niej najpierw wyruszyć w drogę. Tendencji dośrodkowej odpowiada w tym względzie tendencja odśrodkowa: port bywa przecież dworcem, z którego odjeżdżają pociągi. Tu się zaczyna morze, głód wędrówki i przestrzeni.

Santa Maria

W przedostatnim tomiku wierszy Tadeusza Kubiaka „Wzajemność" jest utwór pod tytułem „Santa Maria", którego treścią jest wyprawa Kolumba do Indii. Wyprawa wymierzona pozornie przeciw wszelkiemu rozsądkowi (*„płynął do Indii biorąc wiatr wschodni w żagle"*), staje się w końcu symbolem trudnych prawd, uporu w poszukiwaniach, Santa Maria, statek *„szalonego Genueńczyka"* — *„rodzi Nową Ziemię"*. To, co niemożliwe, staje się faktem. Argument uzyskany został przez swoje zaprzeczenie. Ale to, że Kolumb *„błądząc płynął do celu"*, jest oczywiście ideą nie tylko tego jednego wiersza, który przekorę, alogiczność w odkrywaniu prawd, uczynił najszczęśliwszą w wynikach, choć trudną w realizacji, metodą.

Celem wyprawy Kolumba było nieznane; morza, przez które płynął, były tylko zapowiedzią odległego portu w Indiach. Zapowiedzią, przez swoją tajemniczość, kuszącą. Odległość celu, smak ziemi obiecanej, egzotyka nieodkrytych jeszcze i nie nazwanych portów, jest odwrotnością nie tylko literackiej metody, jaką jest Odyseja, ale i przeciwieństwem całego związanego z Itaką światopoglądu twórczego.

Andrzej Zaniewski w swoim pokrętnym, balansującym między naiwną retoryką, a czystą liryką poemacie „Nowy Port", formułuje ideę owej wyprawy w nieznane w ten oto, wzorcowy nieomal, sposób:

Ta mgła na horyzoncie jest naszym celem przyjaciele
ukryty jest w niej port bez złych zamiarów i chłodu
i miasta olśniewające pełne wspaniałych kobiet...

Ale owo zapewnienie o atrakcyjności tego, co za horyzontem, nie znajduje w poemacie pełnego pokrycia. Nowy Port jest tutaj bowiem symbolem wartości odnalezionych na miejscu, wybudowanych od podstaw, tu i teraz: *„A ja buduję mój port, port dla ciebie, przystań zabezpieczoną mocnym falochronem..."* Wizja ta bliższa motywowi Odysa, ale Odysa tak już zmęczonego wszelką wędrówką po morzach, ze wznoszącego swój odnaleziony port, jak twierdzę, przeciw falom. O wiele więcej konsekwencji wykazuje Jacek Łukasiewicz, którego kulturowe wiersze bardzo chętnie wskazują na motyw wędrówki jako rodzaj spełnienia się w czasie (chociażby — „Statek handlowy").

Czasami, ów głód przestrzeni, pragnienie, by odnaleźć się właśnie w zagubieniu, w ucieczce, daje w efekcie tak nieoczekiwane i piękne konstrukcje jak w przetłumaczonym na polski wierszu Eliasza Rajzmana dotyczącym Szczecina. Portowe miasto, będące początkiem każdego rejsu, samo przejmuje tu na siebie rolę okrętu, który zamierza odpłynąć...

Miasto moje! Świecisz niby okręt pod żaglem,
tysiąc kotwic żelaznych wiąże cię z lądem,
ale kiedy syren ryk rozlega się nagle,
odpływasz niesione jakby morza prądem.
(Nad Odrą, przeł. A. Słucki)

Jednakże wiara w zbawczy sens podróży ku Nieznanym Lądom, w odkrywanie Nowych Ziem i Nowych Portów w dobie kryzysu wartości znacznie zblakła. Ma to zresztą swoje szersze uzasadnienie w zmierzchu topiki arkadyjskiej, który objął swym zasięgiem całą współczesną poezję. Dziś, droga na szczęśliwą wyspę Cyterę jest już raczej nie do odtworzenia, ale mimo to, na przekór drzemiącej w każdym słowie goryczy, najmłodsi poeci deklarują:

Są jeszcze porty do których będziemy płynąć
gdzie jęki kobiet będziemy brać za miłość
(A. Jurewicz, Pęknięta II)

Inny przedstawiciel młodego pokolenia Lech J. Majewski, z owej anachronicznej, zgubionej tęsknoty, czyni nawet całą przewrotną ornamentykę swojego debiutanckiego tomu, który zresztą już w tytule („Baśni z tysiąca i jednego miasta") zapowiada wiele podobnie przyrządzonych niespodzianek. Żeglarzem w tym egzotycznym świecie neonów i „palaczy opium" (!) jest kierowca autobusu nocnego.

Majewski jest cyniczny, ale nie potrafi sobie odmówić fascynacji tym romantycznym światem wiecznej wędrówki i portowego gwaru. Bohaterowie jego wierszy żyją w atmosferze ciągłego niepokoju, mimo iż każdy dzień dowodzi jałowości ich egzystencji. „Samotny żeglarz", dla którego *„nocą są jak widmowe okręty"*, śpiąc w swoim prozaicznym aż do nudności łóżku, przeżywa jednak emocje dalekich rejsów. Tylko, że *„szlaki są nieodgadłe i okręty rozstrzaskują się w końcu, na ostrych skałach pościeli"* — nie ujawniając swym przybyciem ani jednego z obiecanych portów. Cały tomik młodego poety jest zresztą podporządkowany tej formie widzenia rzeczywistości, a większość tytułów, którymi opatruje zawarte w nim cykle, wskazuje jednoznacznie na tego typu interpretację: Niedokończona żegluga, Niebieski żeglarz, Dzielnica portowa, Pieśni Sindbada... Konsekwencja zadziwiająca, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że we wszystkich tych cyklach nie ma ani jednego wiersza, który mówiłby o „prawdziwym" morzu... Kryzys idei ziemi obiecanej ilustruje w o wiele czystszej formie T. Urgacz w tomie „Zielone Grenlandie". Tu wytęsknionym portem jest... Atlantyda.

Droga została pomylona, bo tonąca Atlantyda nie może być portem, nawet jeśli będzie się o niej śnić jako o egzotycznym, bardzo odległym zadośćuczynieniu za jałowość tej ziemi na której przychodzi nam żyć na co dzień.

Skrajnie pesymistyczne wnioski z tak formułowanych złudzeń przedstawia w jednym ze swoich wierszy żeglarz, założyciel i prezes Klubu Marynistów, Bronisław Miazgowski: *„Nadzieje rozpłynęły się jak obłoki/ Brzegi za horyzontem — to lądy rozczarowań/ Śmierć — okazuje się pożądanym portem znużonych"* (Morze).

Wydawać by się więc mogło, że romantycznie błąkająca się po morzach i szukająca nieznanych portów „Santa Maria" straciła wszelką szansę literackiego bytu, i że poeci o wiele zgodniej namawiają do rejsów w kierunku Itaki niż dalekich Indii. Rzecz jednak w tym, że na wygaśnięcie tej linii marynistycznej poezji ogromny wpływ miała po prostu... rzeczywistość. Nieznane porty nie są już nieznane, do Indii można dopłynąć bez wielkich przygód i morskie wyprawy opatrzone kierunkiem na bajeczne wyspy i fantastyczne ziemie szybko straciły większość udziałowców. A jaki wniosek wyciągnęli z tego poeci? Bardzo prędko zaczęli propagować podróże, w których na porty stanowczo nie było miejsca.

Proza '79 potwierdzenia i debiuty

HALINA LIZIŃCZYK

Przed zbliżającym się Jubileuszem Szczecińskiego Oddziału ZLP w miejscowych kawiarniach literackich można spotkać się z opinią, iż Szczecin jest ważnym ośrodkiem prozy. Jeszcze za wcześnie na to, by dąć w Jubileuszowe trąby, ukazywać dorobek środowiska w przekroju i „na tle". Rozpatrując skromny ilościowo plon wydawniczy minionego roku stawiam sobie skromne pytanie: jakie kierunki poszukiwań, jakie wartości literackie potwierdzają kolejne książki pisarzy dojrzałych, co zapowiadają debiuty.

Dwie pozycje z tego katalogu — „Sędzia główny" Adolfa Momota i „Pięć po dwunastej" Katarzyny Suchodolskiej — można określić jako podjęcie wątku po wieloletniej przerwie. Dwie pozostałe — „Sukcesorzy" Jacka Sawaszkiewicza i „Piękna ziemia" Bogdana Jemielity są dziełem młodych autorów, niedawnych debiutantów.

Adolf Momot już jako autor wydanej w r. 1964 powieści „Twarze" znalazł się pod opiekuńczymi skrzydłami Henryka Berezy, który od dwudziestu lat przekonuje nas o przełomowym znaczeniu, tzw. nurtu chłopskiego we współczesnej literaturze. Zdaniem krytyka pisarze z wiejskim rodowodem, mając za sobą zaplecze tradycji ludowej, mogą się skutecznie zmagać ze skostniałą polszczyzną „oficjalną", mogą także pokusić się o przewartościowanie kultury. Książki Myśliwskiego, Redlińskiego czy Łozińskiego świadczą o tym, że Bereza miał sporo racji, gdy mówił, iż autentyczna ludowość jest najbliższa prawdziwemu intelektualizmowi i literackiemu rewelatorstwu.

Momot jest autentystą. W odróżnieniu choćby od wyżej wymienionych pisarzy nie stosuje deformacji, unika gier powieściowych, nie buduje intelektualnych konstrukcji. Bereza nie znalazł dla szczecińskiego autora miejsca wśród najwybitniejszych przedstawicieli nurtu. Docenił jednak prostolinijność jego prozy, urodę i filozoficzność języka. Gdy „Mrowisku" (1971) Momot usiłował nadać wyrafinowaną formę, eksperyment nie udał się. Zmiana planów i czasów narracji, uogólniający doświadczenia bohaterów komentarz nijak nie pasowały do pięknych opowieści starej wiejskiej kobiety. Doświadczenie „Mrowiska" — pisał Henryk Bereza — powinno nauczyć Momota nieufności do byle jakiego filozofowania i wiary w mądrość tego języka, którym ludzie w powszedniej potrzebie wyrażają swoje myśli i uczucia. Do niego trzeba się odwoływać jak do żywego źródła, wtedy przede wszystkim, gdy się chce walczyć z martwotą języka literatury".

Od ukazania się „Mrowiska" minęło osiem lat. Wieś jako obfitująca w fascynacje i udręki, kraina dzieciństwa i młodości nie pojawia się już w nowej książce Momota. Autor zmierzył się tu z tematem niezbyt atrakcyjnym, kto dziś poza natchnionymi stypendystami pisze o Pegeerze? „Sędzie główny" to historia kariery, dość typowa dla ludzi, których nie matura, lecz chęć szczera wynosiła na odpowiedzialne urzędy. Stanisław Bajer mianowany w r. 1956 kierownikiem, potem dyrektorem PGR-u po dwunastu latach gospodarowania zasiada na ławie oskarżonych. Mimo znacznych osiągnięć. Czy jest to kombinator, chłopski autokrata zdemoralizowany życiowym sukcesem, czy może ofiara martwej litery norm i przepisów?

Szukając prawdy o swym bohaterze Momot posłużył się najbardziej naturalną w tej sytuacji formą — zapisem rozprawy sądowej. „Sędzia główny" to jakby pamiętnik oskarżonego, w którym dokładny protokół zeznań świadków zajmuje sporo miejsca. Bajer dopisuje własną wersję wydarzeń, spokojnie i rzeczowo opowiada o wysiłkach w zaniedbanym majątku, o przełamywaniu „oporu rzeczywistości". Rozmowy z dojarkami, traktorzystami, działania w polu, zagrodzie i księgowości, nazwy stosowanych nawozów i wydajność z ha — wszystko to wchłonęła powieść nie ulegając bynajmniej spłaszczeniu, jak to się zdarza produkcyjniakom.

Momotowi udało się zachować odpowiednie proporcje między dwoma sposobami chłopskiego mówienia, językiem na co dzień, zwięzłym, nastawionym na informację, językiem wszystkich dialogów tej powieści oraz tym, jakim jego chłopski bohater posługuje się, aby wyjaśniać motywy, charakteryzować ludzi, nazywać uczucia, interpretować zdarzenia, a więc językiem odświętnym, metaforycznym, o zwolnionym rytmie.

Zgrzebna prostota i poetycka komplikacja zawarta w tym samym języku budują psychikę władającej nim postaci. W sprawie Bajera nie ma łatwych rozstrzygnięć. Mimo przestępstwa (sfałszowania świadectwa dojrzałości) bohater ma prawo, aby siedzieć w sądzie „z wywyższonym patrzeniem na ludzi". Gdy powieść dobiega końca, rozprawa jeszcze trwa.

Potwierdzeniem obranej przed laty drogi pisarskiej wydaje się książka Katarzyny Suchodolskiej. Autorka „Spotkania w Wolkenbergu" (1965) jako pierwsza w powojennej literaturze uka-

zała konflikty i dramaty, których nie brakowało w czasach zasiedlania Ziem Zachodnich. Nie katedra socjologii, ale wojenne losy umożliwiły pisarce „obserwację uczestniczącą". Stąd pewnie wywodzi się charakterystyczna dla jej pisania postawa wobec kreowanych postaci — „krótki dystans", sąsiedzkie czy może przyjacielskie przyglądanie się ich sprawom.

Potem zajęli się przesiedleńcami inni pisze, np. Auderska, zainteresowanie procesami asymilacji podtrzymują nadal konkursy pamiętnikarskie, a także reporterska generacja. A jednak problemy „tych zza Buga" stały się już obce i niezrozumiałe dla pokolenia dojrzewającego w latach stabilizacji. Świadczy o tym omówienie tomu „Pięć po dwunastej" zamieszczone w bydgoskich „Faktach". Autorkę recenzji zdumiewa „curiosalne słownictwo" książki, nagromadzenie wulgaryzmów, rusycyzmów i neologizmów, nie szuka wcale uzasadnienia dla ich obecności. „Melanż polsko-rusiński przy żydowskiej okrasie" — jak to określa Leopold Buczkowski — był żywym, codziennym językiem dla wielu dzisiejszych mieszkańców Ziem Zachodnich. Zapisano w nim niemało stron wybitnych polskich powieści, a przecież to kresowe dziedzictwo także w świadomości tzw. zwykłych ludzi nie zapadło się pod ziemię. „Po co te jemszany, prehistorie, priedtiecze, Otroki? — przywołuje się do porządku narrator jednego z opowiadań Suchodolskiej — Zrozum, dla ciebie coś, ale dla tego, co właśnie musi słuchać, martwota niemiła w dźwięku i obca".

Ci zza Buga heroiczny okres mają za sobą i już się zdążyli postarzeć. Suchodolska przedstawia w nowej książce dawnych bohaterów dzień powszedni, ich uwikłanie w małe sprawy i brudne porachunki innych ludzi, zagubienie w drobiazgach i wielkie zmęczenie. Toteż opowiadania ze zbioru „Pięć po dwunastej" są nieefektowne, przy nieuważnej lekturze mogą się wydać banalne. Im więcej wspomnień z „prehistorii" przenika do teraźniejszości tym ciekawsza interpretacja dnia dzisiejszego.

Dla postaci Suchodolskiej liczy się przede wszystkim początek i koniec biografii. „Dla nas przecież ważny jest początek, bo pachnie siłą i chceniem czegoś tam, bo dawno był, a od dawności nawet stare, ślepe szkło nabiera kolorów tęczy. I koniec też dla nas ważny, bo jest dzisiaj, tu, on, widzisz, cupi obok nas na ławce". Integracja, asymilacja, to wszystko prawda, ale szczecińska pisarka pragnie utrwalić światy, które odejdą bezpowrotnie wraz z tym pokoleniem. Ostatnie opowiadanie tomu „Ave, nadchodzący" to najpełniejsze zderzenie „początku i końca", „prahistorii", „prakorzeni", baśni, słów i obrazów kraju-wyraju ze zuniformizowanym światem, podobnymi do siebie ludźmi i krajobrazem, w którym przyjdzie im umierać. Gdyby kiedyś wydawano antologię utworów o dramatycznych losach Polaków, opowiadanie to powinno znaleźć się w niej.

Homo socius mniej interesuje literacką młodzież. Dobrodziejstw popularności doświadcza od debiutanckiego tomu „Czekając" Jacek Sawaszkiewicz, fantasta naukowy zdolniejszy ponad wszelką wątpliwość od wydania reklamowanego Krzepkowskiego czy Prostaka. Czytelnikom spragnionym wielkiego mitu współczesności zaproponował w tym roku książkę opartą na założeniach daenikenowskiej teorii o ingerencji wyżej rozwiniętych cywilizacji w rozwój ziemskiego życia. Od lektury powieści Philippa K. Dicka, pt. „Ubik", kiedy poczułam się wytrącona ze schematów Euklidesowej geometrii potężnym uderzeniem geniuszu autora, stawiam literaturze science fiction duże wymagania. „Sukcesorzy" Sawaszkiewicza cieszą mnie bardzo jako konstrukcja literacka. Gdy autor przedstawiał mi fragmenty tej kosmicznej kroniki w maszynopisie, czułam się jak w kancelarii Pana Boga po uporządkowaniu rozrzuconych dokumentów.

Wypada podziwiać żelazną logikę spreparowanej przez Sawaszkiewicza historii ludzkiej cywilizacji. Zaangażował w nią dwa układy planetarne, cały arsenał chwytów science fiction i szereg form narracji właściwym dokumentom. Na koniec zaproponował kilka wersji uporządkowania wiedzy o krętych drogach poznania. Każda z nich uzupełnia poprzednią i uzmysławia nowe wątpliwości. W czasie, jaki upłynął od pierwszego gestu Demiurga (rok 1 000 000 000) do lat siedemdziesiątych naszego stulecia, i Ziemianie i nasi „bogowie" kilkanaście razy stają wobec pytania o genealogię gatunku.

Sawaszkiewicz jest także satyrykiem, (tom humoresek „Mój tatko" wyszedł w Bibliotece Stańczyka), toteż w ostatniej książce, w której i science i fiction są bez zarzutu, autor to kpi to o drogę (rozwoju) pyta. Wielkie mity ludzkości przełożone na język daenikenowskich hipotez raziłyby może wulgarnością, gdyby nie humorystyczny dystans autora do całej sprawy i rozeznanie w ograniczeniach tkwiących w konwencji uprawianego gatunku.

Bogdan Jemielita w debiutanckiej książce „Piękna ziemia" uprawia fantastykę metafizyczną. Interesuje go sam proces istnienia, różne porządki rzeczywistości, w których można zaistnieć. Między tym co widziane, a tym, co wyobrażone, między jawą a snem, życiem a śmiercią nie ma ostrych granic. Można wejść w obraz, przeniknąć w głąb lustra, można istnieć śniąc się tylko. Metamorfozy te znane są w literaturze od dawna, co jednak wynika z ich obecności w prozie Jemielity?

Królestwa umarłych, które stworzył Supervielle były miejscem postoju przed ostatecznym rozpłynięciem się w nicości. Niedowcielone byty Leśmiana tęskniły do pełnego zaistnienia w rzeczywistym świecie. Życie ziemskie było więc najpełniejsze i najważniejsze. U Jemielity, jak mi się wydaje, nie ma takiej gradacji. Berbąk stęskniony po śmierci do rodzinnej wsi, wraca do niej, ale kraina zmarłych ma swoje wspaniałości i w końcu żywy umarlak jeszcze raz przekroczy jej granice.

W książce Jemielity mieszkańcy każdego porządku rzeczywistości (snu, jawy, sztuki, obrazu) mogą stwierdzić: „Nasz świat jest pozorny". Kosmos fizyki nowoczesnej rozpada się na przestrzenie o lokalnych czasach i geometriach. Postaciom z „Pięknej ziemi" także brak jednolitego układu odniesienia. Matka Marcina z „Nadziei umarłych" żyje w miasteczku zamkniętym w wieczności: „Nie ma stałego punktu, od którego można wyprowadzić pewność osądu. Nie ma też czasu". Człowiek brnie przez bezczas, aby w którymś miejscu spotkać się z sobą — chłopcem i starcem jednocześnie. Wszechmocny narrator przenika do akcji opowiadania, by objawić bohaterowi swą władzę. Okazuje się, że i bohater jest wszechwiedzący, zna zamiary kreatora a także ich skutki.

Jeśli u Kafki (to nazwisko przywoływano w recenzjach „Pięknej ziemi") człowiek wszędzie i zawsze jest osaczony przez świat, to człowiek z opowiadań Jemielity jest światu zupełnie niepotrzebny. Nie ma tu rozwoju, jest tylko mnożenie epizodów.

Debiut szczecińskiego autora wydaje mi się dość odległy od poszukiwań współczesnych trzydziestoletnich. Nie przypomina borgesowskiego połączenia „lustra i encyklopedii". Zastanawiam się dlaczego poza trzema opowiadaniami: tytułowym, „Nadzieją umarłych" i „Jeziorem Dąbskim" tak mało mnie ta książka obchodzi. Może to wina moich naiwnych skłonności do uczuciowych związków z literackimi postaciami, które tutaj majaczą niewyraźnie na granicy istnienia. Albo sprawa trochę skostniałego języka pobrzmiewającego czasem młodopolską frazą, jakby autor budując swoje wizyjne światy zapominnł, że i w obrębie zdania można wiele zdziałać.

LUDWIK JANISZEWSKI

Słowo o socjologii morskiej

W środowiskach naukowych mówi się, że jest ona jedną z najmłodszych dyscyplin humanistycznych w Polsce. A także coraz częściej dodaje się, że stanowi „szczecińską specjalność naukową".

Warto więc zastanowić się nad sensem tych obiegowych opinii i ustalić, czy odpowiadają one rzeczywistości. W tym celu spróbujemy odpowiedzieć na kilka pytań, a mianowicie: Jakie są przyczyny narodzin socjologii morskiej? Jaki jest przedmiot jej zainteresowań badawczych? Jakie są jej perspektywy dalszego rozwoju?

prolegomena

Przede wszystkim nie można socjologii morskiej zaliczać do tworu przypadkowego i efemerycznego. Nie ma też ona nic wspólnego z tzw. „socjologiami wycinkowymi", powoływanymi raz po raz do życia przez zmieniające się w nauce mody. Zrodziła się ona bowiem z istotnych potrzeb poznawczych i praktycznych jako historyczna prawidłowość rozwoju socjologii w ogóle. Powstała jako jedna z subdyscyplin socjologii ogólnej.

Na dobrą sprawę pierwszych przesłanek jej powstania można dopatrywać się już w rozważaniach filozofów, historyków, prawników, ekonomistów i etnografów, którzy od dawna interesowali się społecznymi i humanistycznymi aspektami działalności człowieka na morzu. Znane są opisy działalności żeglarzy, korsarzy, piratów i rybaków. Można również wskazać na dzieła pisarzy, które przedstawiają podróżników morskich, poszukiwaczy skarbów i przygód na morzu oraz zwykłych marynarzy flot transportowych i wojennych. Od dawna też ludzie morza byli przedmiotem zainteresowania i fascynacji twórczej poetów, muzyków, malarzy i innych artystów.

Natomiast socjologowie stosunkowo niedawno, bo dopiero w ostatnich dwu dziesięcioleciach, zaczęli bardziej systematycznie interesować się ludźmi morza, a zwłaszcza społecznymi uwarunkowaniami i skutkami ich różnorodnej aktywności na morzu. Nasuwają się pytania: dlaczego tak późno zajęli się oni badaniem tej sfery rzeczywistości? I dlaczego tak późno w wyniku tych przedsięwzięć narodziła się nowa dyscyplina — socjologia morska? Odpowiadając na wymienione pytania, należy wskazać przynajmniej na kilka przyczyn tkwiących u podstaw formowania się tej dyscypliny.

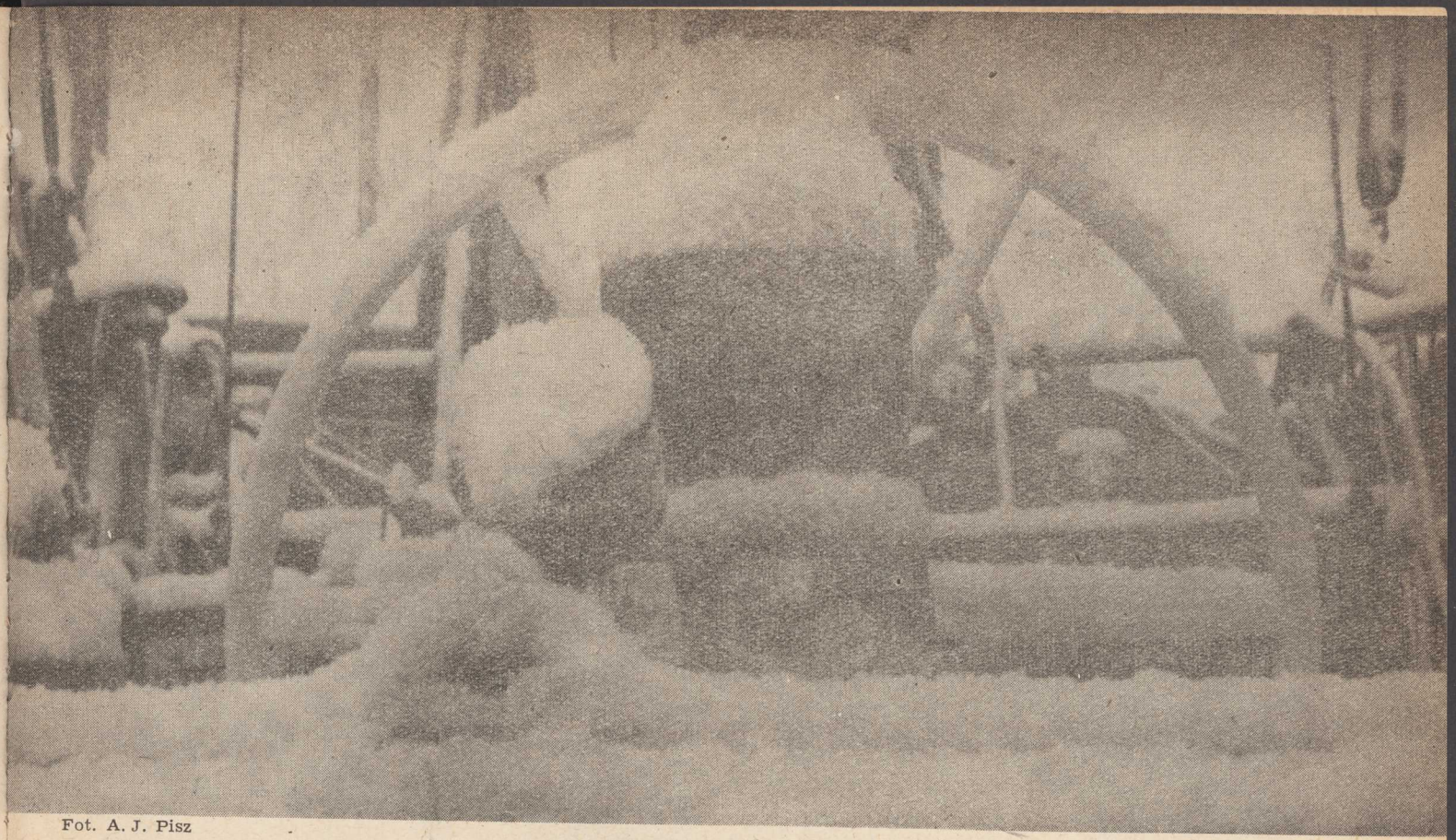
Po pierwsze — powstanie socjologii morskiej łączy się z dynamicznym rozwojem współczesnej socjologii w ogóle. Jak wiadomo, socjologia należy do stosunkowo młodej nauki, zrodzonej w XIX wieku. I dopiero w ostatnich dziesięcioleciach przeżywa ona swój niebywały rozwój teoretyczny i metodologiczny. Wymownym wyrazem tego rozwoju jest jej coraz większa specjalizacja badawcza, przejawiająca się w powstawaniu (w jej ramach) ciągle nowych subdyscyplin. Po drugie — przez wiee dziesięcioleci socjologowie skupiali swą uwagę badawczą wokół spraw, dotyczących aktywności człowieka na lądzie. Pomijali lub nie dostrzegali dostatecznie jasno socjologcznych problemów ludzi morza, a także działalności instytucji związanych z gospodarką morską. Dopiero dostrzeżenie tej niekorzystnej dysproporcji pobudziło niektórych socjologów do podjęcia systematycznych badań nad „morską" rzeczywistością społeczną. Po trzecie — dość długo próbowano problematykę morską rozpatrywać w ramach socjobgii pracy i socjologii przemysłu, wykorzystując przy tym teorię i dyrektywy metodologiczne takie, jakie stosuje się np. w analizie zjawisk i procesów społecznych w zbiorowościach i instytucjach lądowych. Po czwarte — przyczyną opóźnienia był dość trudny dostęp do obiektu badań. Socjologowie chcący dotrzeć do załóg marynarskich czy rybackich, byli zmuszeni wypływać w morze i przeprowadzać badania w czasie trwania rejsów. Wymagało to od nich szczególnych dyspozycji fizycznych i psychicznych, a także (w przypadku obserwacji uczestniczącej ukrytej) dużych umiejętności badawczych. Wreszcie po piąte — podejmowanie badań nad morską problematyką socjologiczną wymagało i wymaga także opracowania nowych koncepcji teoretycznych i metodologicznych, dzięki którym można byłoby najdokładniej opisać i wyjaśnić nieco odmienną i dość egzotyczną rzeczywistość społeczną.

Dlatego badania te rozpoczęto na szerszą skalę dopiero niedawno. I to zarówno w Polsce, jak i na świecie. Były one przede wszystkim podyktowane pilną potrzebą poznania i rozwiązania istotnych problemów społeczno-gospodarczych i politycznych, jakie powodują różnorodne kierunki i formy aktywności człowieka na morzu i w związku z morzem. Problemy te stawały się coraz bardziej przedmiotem zainteresowań nie tylko ekonomistów i polityków, lecz także i socjologów.

narodziny socjologii morskiej

Wiążą się one z kilkoma czynnikami, jak: rozwój kadry badaczy, tworzenie się zespołów i ośrodków badawczych, gromadzenie danych empirycznych i wzrost dorobku naukowego (głównie w formie publikacji), współpraca między badaczami i ośrodkami badawczymi w skali krajowej i międzynarodowej, współpraca badaczy z szeroko podjętą praktyką społeczną itp.

Wokół badań socjologicznych nad problematyką morską w Polsce skupiła się początkowo (1963—1970) zaledwie kilkuosobowa grupa badaczy, reprezentująca środowiska naukowe Wybrzeża i kraju. Grupa ta powiększyła się sukcesywnie, zdradzając tendencje dość szybkiego wzrostu ilościowego i jakościowego. Wzrost ilościowy polegał na tym, że liczba badaczy zwiększyła się ostatnio prawie pięciokrotnie i wynosi około trzydzieści osób. Jednocześnie nastąpiły zmiany jakościowe. Bowiem w skład tych osób wchodzi coraz więcej doświadczonych badaczy z tytułami



Fot. A. J. Pisz

profesorów, docentów i doktorów. Natomiast większość młodych i najaktywniejszych badaczy przygotowuje dysertacje doktorskie, głównie z zakresu społecznej i socjologicznej problematyki morskiej.

Wraz z rozwojem kadrowym zaczęły tworzyć się na Wybrzeżu, głównie w Szczecinie, Koszalinie i Trójmieście ośrodki badawcze, zajmujące się różnorodną problematyką morską. Najbardziej aktywnym oprócz Trójmiasta okazał się w ostatnim okresie ośrodek szczeciński, gdzie powołano do życia w 1977 roku Ogólnopolską Specjalistyczną Sekcję Socjologii Morskiej przy Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, a w roku bieżącym zorganizowano Zakład Socjologii Morskiej Polskiej Akademii Nauk. Zadanie tej placówki ma polegać na prowadzeniu i koordynowaniu badań socjologicznych nad problematyką morską w skali całego kraju.

Wraz z gromadzeniem materiałów empirycznych następował systematyczny wzrost dorobku naukowego. Dorobek ten wyrażał się rozlicznymi publikacjami, ogłaszanymi na łamach czasopism centralnych i lokalnych, jak np. „Studia Socjologiczne", „Kultura i Społeczeństwo",, „Humanizacja Pracy", „Neutologia", „Technika i Gospodarka Morska", „Przegląd Zachodniopomorski" itp. Najbardziej wartościowe opracowania były publikowane jako rozprawy, artykuły i pozycje książkowe. Najbardziej istotne jest to, że każdego roku przybywają nowe publikacje, wzbogacając stale dotychczasowy dorobek naukowy, który stanowi podstawę kształtowania się i rozwoju socjologii morskiej.

W ośrodku szczecińskim i gdańskim zorganizowano w latach 1965—1977 siedem konferencji naukowych o zasięgu ogólnopolskim lub międzynarodowym. Konferencje te miały z reguły charakter interdyscyplinarny, albowiem oprócz socjologów brali w nich udział przedstawiciele innych nauk oraz liczni praktycy. Wygłaszane na konferencjach referaty i komunikaty naukowe były później publikowane, często w formie prac zbiorowych.

Niektórzy badacze nawiązali kontakty osobiste z ośrodkami zagranicznymi, prowadzącymi badania socjologiczne nad problematyką morską. Dzięki temu mogli rozwinąć szerzej swą działalność. Brali czynny udział w różnych międzynarodowych konferencjach naukowych (Amsterdam, Cardiff, Toronto, Rostock, Warna), prezentując tam swoje referaty i komunikaty naukowe.

Socjologia morska zrodziła się nie tylko pod wpływem racji poznawczych, lecz także, a może przede wszystkim, z potrzeb praktycznych, dyktowanych przez szybki rozwój naszej gospodarki i kultury morskiej. Większość badaczy prowadziła badania przy współpracy z określonymi instytucjami morskimi, (gospodarczymi, politycznymi i kulturalnymi). Instytucje te niejednokrotnie inspirowały i finansowały niektóre przedsięwzięcia badawcze. Angażowały socjologów do wykonywania ekspertyz, przeprowadzania badań i studiów, udzielania porad i konsultacji. Wielu badaczy znalazło zatrudnienie w tych instytucjach, odbywając rejsy morskie, kierując pracowniami socjologicznymi lub określonymi komórkami organizacyjnymi (np. działem osobowym, socjalnym, szkoleniowym).

socjologia morska czy socjologia ludzi morza?

Jaki z tych terminów odpowiada najadekwatniej treści i zakresowi dotychczasowych badań socjologicznych nad problematyką morską? Otóż odpowiedź jest jednoznaczna: termin pierwszy. Albowiem w zakres dotychczasowych eksploracji wchodziły nie tylko różne kategorie ludzi morza (głównie marynarze i rybacy), lecz także różne organizacje, instytucje i zrzeszenia morskie oraz pewne zjawiska społeczno-kulturowe gospodarki morskiej, których nie obejmie się treścią i zakresem pojęcia „socjologia ludzi morza". Jest to pojęcie o zbyt ograniczonym zakresie, aby określać nim nową subdyscyplinę socjologiczną. Można je tylko odnosić do jednej z części składowych lub — inaczej mówiąc — jednego działu socjologii morskiej. Uważamy, że stosowanie zamienne obu terminów jest zatem nieuprawn-

nione. Obstajemy więc przy terminie „socjologia morska", a termin ten należy przyjąć na podobieństwo takich pojęć, jak „medycyna morska" czy „psychologia morska". Jest on zresztą powszechnie stosowany w socjologii światowej — jako „maritime sociology" lub „marine sociology".

czym się ona interesuje?

Wiadomo, że znajduje się ona obecnie w tym stadium formowania, że nie sposób zdefiniować dokładnie i ostatecznie przedmiotu jej badań. Tworzy aktualnie otwarty system tez, hipotez i teorii, pytań i zagadnień, wymagających stale dalszych badań, odpowiedzi, rozwinięć i weryfikacji. System ten, mimo swej otwartości, nie jest zlepkiem twierdzeń orzekających o morskiej rzeczywistości społecznej. Na rzeczywistości te składają się zarówno określone podstawy przyrodnicze, ekonomiczne i kulturowe, na gruncie których występują zbiorowości ludzi morza, instytucje morskie, morskie zbiorowiska ekologiczne oraz procesy, związane z wieloraką aktywnością człowieka na morzu. Właśnie socjologia morska zajmuje się opisem i wyjaśnieniem tych zbiorowości, instytucji i procesów. W związku z tym można ją określić z grubsza (na obecnym etapie badań) jako tę szczegółową gałąź socjologii, która bada zbiorowe, instytucjonalne zorganizowane i spontaniczne formy różnorodnej, przeważnie ekonomiczej — choć nie wyłącznie — aktywności człowieka na morzu i w związku z morzem, ze szczególnym uwzględnieniem uwarunkowań i konsekwencji społecznych tej aktywności. Oczywiście sformułowanie to, aczkolwiek przydługawe, nie rości sobie wcale pretensji do treściowej dokładności i poprawności formalnej. Jest tylko pewną propozycją naukową.

jakie perspektywy?

Socjologia morska zaczyna zajmować już trwałe miejsce w systemie nauk społecznych. Naszym zdaniem ma ona poważne perspektywy rozwojowe. Przemawiają za tym względy natury zarówno obiektywnej, jak i subiektywnej.

W związku z coraz bardziej intensywnym rozwojem gospodarki i kultury morskiej wzrastać będzie zapotrzebowanie na: a) wiedzę naukową o zbiorowościach ludzi morza, o instytucjach i zrzeszeniach morskich oraz procesach, które wywoływane są działalnością ludzką na morzu, b) naukowe zasady zawiadywania ludźmi we wszystkich instytucjach i zrzeszeniach morskich, c) naukowe podstawy humanizacji pracy i życia, zwłaszcza we flocie transportowej i rybackiej.

Gospodarka morska w Polsce należy do jednego z najbardziej nowoczesnych działów gospodarki narodowej, który odważnie podejmuje i realizuje wyzwanie rewolucji naukowo-technicznej. Świadczą o tym wymownie szybkie zmiany ilościowe i strukturalne w wielu dziedzinach gospodarki morskiej. Podstawowym elementem tych zmian jest stopień wykorzystania postępu naukowo-technicznego, gwarantującego uzyskiwanie coraz wyższych wyników ekonomicznych. Głównymi nośnikami tego postępu są takie czynniki, jak: automatyzacja urządzeń i procesów pracy, nowe systemy technologii produkcji, komputerowe stacje gromadzenia i przetwarzanie informacji oraz nowe zasady zarządzania i podejmowania decyzji. Czynniki te wywołują doniosłe skutki nie tylko natury technicznej i ekonomicznej, lecz także społecznej. Wiedzę naukową o skutkach ostatniego typu mogą dostarczać tylko badania społeczne, w tym socjologiczne. Wiedza taka staje się obecnie bezwzględnie konieczną potrzebą dla tych wszystkich, którzy chcą prawidłowo i efektywnie kierować procesami dalszego rozwoju gospodarki morskiej. Właśnie w tym obiektywnym wzroście zapotrzebowania na wiedzę socjologiczną należy upatrywać perspektyw rozwojowych socjologii morskiej. Jednakże jak sądzimy, urzeczywistnienie tych perspektyw zależeć będzie od kilku istotnych warunków.

Głównym warunkiem jest ilościowy i jakościowy rozwój ośrodków badawczych na Wybrzeżu. Ośrodki te winny dysponować: a) odpowiednią liczbą własnych (etatowych) badaczy i gronem współpracowników tworzących razem operatywne zespoły badawcze, b) własną bazą lokalową, c) odpowiednim budżetem finansowym, d) własnym księgozbiorem specjalistycznym, e) możliwościami wydawania publikacji itp.

Należy oczekiwać, że warunki te spełniać będzie powołany w br. zakład Socjologii Morskiej PAN w Szczecinie. Winien on skupić wokół siebie badaczy nie tylko ze środowiska szczecińskiego, lecz z całego Wybrzeża, zwłaszcza z Gdyni i Gdańska. Swą działalność winien opierać na planie badań, respektującym tak doraźne, jak i przyszłe potrzeby rozwoju gospodarki i kultury morskiej. Plan ten winien preferować tę problematykę badawczą, która dotyczy najbardziej istotnych zjawisk i procesów społeczno-kulturowych, np. społecznych determinant i skutków rewolucji naukowo-technicznej w gospodarce morskiej. Mając na uwadze rozwój socjologii morskiej, powyższa placówka winna prowadzić różnego typu badania, zwłaszcza podstawowe i rozwojowe, zachowując oczywiście między nimi rozsądne proporcje. Winna wprawdzie uwzględniać badania indywidualne, prowadzone przez pojedynczych badaczy. Jednakże główny nacisk powinna położyć na badania zespołowe, jak i interdyscyplinarne. Rozwój socjologii morskiej zależeć będzie od jednoczesnego łączenia badań empirycznych z głęboką refleksją o charakterze teoretycznym i metodologicznym. Konieczne będzie przede wszystkim opracowanie odpowiednich teorii socjologicznych oraz terminologii, które służyć będą adekwatnemu opisowi specyficznych zjawisk i procesów, charakterystycznych dla gospodarki i kultury morskiej.

Ponadto dalszy rozwój socjologii morskiej jest uzależniony od tego, w jakim stopniu i zakresie wykorzysta ona dorobek innych nauk badających problematykę morską, np. antropologii morskiej i psychologii morskiej.

Z kolei ważnym warunkiem jej rozwoju będą również owocne kontakty osobiste i instytucjonalne w skali krajowej i światowej. Na gruncie tych kontaktów będzie można dokonywać nie tylko wymiany doświadczeń badawczych i organizacyjnych, lecz także wymiany publikacji naukowych. Konieczny też będzie udział polskich socjologów w konferencjach i sympozjach zagranicznych.

Następnie bardzo istotnym warunkiem będzie ukształtowanie się właściwych stosunków współpracy między badaczami i praktykami, kierującymi sprawami gospodarki morskiej. Wymagać to będzie nie tylko przezwyciężania wielu dotychczasowych trudności, m. in. pewnych uprzedzeń i barier psychologicznych, jakie występują wśród sporej jeszcze liczby przedstawicieli instytucji morskich. Trzeba będzie w sposób gruntowny zmienić tryb i mechanizmy współpracy wzajemnej, a także styl pracy badawczej samych socjologów. Wreszcie wystąpi potrzeba zaangażowania badaczy (w poszczególnych typach działalności praktycznej) jako konsultantów i doradców.

Oczywiście o przyszłym rozwoju socjologii morskiej decydować będzie nie jeden, lecz cały zespół integralnie występujących warunków. Jednakże najbardziej znaczącym warunkiem będzie twórcza aktywność samych socjologów.

Teresa Tyran

Wysoki sądzie — drzewo przydrożne
polny kamieniu, szary obłoku
senny przystanku autobusowy
— zostanę ...
... — spójrzcie — jak stoi ... na nasz bal
włożyła buty ołowiane ...

Do stołu siądą — pogodzeni
— opłatek serca wzdłuż pęknięty
największy banknot pod obrusem
... milcząc przejedzą wieczór święty
a po północy — utrudzeni
znów zaczną wrzeszczeć ludzkim głosem...

Twarzą do poręczy
na schodach drewnianych
do uszatej ściany
— moje pochylenie —
a w czapce-niewidce
i podkutych butach
głośno paraduje
nierozważna duma ...

Nasz kraj
— od ściany do drzwi —
przeczytana książka
kłamstwo w szafie
telefon, którego nie ma
i moja wina, która jest ...
nasz kraj —
bezpieczny dobry dom
nasz rachunek sąd więzienie
kamieniołomy wieczornych rozmów
Wojny z sumieniem ...

JERZY JURCZYK

Czy warto spierać się o scenografię?

Pytanie jest oczywiście retoryczne. Nic tak nie pomaga przecież rozwojowi sztuki, jak zaciekłe spory i dyskusje. W tym roku istną burzę wywołał Adam Kilian, który w salach warszawskiej „Zachęty" zorganizował, a raczej „wyreżyserował", wystawę scenografii polskiej „Myśl i kształt teatru". Z miejsca dobrał się do skóry komisarzowi wystawy Andrzej Matynia w telewizyjnym „Pegazie" i na łamach „Kultury". Kilian oberwał zdrowo na zasadzie, że „nie grzeszy tylko ten, co nic nie robi". Natomiast Kilian zgrzeszył tym, iż miał własną koncepcję prezentacji plastyki teatralnej. Koncepcja ta sprawdziła się znakomicie w 1972 roku w Neuchâtel, gdzie tamtejsze Muzeum Etnograficzne przedstawiło wystawę „Polska. Teatr i społeczeństwo" Współczesność polskiego teatru pokazano, zgodnie z przyjętymi za zasadę słowami Wyspiańskiego: „Tekst jest sprawą drugorzędną. Połowa tekstu gubi się na widowni. Widza interesuje przede wszystkim dekoracja, kostium, potem akcja, muzyka, a na końcu zrozumienie tekstu... Widz najpierw p a t r z y, potem s ł u c h a".

Były to jednak słowa przemyślane wyjęte z kontekstu. Chociaż jest prawdą, że do widza docierają najpierw bodźce zmysłowe, a dopiero później następuje ich racjonalizacja intelektualna. Ale Wyspiański był przecież twórcą nowoczesnej koncepcji teatru „totalnego" integrującego na równych prawach słowo i obraz. Autor „Wesela" i witraży z kościoła Dominikańskiego w Krakowie był równie wielkim malarzem, jak dramaturgiem. W jednej i drugiej dziedzinie był poetą.

Poetą czuł się również Adam Kilian „reżyserując" w „Zachęcie" swą obmyślaną przez lata wystawę. Chciał przedstawić własną wizję scenografii polskiej. Miał do tego pełne prawo. Ale zapomniał, że wszyscy byli już ogromnie wygłodzeni, jeśli chodzi o wystawy scenografii. (Nie chwaląc się, ostatnie duże ekspozycje plastyki teatralnej były organizowane w Szczecinie. Szczecin jest jednak trochę daleko od Warszawy...) Musiał więc liczyć się z tym, że ekspozycja „Myśl i kształt teatru" zostanie przyjęta jako retrospektywa polskiej scenografii i kompleksowy obraz jej współczesności. Tak też się stało. Taka wystawa była potrzebna i takiej oczekiwano.

Adam Kilian jest jednym z niewielu autentycznych ludzi teatru. Wychowanych w teatrze, żyjących teatrem i zakochanych w teatrze. Jego dorobek artystyczny pozwala nazwać go poetą teatru. Pełni poza tym w obecnej kadencji funkcję prezesa sekcji scenografii przy Zarządzie Związku Polskich Artystów Plastyków. A więc i po trosze z obowiązku musiał zająć się organizacją tej wystawy. Z pewnością inaczej zrealizowałby ją Zenobiusz Strzelecki, autor cennych prac naukowych o plastyce teatralnej.

Kilian chciał pokazać jak historia, życie społeczne, kultura, sztuka splatają się z życiem teatralnym i jak nierozdzielnie są z nim związane. Nie docenił jednak polskiego widza. Zapomniał, że on o tym wie. Zapomniał też, że nieco wcześniej była w tejże „Zachęcie" znakomita wystawa, obrazująca związki polskiej sztuki z jej historycznym i folklorystycznym podglebiem.

W pierwszej sali zaprezentował m. in.: antyczne figurki o tematyce teatralno-obrzędowej ze zbiorów Muzeum Narodowego i kopię Światowida z Wolina, portrety sarmackie i malowany talerz Picassa, pamiątki po Insurekcji Kościuszkowskiej i obrazy abstrakcjonistów, XVIII-wieczne projekty urządzeń teatralnych i najnowocześniejszy sprzęt oświetleniowy. Chciał nam powiedzieć bardzo wiele. Może trochę za dużo. W następnej sali, bardziej oszczędnie zapełnionej, zobaczyliśmy wieniec dożynkowy, radło, fotografie łanów pszenicznych, zagajnik z brzozowym krzyżem, szopkę krakowską. Ale to właśnie widzieliśmy w tych salach trochę wcześniej. Trzy następne sale zostały opracowane przez pracowników Muzeum Teatralnego. Trzeba powiedzieć, że były one największą wartością tej wystawy. Chociaż spierać się można (i należy) o proporcje. Zaprezentowano projekty, rekwizyty, kostiumy, zdjęcia, programy, dokumenty, mówiące o historii polskiej sceny od teatru Bogusławskiego do Jamy Michalikowej. Żałować należy, iż nie zaakcentowano dostatecznie wymownie znaczenia Wyspiańskiego. Poświęcono mu salę środkową, tymczasem powinien on zamykać i sumować ten historyczny przegląd. Przecież Wyspiański do tej pory jest punktem odniesienia przy ocenie współczesnego teatru. Dowodem były dwie następne sale, ogromne przecież, ale z niezwykłą „rozrzutnością" zapełnione przez Kiliana, które potwierdzały, iż twórca „Nocy listopadowej" ciągle jeszcze w swoim myśleniu o teatrze jest bardzo awangardowy. Przeciwko Kilianowi najcięższe zarzuty wytoczono właśnie za tę część ekspozycji. Po bardzo uporządkowanej części muzealnej, dwie sale, mówiące o naszej współczesności, zaskakiwały i szokowały. Przede wszystkim swym kształtem plastycznym. Kilian zaaranżował je na kształt ogromnej rekwizytorni czy magazynu. Widzowie poruszali się w półmroku, wśród kostiumów, fragmentów dekoracji, kurtyn, rekwizytów, projektów, zdjęć. Coś się poruszało, grało, świeciło. Była tego ogromna ilość. Widz nie mający odpowiedniego „treningu" mógł być oszołomiony, zagubiony, ale myślę, że również... oczarowany. Możemy mieć do Kiliana słuszne pretensje, że tego, czy owego autora nie umieścił na wystawie, że wobec niektórych okazał się zbyt liberalny, a wobec innych nie podjął koniecznych starań i wysiłków, by zaprezentować ich na wystawie. To wszystko prawda. Ale w tej swojej ogromnej rekwizytorni przekazał atmosferę kulis teatru, a także zasadę bardzo swoistego pojmowania przez ludzi teatru związków z własną tradycją. Okazuje się, że nie mają oni tego dystansu, co krytycy czy historycy. Dla nich Frycz, Drabik czy Pronaszko są nadal współcześni. Żywi. Często nawet w większym stopniu, niż wielu kolegów równolegle tworzących. I stąd swoista skala wartości, a także obecność wśród scenografów Adama Hanuszkiewicza reprezentowanego metalowymi drzwiami wraz z fragmentem ceglanego muru. Tak widział on scenerię dla swych „Dziadów", niedawno wystawionych w Teatrze Małym. A obok niego barokowy Kołodziej z gigantycznymi figurami oraz Majewski z porywającą scenografią do „Diabłów z Loudun". Zabudowa terenu gry do „Księcia niezłomnego" zaprojektowana przez Gurawskiego dla Grotowskiego zajęła sporo przestrzeni, lecz zginęła przytłoczona malarską rozrzutnością dzisiejszych „dekoratorów".

Kryteriom oceny scenografii zostało poświęcone sympozjum Komisji Historii, Teorii i Krytyki Scenografii OISTT (Międzynarodowej Organizacji Scenografów i Techników Teatru przy polskim Ośrodku ITI). Referat wprowadzający wygłosił Zenobiusz Strzelecki, wybrany jednogłośnie przewodniczącym tej komisji. W wielu wypowiedziach podkreślano konieczność stosowania kryteriów obowiązujących przy ocenie współczesnej plastyki. Kryteriów tych często nie potrafią stosować krytycy teatralni. Poruszono wiele problemów, głównie związanych z gromadzeniem i dokumentacją. Wielkie nadzieje wiąże się z powstającym w Gdańsku Muzeum Scenografii. Wprowadzi się ono jednakże do remontowanego adaptowanego kościoła gotyckiego za lat kilka, lub... naście.

Mnie szczególnie zainteresowało stwierdzenie prof. Beebe Salzera z USA, który wskazał na rodzenie się niepokojącego zjawiska „scenofotografii", będącego nieomal nową dyscypliną artystyczną oderwaną jednakże od praktyki teatralnej. Otóż źródłem inspiracji dla scenografów są niejednokrotnie bardzo efektowne fotografie publikowane w kolorowych magazynach. Pełnią one rolę analogiczną do żurnali mody. Również krytycy często, zamiast oglądania przedstawień, zapoznają się jedynie z fotosami. Na ich podstawie też przyznaje się nagrody. Ale jest to nie do uniknięcia. Jak więc wybrnąć z tego problemu? Propozycji było bardzo wiele. Jedno było jednak oczywiste. Dokumentacja jest rzeczą pracochłonną, czasochłonną i — co najważniejsze — kosztowną. Wszystko zależy więc od mecenasa, jego hojności i zrozumienia rangi problemu.

Wracając do sporów o scenografię, trzeba wspomnieć o kłótni Jana Kłossowicza ze scenografem (bardzo dobrym zresztą, lecz nie reprezentowanym na wystawie w „Zachęcie") Janem Polewką na łamach „Literatury". Kłossowicz napisał artykuł „Co znajdę, to na siebie kładę", zarzucając scenografom wtórność, pasywność, nienadążanie za przemianami w nowoczesnym teatrze i plastyce. Kłossowicz podważa również mit o wspaniałości polskiej scenografii. Polewka natomiast zarzucił krytykowi „grzech pychy w nadmiernej pewności sądu i łatwość negacji, przy sporadycznym zajęciu się tematem". Nie obalił jednak sądu Kłossowicza, iż scenografia polska przestała się rozwijać w ostatnim dziesięcioleciu. Stała się może bardziej efektowna i sprawna, ale mniej poszukująca.

Przesadność mitu o wielkiej potędze „polskiej szkoły" odczułem boleśnie w Pradze, oglądając w Pawilonie Brukselskim gigantyczną ekspozycję IV Quadriennale Scenografii. Polska plastyka teatralna niemal zupełnie zniknęła. Broniły się lalki — głównie Adama Kiliana (także i w tym wypadku komisarza naszej ekspozycji), za które otrzymaliśmy złoty medal. Rozczarowywała jednak nie tylko polska ekspozycja. Zarzut Kłossowicza można śmiało przenieść na grunt plastyki teatralnej w innych krajach. Można powiedzieć, że był to raczej ogromny pokaz r z e m i o s ł a dekoratorskiego, niż s z t u k i scenograficznej. Wspomiany prof. Salzer powiada, że w Ameryce krytyk plastyczny, który „pragnie pogrążyć jakieś dzieło, mówi, że przypomina ono dekorację sceniczną". W kontekście Praskiego Quadriennale ta uwaga staje się bardziej zrozumiała. Setki powtarzających się pomysłów i rozwiązań, znanych zresztą od lat, po kilku godzinach oglądania przyprawiły mnie o ból głowy. Zgadzam się z uwagą reprezentantki „Teatru", Barbary Osterloff:

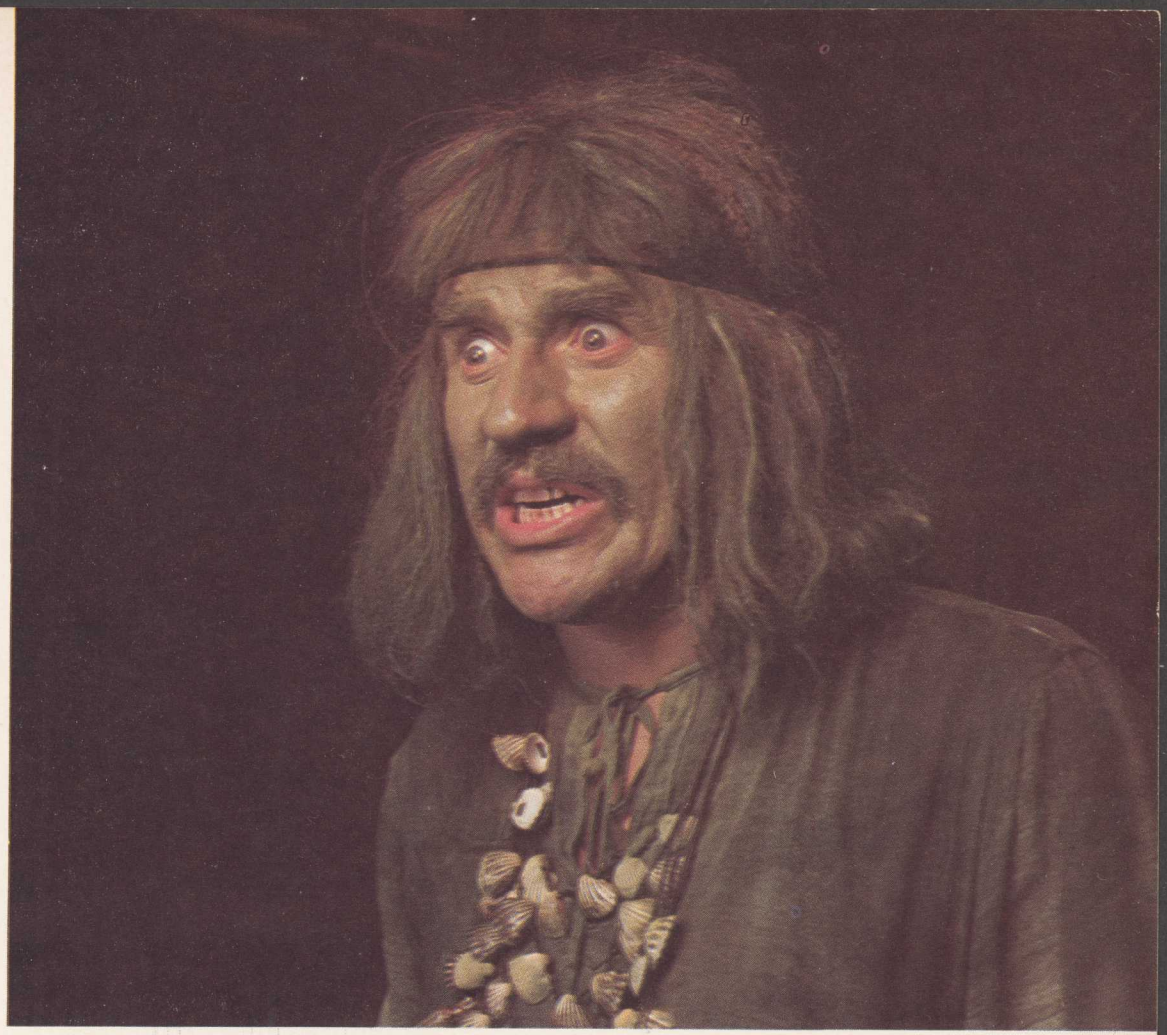
„Wrażenie ułomności praskiej wystawy potęgował jej rozmach. Brzmi to paradoksalnie, lecz przecież nie można pokazywać wszystkiego i wszystkich... Piętrowy Pawilon Brukselski dosłownie pękał od tysięcy projektów, kostiumów, makiet, lalek, zdjęć. W tym nadmiarze można było zorientować się dopiero po kilkakrotnym obejrzeniu całości. Zbyt hojnie udzielili gospodarze miejsc niektórym krajom, co w sumie obniżyło poziom wystawy".

Barbara Osterloff była kilka dni w Pradze. Ja tylko kilka godzin. Wrażenia jednak się pokrywają. Dla mnie najciekawszą część wystawy stanowiła ekspozycja zachodnioniemiecka. Może dlatego, iż najmniej wspólnego miała ze scenografią teatralną. Był to raczej pokaz współczesnej plastyki typu performance, environment, pop-art, assemblage. Niemcy zainscenizowali w kilku zamkniętych boksach swoiste teatrum, stojące na pograniczu teatru absurdu i okrucieństwa. Po nieskończonych seriach galanteryjnie wykonanych projektów, makiet i kostiumów była to enklawa niekonwencjonalnej wyobraźni. A także pokaz bardzo współczesnej plastyki. W kontekście pokazu RFN-owskiego scenografia europejska okazała się być zaskakująco tradycjonalna. Bardziej zakorzeniona w tradycji XIX w. teatru mieszczańskiego, niż czerpiąca z poszukiwań awangardy europejskiej. Nie sądziłem, że wyciągnę taki wniosek z pobytu na największej na świecie wystawie scenograficznej.

Najbardziej nowatorskim scenografem był dla mnie w Pradze... Adolphe Appia, którego ekspozycję monograficzną znakomicie zorganizowali Szwajcarzy. Jego koncepcja sceny syntetycznej, stworzona na przełomie wieków, jest nadal inspirująca. Do sukcesorów i twórczych kontynuatorów Appii zalicza się najwybitniejszych twórców światowego teatru, a wśród nich Grotowskiego i Kantora.

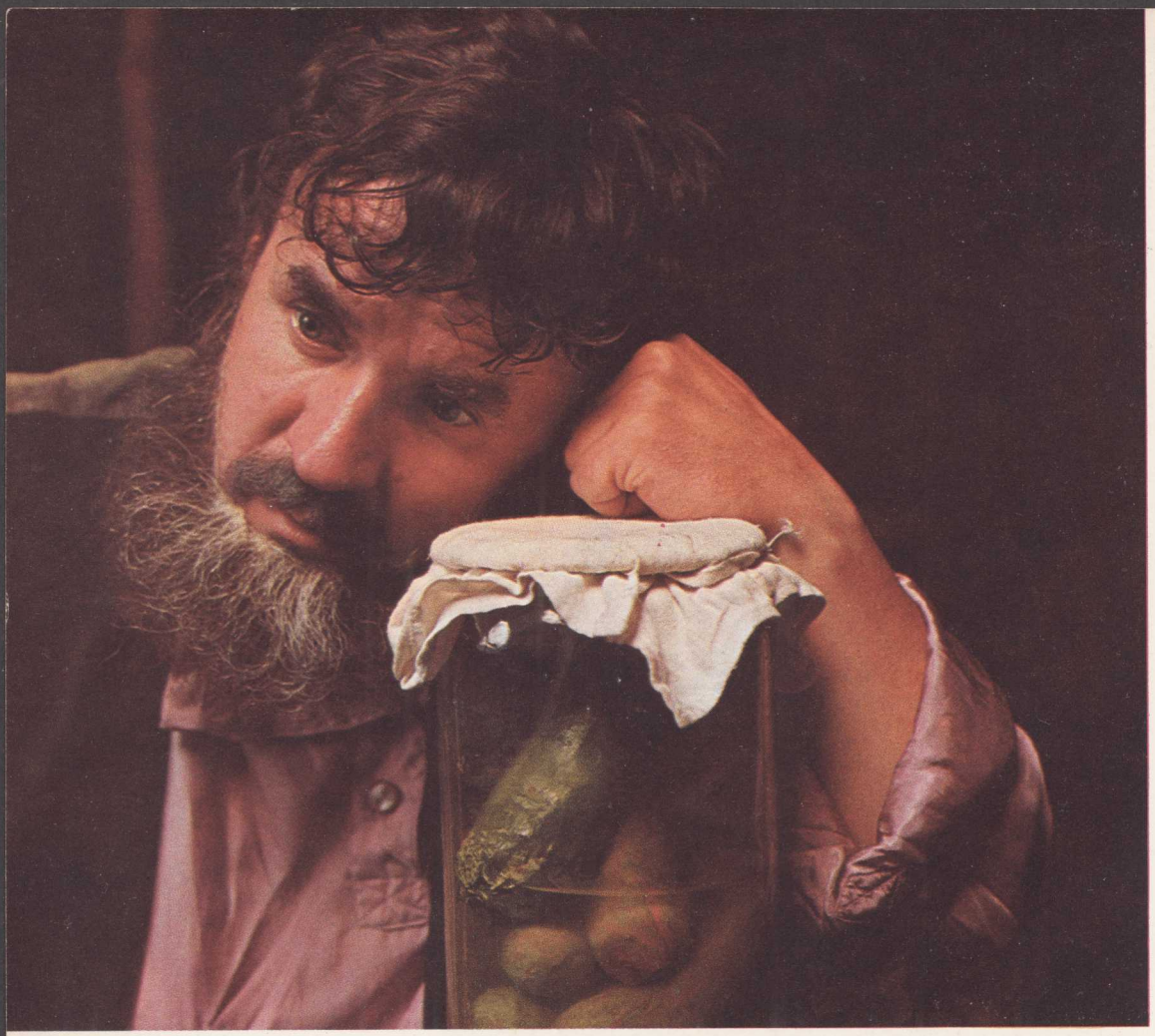
Tego ostatniego Kilian nie przedstawił w naszym dziale. Zapomniał także o Szajnie. Nie przypomniał nie żyjącej już Zofii Wierchowicz, która po zdobyciu złotego medalu w 1971 roku na II Quadriennale stworzyła przecież jeszcze kilka własnych, samodzielnych inscenizacji Szekspirowskich. Zabrakło doskonałego Marcina Jarnuszkiewicza, którego szczecińskiego „Księcia niezłomnego" w bezprecedensowy sposób zdołał jednak spopularyzować poza granicami „Projekt". Jeśli Kilianowi można przyznać prawo do bardzo subiektywnej koncepcji wystawy warszawskiej, to trudniej zgodzić się z tym, co zrobił w Pradze, gdzie szopka krakowska i folklor zakopiański zaciążyły nad całością.

Czy o scenografię należy się spierać? Oczywiście. Tym bardziej, że tak mało jest po temu okazji.



„Burza" W. Szekspira, Teatr Współczesny, Szczecin 1979, reż. Maciej Englert, scen. Marek Lewandowski
zdjęcie górne: Tadeusz Zapaśnik (Prospero)
zdjęcie dolne: Jerzy Kraszkiewicz (Trynkulo), Zbigniew Witkowski (Stefano), Tadeusz Zapaśnik (Prospero)
Fot. Z. Ryngwelski





„SŁOŃ" A. Kopkowa, Teatr Współczesny, Szczecin 1979, reż. Krzysztof Zaleski, scen. Wojciech Wołyński.
zdjęcie górne: Tadeusz Zapaśnik (Moczałkin)
zdjęcie dolne: Tadeusz Zapaśnik (Moczałkin), Henryk Gęsikowski (Paszka) Fot. Z. Ryngwelski



Teatry Szczecińskie 1979

Bogdan Wojtczak

Ocena ubiegłego sezonu w teatrach szczecińskich uzależniona jest od kilku obiektywnych uwarunkowań. Po pierwsze — zaistniała sytuacja jest realną, sprawdzalną w praktyce konsekwencją podziału na dwie samodzielne placówki — Teatr Polski i Teatr Współczesny. Po drugie musi siłą rzeczy nastąpić rozliczenie z zaufania, jakim obdarzono młode dyrekcje i to (zważywszy odpowiedni czas adaptacji) bez początkowej taryfy ulgowej. Po trzecie należy odrzucić lokalne sentymenty czyli wyznaczyć aktualne miejsce Szczecina na mapie teatralnej kraju.

Zacznijmy od końca. Z satysfakcją możemy odnotować widoczną zwyżkę w porównaniu z tzw. „średnią krajową". Pisano o Szczecinie częściej, nierzadko nawet z pewnym zdziwieniem, że dobre to nie tylko Warszawa czy Kraków. Dowodem widocznej zwyżki formy były nagrody i wyróżnienia w Toruniu, współpraca Teatru Polskiego z warszawskim Powszechnym czy Współczesnego ze stołecznym imiennikiem. A więc zdobywaliśmy teren bez kompleksów. Odważnie odkrywaliśmy karty choć licytować można było jeszcze ostrzej np. współczesnością we Wrocławiu czy klasyką w liczącym się Opolu. Żebyśmy się jednak nie zagłaskali w pozytywach pora wypomnieć parę efektownych kiksów, taktownie przemilczanych przez szczecińską krytykę, wypominanych za to na łamach „Teatru". Bożena Frankowska stosuje kryterium wyróżniające obie sceny: „Współczesny wyraźnie postawił na możliwie najmłodszy repertuar i na twórczość inscenizatora, zdawał się kochać w inscenizacji efektownej i dopominającej się o błyskotliwy sukces. Teatr Polski słuchając głosu widza, ceni wielki klasyczny repertuar i wyraźnie odróżnia się od Teatru Współczesnego poziomem gry aktorskiej — aktorów dobrych i aktorów wypróbowanych w repertuarze dającym duże i trudne role." Brzmi to nieco paradoksalnej, ale praktyka dowodzi słuszności sądu. Współczesny, mający w swych szeregach kilku wybornych aktorów, zagubił impet pierwszego mocnego uderzenia („Jubileusz", „Macbett", „Lato i dym") i to wbrew początkowym deklaracjom Macieja Englerta. Przypomnijmy, że deklarował on zdecydowany prymat aktora w teatrze, podporządkowanie repertuaru i zabiegów inscenizacyjnych twórczemu rozwojowi sił aktorskich itp. Niestety z perspektywy lat widać jasno, że zrodził się teatr inscenizatora i to inscenizatora-hegemona, podporządkowującego zespół własnym ambicjom, co przyniosło w sumie ciekawy, choć połowiczny efekt artystyczny. Dotyczy to zresztą nie tylko Macieja Englerta ale i pozostałych reżyserów tego teatru w osobach Janusza Nyczaka, Krzysztofa Zaleskiego i Andrzeja Chrzanowskiego. Nieporozumieniem byłby zarzut braku umiejętności w pracy z aktorem. Rzecz w tym, że kierowano się nierzadko interesem nadrzędnym często przedkładając oryginalną poetykę nad realny potencjał twórczy tkwiący w aktorze. Stąd też kreacje niekiedy nijakie, rażące szarością i co tu ukrywać — beznamiętnym stosunkiem aktorów do owych oryginalnych ale zewnętrznych form interpretacyjnych. Aż trudno uwierzyć, że „Krawiec", „Słoń", „Burza" czy „Lot nad kukułczym gniazdem" nie stanowią właściwej partytury dla zaistnienia interesujących kreacji. Podobnie, jak prezentowane w Polskim, „Wiśniowy sad", „Don Juan" czy „Dwór nad Narwią". Polemizowałbym z tezą Bożeny Frankowskiej, iż repertuar wyznacza w decydującym stopniu duże i trudne role. Jest zapalnikiem aktorskich emocji, owszem, ale o końcowym efekcie decyduje zawsze osobowość reżysera-inscenizatora. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Wiadomo, że upodobania Janusza Bukowskiego zmierzają w kierunku wielkiej klasyki narodowej, ale nie odwraca się też Bukowski plecami do współczesności. Obie linie, co wskazywała praktyka, nie tylko nie wykluczają się, ale świadczą o ciągłości tradycji historycznej i kulturoweej, szczególnie akcentowanej w Teatrze Polskim w minionym sezonie. Klasycznym przykładem mogą być ubiegłoroczny „Pan Tadeusz" i nowy „Don Juan". Narodowy fresk z konieczności okrojony, za to pokazany z pietyzmem do największej naszej literackiej relikwi narodowej, a z drugiej strony odważne rozszerzenie znanej przypowieści z morałem o nowe pierwiastki współczesnej dialektyki. Akcentuję tu ową ciągłość świadom zdecydowanej przecież różnicy form wypowiedzi. Łączy je jednak zgoda z intencjami aktorów, co nie jest dziś tak bardzo w modzie. „Don Juan" został uznany za jeden z najbardziej frapujących spektakli roku. W czasie festiwalu w Toruniu „wzbudził najwięcej dyskusji, sprzecznych opinii, ale najtrwalej zapisał się w pamięci. Zadecydowała o tym wizja teatralna reżysera zachowująca pełną konsekwencję intelektualnej, czystość formy oraz śmiała i uwspółcześniająca a przy tym wierna Molierowi interpretacja XVII-wiecznego utworu". Tak pisała Ewa Kielak na łamach „Trybuny Ludu". Dodajmy, że Bohdan Cybulski odważnie rozszerzył romantyczną ideę z „Księcia Niezłomnego" o nowe doświadczenie przekornego, lecz w pełni świadomego, odczytania „Don Juana" jako wadzenia się z Absolutem z pozycji racjonalistycznych. W postaci bohatera zawarł spotęgowaną wizję Don Fernanda hic et nunc Anno Domini 79. Jakże często brzmi tu memento, iż sumienie i moralność — to dziś coś więcej niż nakaz społeczny, to przecież trudno osiągalny komfort psychiczny. Aby osiągnąć ów uniwersalny wymiar zastosował Cybulski dialektykę apoteozy i ośmieszenia. Być może nawiązał do wizji Casanowy Felliniego. Porównanie może zbyt śmiałe, ale kreacja Andrzeja Wichrowskiego jako Don Juana przypomina nieco stylistyką, budzącą równie wiele kontrowersji i sprzeciwów, filmową wizję Casanowy-Sunderlanda. W propozycjach Teatru Polskiego wyczuwalny był zbiorowy wysiłek całego zespołu, wyczucie intencji reżyserskich, które ujawniło się również w „Wiśniowym sadzie" a szczególnie w oryginalnej wizji teatralnej „Dworu nad Narwią" Jarosława Marka Rymkiewicza. Utwór ten szalenie trudny, bo utrzymany w konwencji komedii serio, nasycony w nadmiarze symboliką historyczną, nawiązuje zdecydowanie do teatralnego sporu o polski romantyzm. Potwierdza konsekwencję w drążeniu tematu, co jest wyraźnym wyróżnikiem zasady doboru repertuaru w tym teatrze. Przenikanie tradycji historycznych, dialog z pozycji uniwersalnych i narodowych zarysowały w efekcie ową ciągłość ideową i tematyczną popartą rzeczywiście dobrym rzemiosłem aktorskim i kilkoma rolami wybitnymi (Ewa Wawrzoń, Danuta, Chudzianka, Anna Lenartowicz, Zbigniew Mamont).

Jak w tym ujęciu rysuje się styl Teatru Współczesnego? Według oceny „Teatru": „Zainteresowania Macieja Englerta biegły wyraźnie w kierunku współczesności o dość specyficznym charakterze. Repertuar był wyraźnie pod względem problemowym eklektyczny, starał się pokazać odmienność stylistyk, a na pewno stworzyć dość obszerne pole do inscenizacji. A jednak (...) nieodparcie nasuwa się myśl, że był to teatr nastawiony bardziej na błyskotliwy efekt niż na porządkowanie świata — myśli i uczuć swoich widzów. Bliższa mu była analiza poprzez destrukcję niż synteza i porządek. Bliższy teatralny fajerwerk niż cyzelowana aktorska zawodowość". Ów surowy sąd wynika zapewne z niemożności znalezienia jakiejś jednoznacznej formuły twórczej sprawdzalnej w praktyce. Niemożności określe-

nia racjonalnego czynnika wiążącego tematycznie tak różnorodne propozycje. Nie czyniłbym z tego powodu larum, wszak prawo wyboru takiej, a nie innej propozycji jest prawem kierownika artystycznego. Gorzej, że niekiedy ambicje, szczególnie w ostatnim sezonie, zdają się przekraczać aktualny pułap możliwości tej sceny. Typowym przykładem może być „Burza" określona na łamach „Trybuny Ludu" jako „kolejna nieudana realizacja tej sztuki, będąca porażką ambitną." Ten wielki szekspirowski fajerwerk wieloznaczników okazał się materią zdecydowanie oporną, zbyt niedokreśloną, aby stać się jedynie sukcesem inscenizacyjnym czy scenograficznym. Mimo bogatych i urokliwych wizji scenicznych pary Englert — Lewandowski (tu pytanie o prymat zostaje otwarte) cała wewnętrzna konstrukcja pozostała niestety pusta. „Burzy" nie wystarcza popis zręczności inscenizacyjnych. Na nic zdają się pięknie zarysowane efekty. Istnieje potrzeba zdecydowanej wymowy ideowej i to w kategoriach wielce uniwersalnych. Nie wystarczy zaakcentować krzyżujące się wątki Miranda — Ferdynand, Ariel — Kaliban, gdy reszta rozłazi się w szwach a Prosper wręcz szeleści papierem. Potwierdziły się obawy wielkiego Petera Brooka o sens realizacji „Burzy", bez zdecydowanego pomysłu interpretacyjnego. Chwała Englertowi za odwagę a jednocześnie ostrzeżenie przed zbyt ostrymi przymiarkami, nawet jeśli wypływają one z zafascynowania możliwością iluminacji scenicznej przestrzeni. Połowiczny efekt „Burzy" przypomina zresztą „Wyzwolenie" tegoż reżysera. A więc zafascynowanie możliwościami kreacji teatru w teatrze, urzekające pomysły scenograficzne ale niestety kosztem zbyt jednostronnego rozłożenia akcentów, braku wewnętrznego spoiwa, niezbyt dopracowanych relacji postaci — ideogramów wyznaczających wciąż żywą, pobudzającą emocje Polaków aktualność dzieła Wyspiańskiego.

Do błyskotliwych efektownych dokonań Teatru Współczesnego możemy zaliczyć również gościnne realizacje „Krawca" Mrożka i „Słonia" Kopkowa. „Krawiec" to kolejna prapremiera będąca popisem dużych możliwości Janusza Nyczaka. W istocie jest to dyskurs na temat kondycji ludzkiej, problematyki władzy, prowadzącej do jawnego ograniczenia wolności zarówno jednostki, jak i całych społeczeństw. Dyskurs, który zamienił się w praktyce w prezentację tych samych chwytów — antytez. Nyczak okazał się sprawnym, utalentowanym reżyserem tyle tylko, że niepotrzebnie retuszując Mrożka wpadł w niezamierzoną przez autora pułapkę zabawy w teatralne sylogizmy. Taką możliwość ujawnia zresztą Małgorzata Szpakowska na łamach „Dialogu". „Słoń" Kopkowa w reżyserii Krzysztofa Zalewskiego ukazany w płaszczyźnie baśniowej narracji w zderzeniu z konkretną dosadną, łapciowatą rzeczywistością przyniósł świetnie uchwycone, naszkicowane z nerwem komiczne obrazki, wyobrażenia o „wewnętrznym locie" bohaterów ku doraźnemu szczęściu. To najbardziej przejrzysta, klarowna pozycja w repertuarze Współczesnego z rewelacyjną kreacją Tadeusza Zapaśnika jako Moczałkina i ciekawą rolą Urszuli Nowackiej jako Marfy.

W talii propozycji Współczesnego pozostawał jeszcze „as pikowy" — „Lot nad kukułczym gniazdem". Przyznam otwarcie, że nie mam żadnego stosunku do tego scenicznego dzieła. Być może ciąży na moim odczuciu wspaniały film Formana. Skoro jednak bierze się na warsztat propozycję tej rangi trzeba mieć jakąś kontrpropozycję, której trudno dopatrzyć się w jedynie rzemieślniczo poprawnej wizji Andrzeja Chrzanowskiego. Nie mogę zrozumieć dość mglistej koncepcji siostry Ratched, drugoplanowego ustawienia Indianina Bromdena, a już zupełnie nie przekonuje, nie wiedzieć po co przyjęte, widzenie szpitala z perspektywy jednego z pacjentów. Wydaje się, że przy widocznej dbałości o teatralizację tej ateatralnej pozycji (jaki możemy dać ekwiwalent za scenę ucieczki statkiem?) zabrakło rzeczywistej znajomości realiów zamkniętego światka, jakim jest szpital psychiatryczny. Może należało, podobnie jak uczynił to Forman, poprosić o konsultacje, ryzyko byłoby z pewnością mniejsze. A swoją drogą trudno nie zgodzić się ze stanowiskiem redakcji „Teatru", że niełatwo połapać się w aktualnej polityce repertuarowej Teatru „Współczesnego". Można wręcz zaryzykować twierdzenie, że wykładnią tej sceny jest nie tyle programowa eklektyczność, co wręcz pogoń za efektownymi nowinkami, epatowanie widza atrakcyjnością samej literatury czy nawet nowościami przekładowymi (vide Maciej Słomczyński „Burza"). Tego typu zabiegi trudno uznać za oryginalne czy głęboko przemyślane tym bardziej, że uczyniono z atrakcji regułę, co na dłuższą metę okazuje się jedynie półśrodkiem. Tym większa szkoda, że zamiast planowanej rywalizacji obu scen obserwowaliśmy ostatnio raczej ruchy maskujące, nietrudne do wychwycenia przez wyrobioną szczecińską widownię, a tym bardziej przez krajową krytykę.

Sumując — obserwowaliśmy w minionym sezonie nierówny lot Teatru Współczesnego ku efektywnej współczesności i miękkie lądowanie Teatru Polskiego zgodnie z konsekwentnie wytyczoną linią artystyczną. Mimo tej kontrowersyjnej polityki należą się Maciejowi Englertowi słowa uznania za akt odwagi wadzenia się z niełatwą materią literacką. Wykazał, że nie boi się podejmować żadnego ryzyka, a gdy z czasem zdobędzie większe doświadczenie w pracy z aktorem, może zabłysnąć niejednym elektryzującym pomysłem reżyserskim. Żegnając Macieja Englerta żegnamy się również z żalem z kilkoma utalentowanymi aktorami, którzy tu właśnie w Szczecinie zdobyli pierwsze szlify. No cóż, takie jest życie. Należy im życzyć, aby w Opolu pod ręką równie utalentowanego Bohdana Cybulskiego potwierdzili swe duże możliwości rozwoju artystycznego. Z nie ukrywaną nadzieją oczekujemy na otwarcie Małej Sceny Teatru Polskiego, która być może wypełni lukę w realizacji bardziej kameralnego repertuaru. O ile wiem preferować tu będzie Bukowski żywą aktualną publicystykę, która przeżywa swoisty renesans, otwierając tym samym nowe drogi teatralnych penetracji.

w Zamku Książąt Pomorskich, 1978 r.
„Książę niezłomny" reż. B. Cybulski, scenografia M. Jarnuszkiewicz, Teatr Polski — scena



Fot. Z. Ryngwelski

ANNA STANKIEWICZ

TADEUSZ ZAPAŚNIK -gra przeciw schematom

To nie są błazny — chociaż błaznów mkano,
oklaskiem darząc, w oczy im rzucano —
lecz ludzie, których na to powołano,
by biorąc się na maskę i udanie,
mówili prawdy wiecznej przykazanie.
Na co stać kogo, tajemnic tych sięga,
Wieczna w tym siła, groza i potęga.

(Stanisław Wyspiański)

Szkoda, że o tym aktorze tak niewiele się pisze, choćby przy okazji oceny spektakli, w których uczestniczy. Mowa tu o Tadeuszu Zapaśniku, którego każde pojawienie się na scenie zwraca uwagę widza i utrwala w pamięci jego sylwetkę, nawet jeżeli ten aktor nie gra roli pierwszoplanowej. Już z pobieżnego przeglądu ról odtwarzanych przez niego wyłania się interesująca osobowość aktorska, niezwykle silna, sugestywna, posługująca się bardzo różnorodnymi środkami i wartościami. Nie sposób zakwalifikować go jednoznacznie i przyporządkować do jednego typu ról. Wymyka się jakimkolwiek schematom.

Duża liczba ról i co za tym idzie rozmaitość i wielość środków wyrazu, przy pomocy których buduje każdą rolę, wskazuje na sporą skalę jego możliwości i umiejętności, niemal z każdą nową kreacją sceniczną powiększaną i doprowadzaną do perfekcji technicznej. Naturalnie, że można w grze Zapaśnika uchwycić cechy stałe, przede wszystkim zewnętrzne, zdeterminowane warunkami psychofizycznymi aktora, jak pewna nerwowość w poruszaniu się na scenie, żywe, szybkie gesty, niezwykle ruchliwa mimika objawiająca najmniejszy grymas i charakterystyczne sposoby patrzenia, poprzez które ujawniają się emocje bohatera, a zatem mruganie i mrużenie oczu, szerokie ich otwieranie, strzelanie oczami na boki, spojrzenie przenikliwe, ironiczne, przekorne, filuterne, oczywiście skoordynowane z tekstem sztuki, uzewnętrzniające przeżycia i psychikę odtwarzanej postaci.

Sądzę, że potwierdzeniem tezy, iż tego aktora nie da się zaszufladować w jednym typie ról, jest także fakt, może najmniej znaczący, a mimo to coś mówiący o aktorstwie Zapaśnika, że nie kojarzy się jego nazwiska z określoną postacią sceniczną, poprzez którą patrzy się na wszystkie kolejne role. Nie przyległ do niego Toni z „Jubileuszu" ani Łatka z „Dożywocia", ani Chwiston z „Farsy mrocznych", ani tytułowy Krawiec i żadna z wielu pozostałych postaci. Chyba również nie da się w nowych rolach widzieć w nim tylko ostatnie jego wcielenie, czyli Moczałkina ze „Słonia".

Duża ilość ról granych przez Zapaśnika, opracowanych w szczegółach, odmiennych w charakterze, oryginalnych, jest na pewno rezultatem posiadania bogatego warsztatu twórczego, operowania świetnie opanowanym rzemiosłem aktorskim, a także kierowania się doskonałą intuicją i... sercem w przygotowywaniu i odtwarzaniu kolejnych bohaterów spektakli teatralnych. Zdawałoby się, iż te metody są tak skrajne, że się wzajemnie wykluczają, jednak w przypadku Zapaśnika uzupełniają się. Rzemiosło, technika aktorska i cechy zewnętrzne stanowią dla niego podstawę, na której świadomie dokonuje wyboru środków i przekształcenia się w graną postać — zawsze możliwie najpełniej ludzką, prawdziwą, z wyraźnie zaznaczoną motywacją takiego, a nie innego postępowania lub podkreślaniem zachodzących zmian w jej zachowaniu.

Postacie Macieja Grzyba w „Awansie" Redlińskiego i Toniego w „Jubileuszu", „tego samego autora, to nie tylko postacie istniejące same dla siebie, dla potrzeb tych spektakli, mające przy tym rodowód chłopski, to także próba pokazania przez Zapaśnika ważnego społecznego problemu, jakim jest zetknięcie się kultury wiejskiej i miejskiej oraz ukazanie mentalności ludzi żyjących na styku tych kultur tudzież konsekwencji wynikających z tęsknoty do dawnych norm, moralności. Zarówno stary Grzyb, jak i Toni w wykonaniu Zapaśnika to postacie harde, uparte, zapamiętale broniące swoich zasad, mimo że ostatecznie nie umiejące ich obronić.

Obie postacie zdawałoby się podobne, bo należące do nurtu wiejskiego, Zapaśnik zróżnicował, pokazując w osobie Macieja Grzyba wieśniaka, do którego wraca po studiach w mieście syn Magister. I tu przed widzem aktor roztacza gamę uczuć, emocji, przeżyć starego ojca, chłopa z dziada pradziada, nieufnie przyjmującego nowatorskie pomysły syna, reagującego po prostu prymitywnie, bojaźliwie. Broni się przed wprowadzeniem do swojej chałupy „cudów techniki", chociaż po ojcowsku, wylewnie cieszy się z przyjazdu syna. W końcu powoli, stopniowo ulega „umiastowieniu". Zapaśnik przedstawił proces stawania się człowieka innym. Z niemałą ironią potraktował wypowiadane kwestie.

Z kolei Toni to już inżynier, pochodzący ze wsi, mieszkający w mieście, ale starający się usilnie zachować stare obyczaje i zasady. Toni Zapaśnika jest twardy i odporny, pełen godności, lecz też żałosny w zawziętości, aż niekiedy śmieszny w swojej pompatyczności i pseudofilozofii. Teresa Krzemień w „Kulturze" nr 13 z 1976 roku po prapremierze „Jubileuszu" w Szczecinie odnotowała: „Tadeusz Zapaśnik, który zagrał tę rolę (Toniego — dop. A. S.) może ją uznać za kreację. Tej klasy jedyną w przedstawieniu". A Michał Misiorny w „Trybunie Ludu" nr 77 z 1976 roku zauważył, iż w „Jubileuszu" Zapaśnik „wybija się na czoło w roli męża" i dalej, że jest to „artysta o dużej sile wewnętrznej i prawdzie". Istotnie, każda następna rola Zapaśnika potwierdza jednozdaniowe uwagi recenzentów o sugestywnie przekazywanej przez niego prawdzie o człowieku i tworzeniu postaci barwnych, nie płaskich, ale pełnokrwistych, które na oczach publiczności rozwijają się.

Tak więc piętnaście lat pracy na scenie w aktorstwie Tadeusza Zapaśnika zaznacza się coraz ciekawszymi efektami w budowaniu interesujących, bogatych wewnętrznie osobowości. Do tej pory udaje mu się być wiernym swojej zasadzie różnorodności w doborze ról granych przez siebie. I do niedawna mógł być wierny w teatrze jednemu reżyserowi Maciejowi Englertowi, z którym rozpoczynał pracę w Teatrze Współczesnym po rozdzieleniu Szczecińskich Teatrów Dramatycznych i ustaleniu dwóch dyrekcji: Teatru Współczesnego i Teatru Polskiego. Poza tym Zapaśnik wierny jest także Szczecinowi. Po skończeniu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi grał w Opolu, potem w Wałbrzychu, następnie w Białymstoku, z kolei pojawił się na krótko w Szczecinie, znów skok do Białegostoku i powrót do Szczecina.

Najbardziej znaczący w karierze Zapaśnika jest okres szczeciński charakteryzujący się udziałem głównie w sztukach współczesnych i przeważnie w reżyserii Englerta. Sądzę, że były to korzystne układy dla tego aktora poszukującego wciąż nowych środków wyrazu, poszerzającego krąg doznań i świadomie wymykającego się etykietkom. Na to zapewne — między innymi — pozwoliła kilkuletnia współpraca z Englertem, którego stosunek do tworzonego spektaklu najogólniej wyrażał się w logice przeprowadzania myśli, w zrywaniu szablonów teatralnych, w grze nietradycyjnej, w odkrywaniu stale czegoś nowego w roli, w świeżości koncepcji inscenizacyjnych. A zatem ten styl pracy i taka postawa wobec aktorów, wydaje się, że szczególnie odpowiada temperamentowi Zapaśnika i jego poszukiwaniom w pracy nad rolami. Można przypuszczać, że i reżyserom łatwo współpracuje się z tym aktorem, który ma zdolność wyczuwania intencji inscenizatorów, szybkiego odgadywania zamysłu przedstawienia. Umiejętnie, niezauważalnie podporządkowuje się konwencji spektakli, zawsze wzbogacając je przemyślanym w szczegółach rysunkiem kreowanej postaci.

Rodzaj ról stanowiących specjalność Zapaśnika to w zasadzie typy mężczyzn, często pochodzących ze wsi, wiedzących czego chcą w życiu, ale w swoim postępowaniu kierujących się swoistą filozofią chłopską, zdrowym rozsądkiem, buntujących się wobec tego, co im nie odpowiada, starających się za wszelką cenę przeforsować swoje poglądy, uciekając się do przechytrych sposobów w dochodzeniu do swego, słowem — to typy ludzi cwanych, spryciarzy, dusigroszy garnących do siebie pieniądze, lecz zawsze w napięciu i gotowości obserwujących otoczenie.

Elementy dominujące w aktorstwie Zapaśnika to precyzja w opracowywaniu roli, nasycenie jej wieloma pierwiastkami, bogactwo szczegółów w kreśleniu typów psychicznych, duża wrażliwość i niespokojna czujność oraz umiejętność mocnego podkreślenia i zaznaczenia bez mała każdego swojego zjawienia się na scenie.

W „Dożywociu", w znakomicie przez niego stworzonym popularnym portrecie Łatki, ukazał wielość cech umysłowych, usposobieniowych, charakterologicznych, osobowościowych tej postaci, uplastyczniając gestami, mimiką, głosem. Poza tym interpretację wzmocnił znamienną zewnętrznością tego osobnika. Na uwagę tu zasługują również jego etiudy — zwłaszcza mimiczne scenki — w niektórych epizodach będące aktorskimi perełkami w całym rysunku Fredrowskiego bohatera.

Wymienione cechy aktorstwa Zapaśnika jedynie sygnalizują to, co charakterystyczne i wartościowe, nierzadko odznaczające się mistrzostwem wykonania, w sylwetce ogólnej tego artysty. Przypomnienie w tym miejscu niektórych tylko ról nie może dać pełnego obrazu sztuki aktorskiej Tadeusza Zapaśnika. Niemniej i ten sposób dość szkicowy pozwoli wydobyć ideę zasadniczą przyświecającą rolom Zapaśnika, a mianowicie ukazywanie ludzkich namiętności poprzez odsłanianie wewnętrznych przeżyć, marzeń, przyczyn i skutków oraz motywacji tkwiących w psychice kreowanej postaci mającej zawsze związek z mentalnością człowieka dzisiejszego, jako że domeną tego aktora są indywidualności grane w sztukach współczesnych.

Rola Kalibana w „Burzy" Szekspira odpowiada stwierdzeniu, że Zapaśnik potrafi i w sztuce klasycznej odnaleźć wszystko to, co dotyczy ludzi współcześnie żyjących. Oczywiście, należy pamiętać również o założeniach zawartych już w samym tekście utworu, narzucających pewne wymogi poszczególnym rolom. Nacechowanie i tej postaci sposobem myślenia bliskim współczesnemu widzowi zyskuje dzięki Zapaśnikowi rangę ogólnoludzką i ponadczasową. Jego Kaliban jest barwny zewnętrznie (okryty łachem w kolorze zielonym, ton twarzy także zielonkawo-szary, peruczka z byle jak nastroszonymi włosami) i wewnętrznie, ponieważ odznacza się przewrotnością, ironią, złością, demagogią w dochodzeniu do postawionego sobie celu. Przechodzi przez wszelkie stopnie uczuć, emocji, nastrojów oraz... zachcianek — małych i wielkich. Bo jeśli Zapaśnik gra Kalibana zgodnie z tekstem, to od siebie, niemal prywatnie, dodaje cały splot uwarunkowań psychofizycznych i wyraziście akcentuje przejścia od spontanicznych porywów do wyciszenia zmysłów i uniesień. Na pewno to udana — w wykonaniu Zapaśnika — próba odsłonięcia tajemnic ludzkiego działania.

Rola Moczałkina w „Słoniu" Kopkowa w opinii recenzentów została wysoko oceniona, pod adresem jej odtwórcy skierowano wiele pochlebnych słów. Warto zatem prześledzić sposób prowadzenia tej postaci przez Zapaśnika. Konsekwentnie rozwija on logikę postępowania swego bohatera, umotywowaną związkiem przyczynowo skutkowym od chwili zdobycia fortuny, wokół której krążą zawistni sąsiedzi, jego ogłupiała rodzina i... marzenia Moczałkina; marzenia osiągające rozmiary ogromne, przy tym nierealne, śmieszne, lecz śmiałe poprzez stawiane tezy i wynikające wnioski. Zapaśnik jest tutaj cwanym chłopem, bystrym, myślącym. Jego beztroska to tylko maska, pod którą kryje się intensywne spekulowanie, jak tu wyjść na swoje. Mieni się różnorodnością nastrojów począwszy od momentu znalezienia złotego słonia i bezgranicznej chęci zatrzymania go przy sobie tudzież rozmyślań, jak dzięki takiemu kapitałowi można by żyć, aż do sceny rozstania się ze słoniem.

W każdej z tych scen nie opuszcza Zapaśnika temperament, krzepka żywotność, energia i siła przekonywania scenicznych partnerów i widzów o słuszności swojego działania. W miarę rozwoju akcji Moczałkin staje się jej motorem. Cały czas główkuje, ma mnóstwo pomysłów na strzeżenie słonia. Irytuje go milcząca żona i leniwe, bezmyślne dzieci. Nie może z nimi porozumieć się. Nie pojmują jego intencji. Wszystkie te stany wygrywa sobie właściwymi środkami, tworząc postać z rozmachem, wzbogacając o obserwacje własne, nie ma tu fałszywego gestu, spojrzenia.

W finale przedstawienia szykujący się do lotu balonem ze swoim skarbem ukazuje się jako człowiek pełen wahań, wątpliwości, niepokoju, raz po raz wybucha gniewem, to znów cichnie, popada w liryzm. Gdy staje przed wyborem: uciekać ze złotem czy zostać z rodziną oddając skarb, jest zwyczajny, normalny, ale opętany myślą realizowania swoich marzeń. W oczach przerażenie przed podróżą w nieznane. Głos mu się łamie, lecz stara się być stanowczy i nie okazywać strachu. Moczałkin Zapaśnika nie boi się próby zmierzenia ze swoimi marzeniami. Wie, że jest na tyle przebiegły, że... wyjdzie na swoje. Pokazał, iż nie wolno żyć tylko marzeniami, tym bardziej, że są one nietrwałe, gdyż przychodzi moment kiedy spada się z balonu, w którym pozostają marzenia i wraca się do rzeczywistości, i trzeba się z nią pogodzić. A marzyć można i należy.

Moczałkin w wykonaniu Zapaśnika wszedł na trwałe do dorobku aktora. Jeden z recenzentów napisał o nim, że „jest jeszcze wciąż aktorem odkrywanym dla jego aktorskich możliwości".

Być może, iż Tadeusz Zapaśnik okaże się także świetnym monodramistą. Dopiero teraz poczuł się w pełni dojrzały zawodowo, by sprostać wymaganiom stawianym w małych formach teatralnych — przede wszystkim umieć swoją osobowością zainteresować publiczność, potraktować ją serio, przekazując coś ważnego od siebie, nie kokietować jej, jak to często zdarza się w tej profesji.

GRZEGORZ SZTABIŃSKI

Sztuka i teoria sztuki

✻

Uwagi o VIII Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych

Szczególnie ważną rolę w sztuce naszych czasów pełni refleksja teoretyczna. Nie znaczy to, że uzyskuje ona przewagę nad działaniami praktycznymi, praktyką artystyczną. Jednak relatywnie, w porównaniu z sytuacją jaka istniała w epokach poprzednich zauważyć można, że zarówno artyści, jak i publiczność, coraz częściej stawiają sobie pytania, które dawniej stanowiły domenę krytyków i teoretyków sztuki. Potrzebę wypowiedzi słownej odczuwają często artyści najwybitniejsi. Należy więc tę sytuację traktować jako swoisty „znak czasu".

W kontekście powyższych uwag uzasadnione i potrzebne okazuje się połączenie ostatniej szczecińskiej Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych z sesją krytyków sztuki. Organizatorzy tegorocznej Prezentacji zaproponowali, aby zarówno autorzy, jak zestawy pokazywanych obrazów, były wybierane przez krytyków. W ten sposób delegowany krytyk miał być autorem zestawu artystów i dzieł reprezentujących dany kraj. Wybór ten dokonany miał być w imię koncepcji sztuki przez niego uznawanej, ukazywać ją możliwie klarownie i wyraziście. Ponadto każdy z krytyków w czasie sesji miał obowiązek zestaw prezentowanych dzieł uzasadnić.

W założeniach organizacyjnych tegoroczna Prezentacja stanowić miała nową formę organizacji imprezy artystycznej, w której w równych proporcjach pojawić się miały oba wymienione w tytule tego artykułu elementy: sztuka i teoria sztuki. Nowość polegać miała przede wszystkim na podejściu kompleksowym i połączeniu imprez zwykle istniejących oddzielnie. W tym przypadku w ramach jednej całości znalazły się: ekspozycja malarska, plener i sympozjum krytyków.

Zgodnie z założeniami programowymi ekspozycje prezentujące poszczególne kraje miały być rezultatem wyboru dokonanego przez krytyka. Niestety, w większości przypadków założenia te nie zostały spełnione. Artystów typowały Rady Artystyczne przy Zarządach poszczególnych Związków Artystów Plastyków. Krytycy byli natomiast zaproszeni tylko do zaprezentowania twórczości wybranych wcześniej artystów we wstępach do katalogu. W konsekwencji wystawy prezentujące poszczególne kraje nie były autorskimi (w sensie ukazania określonych poglądów na sztukę) pokazami krytyków. Nie zostało więc spełnione podstawowe założenie wysuwane przez organizatorów tegorocznej Prezentacji.

Zdecydowana większość prac pokazywanych na Prezentacji ma charakter przedstawiający, stanowiąc odmianę sztuki realistycznej. Sztukę Związku Radzieckiego reprezentowała twórczość Jurija Pawłowa. Artysta ten — przedstawiciel średniego pokolenia radzieckich malarzy — sztuka indywidualnego, intymnego kontaktu z otaczającym go światem. Nie interesują go tematy wielkie, tragiczne. Uczulony jest natomiast na urodę świata, piękno życia, co pokazuje z nutą filozoficznej zadumy, nie stroniąc od nastrojowości i emocjonalności. W zakresie środków wyrazu artystycznego odpowiada temu podkreślenie roli koloru. Właśnie zróżnicowane plamy barwne tworzą w obrazie przestrzeń, kształtują rzeczywistość przedstawioną, jednocześnie określając tonację emocjonalną całości. W zakresie tematów artysta ogranicza się do tego, co najprostsze — maluje martwe natury, pejzaże, akty. Czasami tylko sięga po tematykę bardziej złożoną, pokazując sceny zbiorowe z dużą ilością osób. Jednak nawet wtedy kolor nie traci roli podstawowego środka wyrazu i nośnika głównego przesłania artystycznego Jurija Pawłowa. Zainteresowanie kolorem jako środkami indywidualizacji ukazywanego obrazu świata cechuje także twórców bułgarskich. Todor Borisow Chadzinikołow i Enczo Pironkow używają barw ostrych, nasyconych, kontrastowych. W efekcie, w przeciwieństwie do spokojnego, kontemplacyjnego charakteru obrazu świata J. Pawłowa, twórcy bułgarscy pokazują dramatyczność ukrytą nawet w najzwyczajniejszych zdarzeniach.

Na tym tle wyróżniają się prace trzeciej reprezentantki Bułgarii — Marii Teresy Gospodinowej. Operuje ona ściszoną gamą barwną, delikatną i rozbieloną, która zaciera kontury elementów przedstawionych, spowijając je jak gdyby delikatną mgłą.

W pracach wszystkich artystów, o których dotąd pisałem, dominował kolor. On określał indywidualny sposób widzenia rzeczywistości i stanowił nośnik podstawowych treści emocjonalnych. W obrazach artystów z NRD i Czechosłowacji większą rolę odgrywa rysunek. Tendencje do ekspresjonistycznej deformacji widoczne są zwłaszcza u twórców z NRD: Christiana Heinze i Karla Raetscha. Obaj ci artyści zainteresowani są portretami indywidualnymi lub zbiorowymi. Przy tym ukazywane osoby charakteryzują w sposób dosadny, z dużą wnikliwością psychologiczną. Głównym środkiem wyrazowym jest tu znakomity rysunek wydobywający główne cechy charakterystyczne modeli. Artysta czeski Vlasimil Benes wykorzystuje rysunek w inny sposób. Dąży on do podporządkowania fragmentu rzeczywistości pokazanej w obrazie jednolitej zasadzie stylistycznej. Polega ona na uproszczeniu i lekkiej geometryzacji kształtów. Wszystkie elementy obrazu określone są linearnie, a delikatne barwy nadają uporządkowanej całości subtelny wyraz emocjonalny.

Jedną z najciekawszych propozycji artystycznych na tegorocznych „Prezentacjach" są dla mnie prace reprezen-

tanta Rumunii, Horii Bernea. Artysta ten maluje kilka wybranych motywów, takich jak: autoportret, chustę ludową różnie układaną, kwiaty na obrusie, skrzynkę z jabłkami, wzgórze itp. Motywy te rozwijane są w długie serie obrazów. Na wystawie pokazany został cykl „Wzgórze V"'. Osiem obrazów ukazywało ten sam fragment pejzażu. Jednak poszczególne płótna różniły się formatem i zasięgiem tego co na nich przedstawione. Różnice te, to rezultat zmiany punktu widzenia artysty stopniowo zbliżającego się do przedstawionego motywu. W wyniku tego następuje przejście do ujęcia ogólnego, co ujęć coraz bardziej ograniczonych, przy czym w obrazie uwidacznia się coraz większa ilość szczegółów przedtem niewidocznych.

Obrazy Bernei są rezultatem refleksji nad naszym sposobem widzenia świata, relacjami jakie zachodzą między podmiotami i ich zależnością od osoby obserwującej. Podobne problemy pojawiły się w pracach Zbigniewa Karpińskiego i Ryszarda Tokarczyka, którzy reprezentowali Polskę. Zbigniew Karpiński uprawia malarstwo realistyczne w swoistej odmianie, zdobywającej sobie w Polsce coraz więcej zwolenników, a określanej jako realizm fotograficzny. Pośrednikiem między naturą i obrazem malarskim staje się tu aparat fotograficzny. Narzędzie to wykorzystywane jest przez artystę nieprzypadkowo. Zaczynamy więc w coraz większym stopniu oglądać świat poprzez obiektyw aparatu. Poza tym nasza wiedza o rzeczywistości w dużym stopniu oparta jest na zdjęciach zawartych w magazynach ilustrowanych, pokazywanych w telewizji lub w filmach. Czy nasz obraz świata nie jest więc ukształtowany przez stylistykę zdjęciową? Czy nie obserwujemy go w sposób właściwy dla fotografii czarno-białej lub barwnej wychwytując przede wszystkim to co w nim swoiście „zdjęciowe"? Pytania takie, nasuwające się w związku z całym nurtem polskiego foto-realizmu, wyraźnie narzucają się w związku z twórczością Karpińskiego. Są to pytania dotyczące mniej tego co widzę, a bardziej jak widzę, co moje widzenie kształtuje, czy zakłóca.

Charakterystyczne, że w pracach pokazywanych na tegorocznej Prezentacji podział na sztukę przedstawiającą i nieprzedstawiającą, do niedawna uważany za tak istotny, nie wydaje się najważniejszy. O wiele poważniejszą rolę odgrywa, jak sądzę, akcentowanie emocjonalnych lub intelektualnych podstaw twórczości. Przykładem mogą być prace Ryszarda Tokarczyka. Używane przez niego kształty są na pograniczu przedstawiania i nie przedstawiania. Artysta ogranicza gamę barwną do dwóch lub trzech kolorów położonych płasko. Jednak występujące skojarzenia z realnymi postaciami i przedmiotami lub brak takich skojarzeń u odbiorcy są nieistotne. Tokarczyk śledzi procesy kształtowania się przestrzeni wyznaczonej przez stosunki, jakie zachodzą między stworzonymi przez niego elementami. Celowo ograniczając środki artystyczne dąży do kontrolowania intelektualnego otrzymanych efektów. Na pograniczu sztuki przedstawiającej i nieprzedstawiającej usytuować można także prace dwóch pozostałych reprezentantów Polski Andrzeja Kurzawskiego i Jerzego Zabłockiego oraz przedstawiciela Węgier Gerzsona Pala. Jednak dominujący w ich twórczości czynnik emocjonalny czyni ich bliższymi twórczości przedstawicieli Bułgarii czy NRD, niż Tokarczykowi czy Józsefowi Baska, drugiemu przedstawicielowi Węgier, który uprawia abstrakcję geometryczną wyraźnie zintelektualizowaną.

Przedstawione tu refleksje związane z pracami pokazanymi na tegorocznych Prezentacjach świadczą, że pomimo iż zestawy nie były dobierane przez krytyków, ukazują wyraźnie zarysowaną problematykę teoretyczną. Istnienie i rola tej problematyki uwidocznione zostały także podczas pleneru i sympozjum krytyków krajów socjalistycznych.

Punktem wyjścia do dyskusji stała się więc charakterystyka sytuacji w sztuce poszczególnych krajów i określenie miejsca, jakie zajmują w niej twórcy, których obrazy można było oglądać na wystawie. I tu ponownie okazało się, że wystąpienia o charakterze opisowym przeradzały się w dyskusje nad zagadnieniami o podstawowym znaczeniu dla teorii sztuki współczesnej. Wyróżnić wśród nich należy dwa problemy, którym uczestnicy sympozjum poświęcili najwięcej uwagi:

— związek sztuki współczesnej z tradycją i środowiskiem, w którym powstaje;
— miejsce i funkcje sztuki współczesnej.

Pierwszy z wymienionych tematów podjęty został teoretycznie przez przedstawiciela Bułgarii Kiryła Kristeva. Przedstawił on koncepcję czterech sytuacji stosunku sztuki do rzeczywistości:

— obiektywne odbicie obiektywnej rzeczywistości,
— subiektywne przedstawienie obiektywnej rzeczywistości,
— subiektywne wyrażenie subiektywnej rzeczywistości,
— zobiektywizowane pokazanie świata wewnętrznego.

Przedstawione sytuacje stosunku sztuki do rzeczywistości, zdaniem K. Kristeva, obejmować miały wszelkie zjawiska artystyczne. I tak sytuacja pierwsza charakterystyczna jest dla sztuki naturalistycznej i akademickiej. Druga, dla realizmu i realizmu socjalistycznego. Trzecią, w której rzeczywistość subiektywną (psychiczną) wyraża się w sposób subiektywny spotykamy w sztuce metafizycznej, ekspresjonizmie i taszyzmie. Czwartą, gdzie dąży się do obiektywizacji tego co subiektywne, odnaleźć można wszędzie tam, gdzie mamy próby tworzenia systemów, a więc zarówno w alegorycznym klasycyzmie, jak w kubizmie, abstrakcji geometrycznej, surrealizmie i hiperrealizmie. Bardzo ogólny jest ów podział. Połączone zostają w nowe zjawiska artystyczne bardzo od siebie odległe, przy czym nie jest wystarczająco wyjaśnione, jakie to ważne cechy wspólne mogą powodować zaliczenie ich do jednej klasy.

Schematyzm owego podziału uwidocznił się dodatkowo w świetle konkretnych wystąpień Mjudy Jabłońskiego z ZSRR i Barbary Benecke z NRD. Autorki te zajęły się przedstawieniem zmian, jakim uległy w ich krajach koncepcje stosunku sztuki do tradycji i współczesnej rzeczywistości. Zwłaszcza obszerny, bogato udokumentowany materiałem ilustracyjnym referat M. Jabłońskiej wzbudził duże zainteresowanie. Jako podstawowe dążenie zauważalne w aktualnej sztuce radzieckiej wskazane zostały: 1. odejście od literackości w kierunku zaakcentowania wartości czysto plastycznych; 2. wybór tematów ukazujących wszechstronne życie ludzi. Dążenia te zarysowały się od początku lat sześćdziesiątych, stanowiąc opozycję w stosunku do pompatyczności, ckliwej romantyczności i reprezentacyjnego charakteru sztuki wcześniejszej. Pojawił się więc najpierw „surowy styl", ograniczający literackość tematu na rzecz pogłębienia psychologicznego. Następnie zaś młode pokolenie podjęło problematykę ogólną, filozoficzną, ogólnoludzką i ponadczasową, poszukując dla niej nowych form wyrazu. Przemiany te trudno byłoby ująć w ramach systematyki proponowanej przez K. Kristeva.

Drugi z wymienionych kręgów problemowych, dotyczący miejsca i roli sztuki, podjęty został przez T. Enescu z Rumunii, V. Winter'a z Czechosłowacji i autora tego artykułu. Głównym zagadnieniem stało się tu uzasadnienie potrzeby poszukiwań artystycznych. Jakie są powody wielokształtności formalnej i wieloproblemowości sztuki współ-

czesnej — dwóch cech powodujących wyrażenie różnorodności, które może przy pierwszych kontaktach wywołać u widza uczucie dezorientacji i zagubienia? Czy sztuka dzisiejsza jest zjawiskiem może nawet bogatym i interesującym, ale izolowanym od potrzeb i zainteresowań odbiorców? W czasie dyskusji wielu uczestników, zgodziło się z tezami mojego wystąpienia, w którym twierdziłem, że źródłem wielu nieporozumień jest nieuwzględnianie wielofunkcyjności sztuki współczesnej. Stanowi zaś to najistotniejszy moment odróżniający sztukę dawną od tworzonej dziś. Niedostrzeganie wielkości funkcji sztuki współczesnej związane jest z wciąż żywym oddziaływaniem dawnych stereotypów estetycznych. Głosiły one, że sztuka stanowi autonomiczną, izolowaną część kultury, a celem jej jest realizowanie specyficznych artystycznych wartości. Dążenie do nich miało być jedynym uprawnionym celem działań artysty.

Taka koncepcja sztuki i jej roli w życiu miała swoje uzasadnienie w całości kultury XIX i początku XX wieku. Jednak obecnie nie wszyscy, a może nawet tylko nieliczni odbiorcy poszukują w dziełach sztuki chwilowego oderwania od rzeczywistości. Twórcy współcześni zerwali natomiast prawie generalnie z „odświętną" koncepcją sztuki. Dążą oni wyraźnie do związania się z życiem codziennym. Chcą uczestniczyć w przemianach zachodzących w nauce, technice i innych rodzajach działalności ludzkiej, tak aby uwzględnić wszelkie możliwe sytuacje, w których wyniki działalności artystycznej mogą towarzyszyć człowiekowi. Łączy się to ze wzbogaceniem funkcji sztuki i zwiększaniem zasobu możliwości jej oddziaływania na odbiorców. Artyści nie mogą już zgodzić się na wąską, choć autonomiczną rolę w dzisiejszej rzeczywistości. Wąskie i jednostronne pojmowanie funkcji sztuki wysuwają nawet jako przyczynę jej obecnego kryzysu. Dlatego też kwestię funkcji sztuki czynią sprawą otwartą i przedmiotem swych poszukiwań. Bo ona także może podlegać zabiegom twórczym. Artysta współczesny nie tylko proponuje rozwiązania warsztatowe, stylistyczne, nie tylko określa wartości dzieła, ale także programuje jego rolę, jego społeczny obieg. I to precyzowanie funkcji prac jest tak wyraźne, że nie może być pominięte, niezauważone. Trzeba też, jak sądzę, traktować je jako swoistą wypowiedź artysty, jako pewną wartość ze względu na którą propozycja artystyczna może być oceniona. Kwestia funkcji może też stać się kryterium klasyfikacji, wyróżnienia grup twórców, ze względu na wspólne zakładanie przez nich kreślonej funkcji sztuki jako naczelnej i wyrażanie tego stanowiska w swych dziełach. Bo w sytuacji, gdy sztuka jest wielofunkcyjna, już sam wybór jednej z ról, jakie może ona pełnić, jest aktem twórczym, decyzją artystyczną.

Oprócz problematyki teoretycznej ważnym wątkiem podczas dyskusji krytyków sztuki był charakter samej Prezentacji i idea połączenia jej z plenerem i sympozjum. Wszyscy byli zgodni, że koncepcja taka jest istotną nowością, zgodną z rozwojem sztuki współczesnej i jej sytuacją społeczną w krajach socjalistycznych. Postulowano jednak, aby przyszłe wystawy i sympozja połączyć wspólnym tematem. Wysunięto też szereg konkretnych propozycji. Najciekawszą z nich wydaje mi się koncepcja M. Jabłońskiej, która zaproponowała na przyszłych Prezentacjach przedstawienie i przedyskutowanie problemów sztuki młodych artystów, debiutujących w latach siedemdziesiątych.

Kazimierz HENCZEL

Matce

brak nam po prostu łez by płakać
własną śmierć
która dawno przeszła już przez nas
i pogodzeni z nią
nadal żyjemy
ukrywamy tylko przed spojrzeniami bliskich
ten zapadnięty grób serca
na którym
czasami ktoś złoży wiązankę przywiędłych liści
powtórzą się na niej z pewnością słowa
„Najdroższemu
ukochanemu"
wypowiadane niegdyś intymnym szeptem
teraz
zaszeleści w nich tylko papier

brak nam po prostu łez by opłakiwać
ten ciemny zbiorowy grób serca
gotowy na przyjęcie
codziennie zabijanych słów
martwo przesypujących się w klepsydrze mózgu
tego smutnego grabarza
co wciąż rozkopuje świeżą rozpadlinę
wywlekając na dzienne światło
jakże bolesne zwłoki

brak nam po prostu łez
które skropią ten grób
to kamieniste pole
przez które mogą się jeszcze przebić pędy
życiodajnego słowa
i poduszką mchu
otulić powoli martwiejące serce

Widok z okna

Nocą opuszczonymi źrenicami
spoglądają na mnie okoliczne domy
Oczami swych lokatorów zanurzają się we mnie
i rozbiegają po pokoju
przenikając ściany swego czasu
wraz ze mną
wracają do siebie
Z kolejnego piętra powszedniej egzystencji
ziemia przyciąga samobójców
do grobu
Z rozbitym szkłem rozsypują się na bruku
Sensacja nocy zagarniętej
w wielonocną ciemność
Hipoteza dni nie przeżytych
Jedyny i trwały związek poety
z ziemią
i z czasem

Naprzeciw w prostokącie światła
usiadł człowiek
Oblicza pieniądze w prosektorium miesiąca
doustnie
podaje własną śmierć
niemowlętom do oczu

Jerzy Pachlowski — Wmyślenia

Z równym szacunkiem należy uczyć się u tego, który przeżywa popołudnie i wieczór swojego żywota, jak i u tego, który dopiero zaczyna stawiać pierwsze kroki po ziemi.

Na własny użytek rozważając, jaką przyjąć postawę do światów, w których umiejscowiony jest mój świat — nauczyciela czy ucznia? — w osobistym odczuciu odpowiedź pozostaje jedna: ucznia pokornego i w nauce rzemiosła i w cierpliwym uczeniu się człowieka. Umiejętność kształcenia w sobie pokory stwarza dopiero najpełniejszą możliwość pokonywania progów wtajemniczenia.

Kiedy zaczyna ugruntowywać się w tobie zarozumiałość i pewność siebie — z tą chwilą rozpoczyna się twoja duchowa i twórcza klęska.

Dążyć do uwewnętrznienia idei i spraw, które najgłębiej łączą się z twoim Ja.

Pogłębiać w sobie umiejętność utożsamienia się z bliźnim pod każdą szerokością geograficzną. Doznawać uczucia tożsamości ze zranionym psem i okaleczonym drzewem.

Dlaczego słuchamy i przyjmujemy prawie bez oporu opinie bliźnich o bliźnim i ulegamy. Nasiąkamy nimi wydając wyrok na podstawie oglądu poprzez brudne obmacane szkło fałszywego obiektywu. Jakże często czynimy zło i wyrządzamy krzywdę tak łatwo rezygnując z trudnego podejścia do poznania istoty pomawianego podmiotu. W końcu ze szkodą dla samego siebie i warsztatu literackiego, pomijając problem dokonywanych nadużyć moralnych.

Jak to jest? Jeden chodzi po ziemi jak gospodarz. Buduje co można zbudować. Naprawia zawsze, co się da naprawić. Boleje nad zmarłym drzewem i nad martwą wodą. Żyje w duchowym kontekście z całym światem. I jest taki, który przywłaszcza sobie wszystko, co można przywłaszczyć. Jeśli nie jest w stanie zagarnąć dla siebie, to musi zniszczyć albo bodaj sponiewierać i opluć. Liczy się to co moje, co dla mnie lub co z tego mogę dla siebie. Reszta jest nieistotna. Jeden i drugi z wyglądu są podobni do siebie.
No czym polega kwestia kiczu i autentyzmu w pokładach psychicznych osobowości człowieczej?...

To przygnębiające, jak często wiedza nie chodzi w parze z mądrością. Ileż głupców u miernoty duchowej z niepoślednim tytułem naukowym.

Co się stało w ciągu stosunkowo niewielu lat ze znaczącymi niegdyś w żywocie człowieczym pojęciami — sumienie — miłosierdzie — wyrzeczenie — poświęcenie — honor — sprzeniewierzenie dziedzictwu — godność... A przecież jeszcze nie tak dawno te pojęcia, idee wyznaczały sens życia ludzkiego w wymiarze jednostki i całych pokoleń.

Jedynie zdolność poczucia winy może wyprowadzić na drogę oczyszczenia.

Wystarczy prostactwo środków i celów, by odwołać się do ciemnych instynktów drzemiących w człowieku. Ale jakiej szkoły prawości i mądrości trzeba, by wyzwolić działanie wyższych wartości w człowieku i odwołać się tylko do nich.

Usłyszałem w ferworze wypowiedziane zdanie: „On się na tym nie zna. Nawet mu ręka nie drgnie"...

Jak czasami niewiele trzeba zachodu upodlającemu, by zmusić do upodlenia.

Otrzymałem list z obczyzny od przyjaciela. Jest w nim przejmujące w kontekście zdanie: — „Nie jestem naturą walczącą, to i nic nie mam do wygrania"... Zmęczenie i bezradność u ściany rozpaczy, poza którą nie ma już nadziei.

Świadomość duchowego dziedzictwa to świadomość i urzeczywistnianie na co dzień moralnego obowiązku.

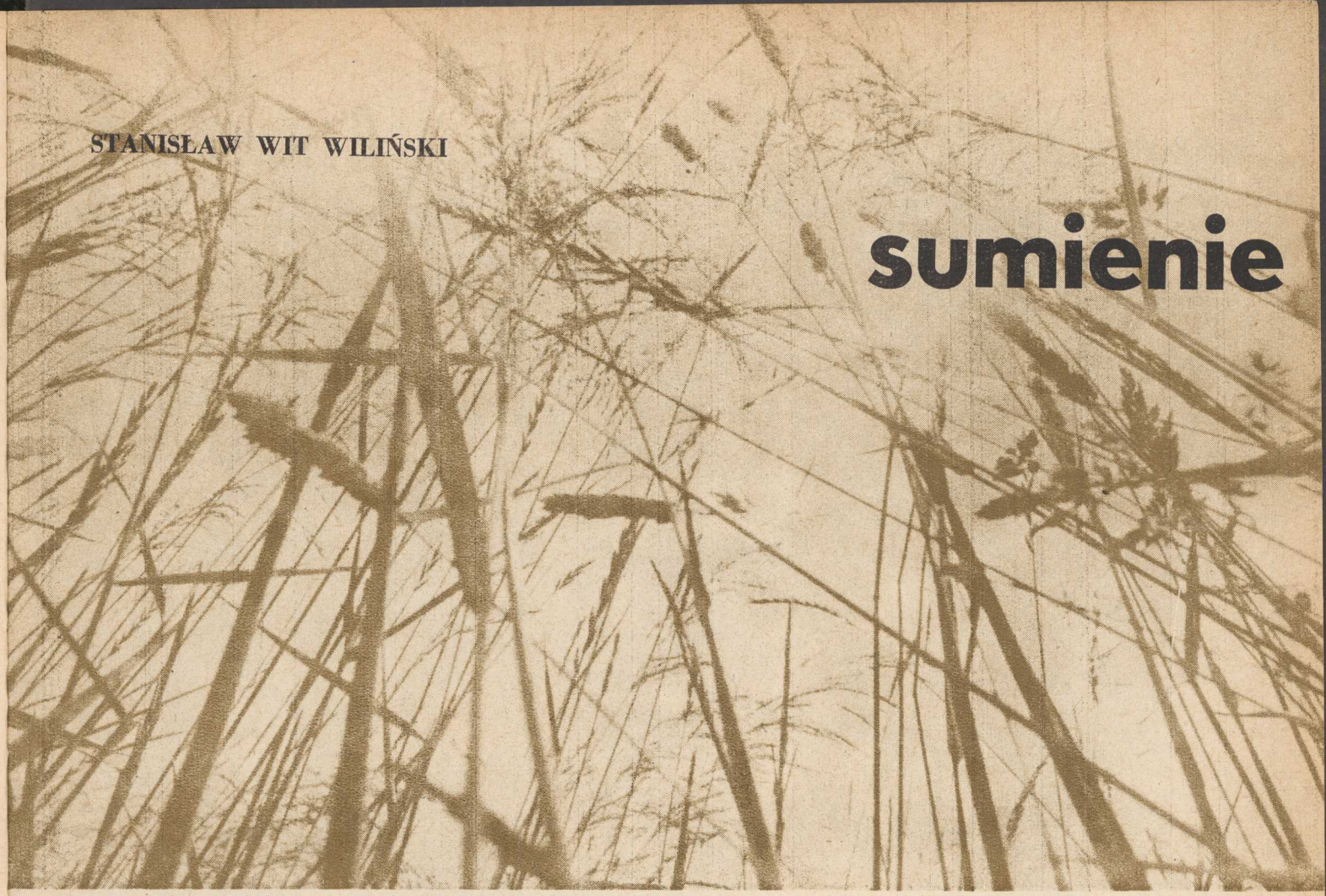
Dziedzictwo duchowe i historyczne pnia, do którego należymy, kształtuje ten szczególny i niepowtarzalny sposób odczuwania świata.

Wydaje mi się, że literatura jest potrzebą afirmacji życia. Wynika więc również z niepokojów o jego los. Świadome pisarstwo jest potrzebą ponoszenia odpowiedzialności.

Ktoś kiedyś, bardzo dawno, powiedział mi: — Człowiek kulturalny ma taki sam stosunek do księżniczki jak i do sprzątaczki. Jeśli jest inaczej, nie może rościć sobie prawa do kultury osobistej.

STANISŁAW WIT WILIŃSKI

sumienie



Fot. Z. Ryngwelski

Wybrali mnie sekretarzem oddziałowym, to zostałem. I nie nowość to dla mnie na starość. Łatwo Minisiakowi rządzić, kiedy ma ludzi na posyłki. Sam więcej wysiaduje w KW, aniżeli na zakładzie. Myśli, że taką załogą można kierować z gabinetu. O nie, bracie, nie tędy droga! Wspomnisz moje słowa, oni ci sami powiedzą o twoich błędach i dadzą nauczkę, że ci starczy na lata kontemplowania. A kto nie wyciąga wniosków ze swoich błędów, ten się nie rozwija, towarzyszu Minisiak. Wyszedłem z zebrania, bo myślałem, że mnie krew zaleje. Ciągle mi zarzuca niepewną przeszłość. Czego chce? I jak ja mogę go nazwać druhem, Ciągle szuka dziury w całym. Zresztą nie tylko u mnie. Zaatakował również dziennikarza, kiedy przeczytał maszynopis jego artykułu o naszych zakładach, który miał być drukowany w tutejszej gazecie. — A gdzie uchwała rządowa? — zapytał dziennikarza. — Gdzie choć jedno zdanie, że nasze zakłady zostały właśnie tu pobudowane? Gdzie wydajność kwasu siarkowego w procentach? Coś takiego sam bym lepiej napisał! — I przez tygodnie medytowali razem z naczelnym Budą, czy wyrazić zgodę na druk. Wreszcie Buda nie chciał przeciągać struny, wziął i zawezwał redaktora Skargę i pyta: — Słuchajcie, co wy o tym myślicie, bo ja się w końcu nie znam na takiej pisaninie. Minisiak twierdzi, że to do luftu. Może do luftu. Czy ja wiem?

— Co myślę? — odrzekł z uśmiechem Skarga. — Poważnie.

— No a jak?

— Myślę, że to całkiem niezłe, dyrektorze. Przecież nie możemy czekać na laurki. Bo ani pan, ani załoga nie byłaby z wazeliniarstwa zadowolona. A zresztą nadszedł już czas, ażeby krytykować zło i burżujstwo niektórych, tak czy nie!

Buda poruszył się na krześle. Podniósł okulary na czoło.

— Widzicie — cedził niepewnie. Minisiak orzekł, że to do niczego.

— Jak to? — zdziwił się Skarga. — A czy on jest w tej dziedzinie autorytetem, żeby się na tym znał?

— Diabli wiedzą — podrapał się za uchem Buda. — Nie żartujcie, nie żartujcie. Coś musimy z tym zrobić. Bo może nas facet obmalować w innej gazecie i będziemy się mieli z pyszna.

— Właśnie, o właśnie! — podochocił się Skarga. — Nie tylko że obmaluje, ale dowali. I co wtedy?

— Od tego się nie umiera — zauważył Buda. — Ale tłumaczenie murowane, a ono nie należy do przyjemności. Pal diabli. — zadecydował — Drukujcie, ale dopiero za dwa tygodnie, jak Minisiak pójdzie na urlop. Wróci z wczasów, krytyka rozejdzie się po kościach i będzie spokój.

— Aż do następnego artykułu, dyrektorze — zaśmiał się rubasznie Skarga, potrząsając za luźnymi spodniami. — Bo widzi pan, dziennikarze są jak psy. Idą za węchem i nie popuszczą.

— Pal diabli, pal diabli, kolego, wtedy trzeba się będzie przestroić na pół tonu niżej.

— Oho, dyrektor ma poczucie humoru! — niemalże zakrzyknął Skarga i pogalopował do redakcji, ucieszony, że wreszcie będzie mógł wydrukować w zakładowej gazecie kawałek ostrej krytyki. Z podniecenia aż się zarumienił, biegnąc korytarzem.

Niemal ze wszystkim tu tak było. Ludzie musieli się przebijać ze swoją prawdą, bo ich prawda, według co większych osobistości z dyrekcji, nie była prawdą wspólną. Zawsze istniało poczucie ryzyka, z którym trzeba się było liczyć. Trzeba było tak postępować, żeby nie podpaść, ani się nie narazić. Po prostu tak, żeby wilk był syty i owca cała. Towarzysze z KW wiedzieli o wszystkim, co tu się działo, ale nie chcieli się specjalnie wtrącać. Mówili, że załoga sama powinna rozwiązać problem współżycia z pracownikami dyrekcji. No to ludzie czekają do konferencji sprawozdawczo-wyborczej. A ja się tymczasem kuruję. Źle z tobą, towarzyszu Ziel, zarzucam samemu sobie. Gdzie się podziała twoja dawna upartość, twoje żelazne zdrowie? Idziesz w odstawkę, towarzyszu Ziel. I dobrze o tym wiesz, ale co poradzić, starość nie radość. Przez całą jesień kiedyś mogłem przesiedzieć na skraju bagien nad Notecią, czyhając na „Rysia", gdy miałem cynk, że będzie się przekradał tędy do starszej córki Musielca. Siedziałem, zaszyty w sitowie i nawet nie dostałem kataru. Buty nabrały wody i ciągnęło po kościach, a człowiek był jak skała.

Przyszedł do mnie brat Musielcówny, który był głową gospodarstwa. Bał się o swoją skórę, bo myśmy i tak już mieli na baczeniu jego obejście. Przyszedł i powiada: — Sekretarzu, dziś w nocy Frycha będzie u Madzi. — Zebrałem chłopaków, pięciu peperowców, trzech zetwuemowców i czterech ormowców. Poszliśmy na posterunek. Każdemu wsadziłem do łapy karabin i o zmroku ruszyliśmy, pośród szpaleru topoli, nad wijącą się wstęgę rzeczki, gdzie, schowany w sadzie, stał ów Musielcowy dom z czerwonej cegły. Z drewnianymi skrzydłami okiennic. Kiedyśmy podeszli do ogrodzenia, od strony południowej wszystkie okiennice były zamknięte, jakby pozabijane gwoździami. Był wśród nas także młodziutki jeszcze, może dwudziestoletni Gieniu Kubik. Zdecydował się pójść, chociaż wiedział, czym to grozi. Nie, nie, nikt mi tego nie powie, że nie jestem odpowiedzialny za jego śmierć. Byłem wtedy o sześć lat starszy od Gienia. Ale co ja mogłem zrobić sam w tym wieczornym polowaniu na „Rysia"? Musiałem zdobywać ludzi, ich zaufanie. Zresztą, w rok po zakończeniu wojny, każdy był dobry do trzymania broni. Każdy się liczył dla nas. I młody i stary. Nikim nie gardziliśmy. Bośmy wiedzieli, że im więcej walczących w peperze, tym organizacja silniejsza. Dzisiaj jest akurat odwrotnie. Powinno się w ludziach przebierać, nim się ich przyjmie do partii. Co mi tam. Mnie już nikt niczym nie przestraszy. „Ryś" dał mi taką lekcję strachu, że nie wiedziałem, czy jestem człowiekiem, czy bydlęciem. Mścił się, ale nie chciał mnie zabić. Był moim rówieśnikiem. Razem służyliśmy w harcerstwie. Wyjeżdżaliśmy na obozy. Lubiliśmy się, jak bracia. W czasie wojny, zawsze wynosił mi na zaplecze ich domu, za krzaki bzu, bochny chleba, bo jego ojciec był młynarzem. I mąki mieli w brud. Pamiętam ten grudniowy, przedświąteczny zmierzch, kiedy wyniósł mi taki duży bochen jak dynia. Ledwom go dźwigał do domu. Matula się ucieszyła, bo było co jeść przez święta. Było co dać ojcu, kiedy szedł na przetoki kolejowe. Za ten chleb „Rysiowi" zanosiłem węgiel w wiadrze, któryśmy mieli z deputatu. Taka zamiana, czarne na białe. Byliśmy prawie braćmi. I oto nagle, w ciągu jednego jesiennego popołudnia staliśmy się wrogami. Przez ten zbrojny przejazd oddziału AK, który przetoczył się przez miasteczko. Słońce złociście oblewało nasze pola, nie ostygłe jeszcze od wybuchów pocisków armatnich, zaśmiecone milionami granulek prochu, aż tu znów zaterkotały erkaemy na ulicach. Oddział AK przetoczył się przez tę zatkaną wiechciem dziurę. Uzbrojeni ludzie skaperowali chyba z siedmiu gimnazjalistów z naszego miasteczka, siedmiu harcerzy. Z nimi poszedł „Ryś". Nie wiem czemu zamarzyła im się inna Polska, czemu nie dość mieli wojny, śmierci, hitlerowskiego buta, stojącego nad okopami, śmigającego haropasa i zakrwawionej szyi, kiedy, wystrzelony, owijał się wokół niej, piekąc. Wiem jednak, że wiele niezadowolenia z władzy ludowej i nieufności do tej władzy, przecie jeszcze nieudolnej, bo zbyt młodej, chłopcy ci wynieśli z własnych domów, z rodzin. Starzy bali się panicznie o swoje majątki, pchnęli synów, pchnęli do lasu, do walki przeciwko własnym braciom. Tak zaczęła się gehenna mego życia, nieludzkiego, wręcz zwierzęcego zmęczenia. Poszli chłopcy do lasu, pociągnięci przez oddział AK. I to nie byli żadni bandyci, jak się gdzieś tam pisze lub pisało. To byli prawdziwi żołnierze.Potem oddział się rozleciał, a chłopcy, zawzięci już, nienawistni, walczyli nadal, na oślep. Aby dłużej, aby więcej narobić szkód „tym cholernym komunistom", jak mawiali. Sami jeszcze nie wiedzieli o jaką Polskę walczą. Nie zorientowali się, nie spostrzegli jak szybko zrodziła się w ich sercach nienawiść do dawnych swoich kumpli, którzy stali po drugiej stronie pola. Nie wiedzieli również, że muszą przegrać, ponieważ byli okłamywani przez swoich mocodawców. Służyli za narzędzie do zadawania śmierci. I nie tylko oni zabijali, ale my też. Dlatego nigdy „Rysia" nie nazwę bandytą! Był moim wrogiem politycznym, nie bandytą! Nieuchwytny, ciągle gdzie indziej, jak gdyby przenoszony przez wiatr, a z nim ziarno nienawiści. Nie mogłem go dopaść. On za to dopadał mnie, kiedy chciał, bo ja się nie kryłem. On był ścigany, ja ścigającym. Za mną stało prawo, a on miał swoją rację. Osaczanie, dzień po dniu, zrodziło w nim instynkt zwierzęcia, naturę wilka, żądnego krwi, pełnego niezgody na nową Polskę. Był oddany swojej sprawie tak samo jak ja byłem oddany mojej. Dlatego nie nazwę go bandytą! Skrzywdził mnie, okaleczył, wymordował moich ludzi, na koniec na drzwiach mego domu przykleił kartkę: „Jeżeli nie zastosujesz się do niniejszego ostrzeżenia, to drugą razą, dostaniesz 50 batów, a trzecią razą dostaniesz taki sąd, że się nie wyliżesz — sąd polowy natychmiastowy". Podpisano — dowódca grupy dywersyjnej por. „Ryś". Krótko, bez ogródek. Wiedziałem, co mnie czeka, dlatego też za wszelką cenę chciałem go dopaść. Żywego. I oddać pod sąd. On mnie nie zabił, więc i ja nie mogłem go rozwalić. Ale nie miałem sumienia już tego wszystkiego dłużej znosić, tych ciągłych napadów na moich ludzi, którzy, choć młodzi, mieli już żony i dzieci. I musieli ginąć. Kartka, jaką mi zostawił spowodowała, że „Ryś" stał mi się obcy. Zapomniałem nasze wspólne dzieciństwo, wędrówki beztroskie wzdłuż Noteci, na ryby, z jedną wędką wyciętą z leszczyny. Nie było już między mną a nim żółtych kaczeńców, zalegających naszą łąkę dzieciństwa, nie było wagarów za żydowskim cmentarzyskiem, nie było gry w palanta ani w nogę, ani w scyzoryk nie było, bom był już pewny, że dzisiaj ten jego scyzoryk, kupiony na odpuście w Mąkolnie albo w Licheniu, nie pamiętam, dziś to stalowe szerokie ostrze skierowane było w moją grdykę. To był już początek walki na śmierć i życie, z podstępstwami, z polowaniami. Czyhanie w mroku za węgłem stodoły. Z naganem zadzierzgniętym za pas spodni, albo z pepeszą pod płaszczem. „Ryś" przeważnie posługiwał się albo „Walterem" albo „Bertmanem", ja „Tetetką". Od tego czasu wiedziałem, że nie muszę iść do niego, żeby go dostać, że on sam mnie dopadnie, żeby jeszcze raz pohańbić, okazać swoją wyższość. Ostatnio, kiedym go widział, wyższego ode mnie o głowę, przystojniaka czarniawego, z włosami zaczesanymi gładko na prawy bok, obutego w czarne oficerki, w zielonych manczesterach i czarnej skórkowej kurtce, spostrzegłem, że się zmienił. Schudł i poszarzał na twarzy, posiniał pod oczami. Stał się po prostu jedną napiętą struną, w każdej chwili gotową do skoku, do zagrania przeciwnikowi z legitymacją partyjną ostatniego żałobnego marsza na swoim „Bertmanie", który połykał pociski bezpośrednio z taśmy, nie z talerza. Pluł nimi i rwał ciało na strzępy. Mieszkałem półtora kilometra za miasteczkiem. Niby niedaleko, ale kiedy przyszło mi codziennie przemierzać, w dzień lub w nocy, te tysiąc pięćset kroków, droga dłużyła się i pęczniało powietrze wokół. Zawsze wychodziłem za obórkę, rozejrzałem się po kątach, czujny jak pies, nasłuchiwałem, postałem trochę przy ustępie. Potem dopiero ruszałem miedzą, wzdłuż świniarni Krebsa, przy rowie odpływowym z warsztatów kolejowych. Tu skręcałem w prawo, na ścieżkę łąkową, i skradałem się wzdłuż maciczniaka. Zaś na wysokości żydowskiego cmentarza kluczyłem pośród sadów tak, żeby wyjść przy samiutkim kościele. Stąd miałem już tylko sto metrów do komitetu gminnego i posterunku. Idąc, miałem wrażenie, że cienie „Rysia", Kleczki, Gniazdy, Fe'cha, skradają się za mną, że stoją za pniami topoli z lufami wycelowanymi w moją pierś. Jedno było pewne, oni nigdy nie cackali się z tymi, którzy mieli już wyroki w kieszeni. Moje ostrzeżenie właściwie było wyrokiem. Nie wycofam się z polityki, grozi mi kula w łeb. Sąd polowy natychmiastowy! Życie z myślą, że nad człowiekiem wisi nabita, braterska broń było jeszcze trudniejsze do zniesienia, niż życie pod batem i karabinem okupanta. Nie mogłem sobie po prostu wyperswadować, dlaczego tak się dzieje, że Polak Polakowi obłudę niesie w oczach, a zamiast przyjacielskiego podania ręki nienawiść i kilka gramów ołowiu. Może nawet bym się wycofał z tej walki dla dobra całej mojej rodziny. Miałem małe dzieci i młodą żonę. Wycofałbym się z tego, z powrotem wsiadł na lokomotywę naszej ciuchci i przemierzał żelazne szlaki na Kujawach. Z polityki można się wycofać, myślałem, i nikt mi nic za to nie zrobi, nie wyklnie. Przecież to nie kontrwywiad. A może jeszcze bardziej będą mnie ludzie szanować? Z drugiej strony, miałem już wybite zęby i ta strona medalu nie dawała mi spać po nocach. Bolały szczęki. Pamiętałem ten ból długo, uparcie, cierpliwie, z zapalczywością. Natura ludzka zawsze działa przeciwko sobie, więc moja nie była lepsza. Poza tym, gdybym ustąpił, pod wyrokiem, z funkcji sekretarza gminnego, ludzie z gminy, po prostu, uznaliby mnie za zdrajcę, który się poddał ze strachu. A „Ryś" szalał. On miał w sobie wiele z akowca w swoich poglądach na ówczesną Polskę, ale w sercu miał coś z czarnej pantery, jeżeli ktoś mu stawał na drodze. Zresztą dał temu dowód. Nawet członka swego oddziału, którego podejrzewał o konszachty z peperowcami, kazał szybciutko sprzątnąć w lesie pod Zakrzewkiem. I przykryć chrustem. To był Gniazdo. Wahający się, politycznie niepewny. Zimą jakiś chłop z Teresewa, przejeżdżający końmi

przez las, zawiadomił posterunek, że leży tam człowiek w zielonym mundurze. Wsiedliśmy w dżipa, którego przysłali nam z powiatu, pojechaliśmy. Franek Gniazdo był przysypany cieniutką, ośnieżoną warstewką chrustu. Kruki już zdążyły pokancerować mu twarz, wydziobać oczy. Nie był do siebie podobny ten dwudziestoletni chłopak. Zabraliśmy zwłoki i pochowaliśmy na naszym, małomiasteczkowym cmentarzu. Wtedy właśnie, po pogrzebie Gniazdy, postanowiłem, że mimo wszystko, muszę się wycofać. Niech kto chce bierze to sekretarzowanie, ja wrócę do swojej roboty. Złamanego szeląga za to nikt nie daje, a głową się ręczy. Ale kiedy ten kulawy Musielec przywlókł się, by wsypać „Rysia", nie miałem wyjścia. Musielec mówił, że „Ryś" zamierza wykończyć co prędzej swoich wrogów i prysnąć na zachód. Daleko w Polsce, wśród obcych, łatwiej mu będzie się ukrywać pod przybranym nazwiskiem. A jednak, a jednak mnie poniosło i — otoczyliśmy dom Musielca.

— Gieniu — mówię do Kubika. — Staniesz Gieniu za węgłem domu, przy zamkniętej okiennicy. Będziesz pilnował tych dwu okien.

— Robi się — huknął Gieniu. Nacelował pukawkę na okno i stoi. Spiął się i stoi. Karabin mu w łapach dyga, a ten piorun stoi, jakby rzeczywiście pragnął coć upolować.

— Ja — powiadam — wejdę przez drzwi do środka. Jeśli będzie miał broń na podorędziu, na dwoje babka wróżyła. Reszta chłopaków obstawi drzwi. Kiedy się w nich ukaże beze mnie, strzelać w nogi.

Rozpełzli się po cieniach podwórza. Odbezpieczyłem „Tetetkę" i wchodzę. Uchylam drzwi. W kuchni przy stole siedzi Musielec i jego młodsza siostra Werka. Wskazują wzrokiem na drzwi do pokoju, że niby tam ci dwoje się kochają. Łapię za klamkę, zamknięte. Pukam do drzwi. Cisza. Pukam jeszcze raz. Cisza. Serce w gardle. Zegar, który odmierza czas życia. Zorientowałem się, że Musielec opowiedział mu wszystko, jak tamten sobie życzył, że cała sprawa była sterowana przez „Rysia". Nim zdążyłem się wycofać, posłyszałem zza drzwi pokoju brzęk szkła, walnięcie czymś twardym w okiennicę. Ryś dał drapaka przez okno, przy którym, na nieszczęście, czatował Gieniu. „Zeskakując z pulpitu, pociągnął serię z „Bertmana" dla utorowania sobie drogi". Tak brzmiało oskarżenie w sądzie. Gieniu zwalił się na ścianę, rażony w lewe płuco. Jeszcze żył, kiedyśmy na furmance Musielca wieźli go do miasteczka. Dżip odjechał wcześniej, żeby nie robić zamieszania w okolicy. Ludzie byli tacy, że jeśli go ujrzeli na drodze, chowali się po kątach, wiedząc, że będzie strzelanina. Szedłem przy wozie, trzymając za kłonicę i płakałem. Teraz już byłem przekonany, że muszę dostać „Rysia". I muszę go zabić. Bez ceregielenia się, bez względu na dawną przyjaźń. Nieważne moje życie, myślałem, kiedy giną młodsi. Trzymając się kurczowo kłonicy, przysięgłem sobie, że będę się bił do ostatka, do zatracenia. Nie powiem, żeby nie dręczył mnie ten świerzbiący w dołku, cholerny strach. Bywało, że zapominałem gdzie żyję, czy to jest rzeczywiście Polska, czy to są moje rodzinne strony, czy rodzina, to moja rodzina. I gdyby nie ciągły ból bezzębnej szczęki, której dziąsła powoli zaczęły się zabliźniać, gdyby nie wewnętrzne przekonanie, że czynię słusznie, nie odrzucając moich przekonań i towarzyszy broni, jak my to nazywaliśmy wtedy, naszych chłopaków, nic by mnie nie powstrzymało od ucieczki na kraj świata, żeby, po prostu, ratować życie. Konający Gieniu patrzył na mnie bezradnymi oczami, dając mi do zrozumienia, że powinienem uciekać. Z ust pociekła mu cieniutka strużka krwi. Gdyśmy dojeżdżali do miasteczka, skonał. Uciekać, myślałem, uciekać! Nie mogę, myślałem, ta śmierć młodziutkiego chłopca będzie za mną szła do końca życia! Zostanę i muszę go dostać, myślałem, żebym nawet miał stracić wszystko, co posiadam, myślałem. Nieprzyjemnie mi było obracać się wśród ludzi, z wyrokiem wypisanym na czole. A czoło mam duże, dziś już poradlone równoległymi, falującymi bruzdami. Wtedy, pamiętam, było jeszcze gładkie, okolone czupryną kruczych włosów. Zrzedły niczym przecięty lasek. Co ze mnie zostało? Co z ciebie zostało, Adamie Ziel? Najlepiej nie przeglądać się w lustrze, nie oceniać swojego wyglądu sprzed trzydziestu dwóch lat. Jednak to szmat czasu. Czy nie lepiej ocenić swoje czyny, zrewidować je, ulżyć pamięci? Z dalekiej perspektywy czasu powracają przecież inne, moje czyny, tysiąckrotnie przemyślane na wszystkie możliwe sposoby. Czy nie warto zadać sobie dziś pytania, czy ja, Adam Ziel, peperowiec, syn kolejarza z małego miasteczka na Kujawach, któremu w dzieciństwie, kiedy szedł do szkoły, żydkowie dawali cukierki w szeleszczących papierkach, a który im dziękował, bo tak go uczył ojciec, jestem coś wart? I czy teraz, w obliczu nowego czasu na tej ziemi, kolebce moich przodków i przodków ich przodków, przydaję się na coś tym młodym ludziom, pozującym na wodzirejów współczesności? Zawsze uczono mnie szacunku dla starszych i poszanowania dla umarłych, ale czy oni, młodsi, tym samym mi się odpłacą? Czy ci świeżo upieczeni działacze partyjni, zapatrzeni w siebie, w swoje nijakie bohaterstwo, które właściwie jest im dane tylko z racji przynależności, widzą we mnie wartościowego człowieka? A jeśli nie, to czy mam prawo mieć o to do nich żal? Pytania te dręczą mnie i prześladują. Najchętniej, bo najciszej, zwierzam się ze swego życia przed własnym, ciągle nie oczyszczonym, sumieniem. Oni mówią, że Ziel do niczego się nie nadaje, bo żyje wspomnieniami. Że przestałby zawracać sobie tym głowę. To nieprawda! Przecież nie chcę żyć z obrazem krwi w oczach, z obrazem wykrzywionych cierpieniem twarzy chłopaków, którzy nie przeżyli, których musiałem grzebać i patrzeć jak odchodzą w głąb ziemi. Najbiedniejsi, ale bohaterowie. Nie, nie, tego się nie da wydrzeć z trzewi nawet przez pięćdziesiąt lat, zamazać w wyobraźni, w świadomości. Czy ja naprawdę walczyłem za ojczyznę? Czy „Ryś", mój przeciwnik, walczył za ojczyznę? Zabici chłopcy śnią mi się po nocach. Młodzi, prawie dzieci. Czy tamci z AK, którzy zginęli w polu i często został po nich tylko kamienny cokolik na miejscu ich śmierci, czy oni walczyli za ojczyznę? I ten, co dzisiaj powie, że to był bandytyzm, jest głupcem, nie mającym najmniejszego wyobrażenia ani o miłości do rodzonej matki, do ojca ani o ukochaniu przenajświętszej ziemi. Blizny tymtych czasów, w mózgu, są ciągle bolesne, gorzkie. Nie boli mnie i nie przeraża obojętność dzisiejszego pokolenia na nasze, starych już, lecz ciągle żyjących, borykanie w osamotnieniu. Co ja takiego zrobiłem, że jestem im obcy? Byłem świadkiem, jak „Ryś", przyjaciel z dzieciństwa, z czasów okupacji, z niewinnego harcerzyka, dzień po dniu, przeistaczał się w zabijającego uciekiniera. Wtedy, kiedym z nim walczył, nie zastanawiałem się nad jego napiętnowaniem, bom nie miał na to czasu. Nie miałem nawet chwili na prywatne sprawy, na miłość do żony, do dzieci, na spokojny odpoczynek. Nie stworzyłem im domu, gdzie mogliby żyć bezpiecznie, bez przerażenia w oczach, bez kołatania serca. Nie stworzyłem im wtedy nic, za co mogliby mi podziękować. Spalałem się dla jednej wielkiej sprawy: życie bez nienawiści! Żeby to osiągnąć, musiałem przejść właśnie — o zgrozo! — przez piekło nienawiści i zagryzania warg. Za ból i rozpacz najbliższych ponosiłem całkowitą odpowiedzialność. Często myślałem, czy „Ryś", zabijając ludzi, zastanawia się nad odpowiedzialnością? Jeślim go dobrze znał, chyba tak. Tylko, że jego odpowiedzialność miała inny wymiar, niż moja. To była odpowiedzialność człowieka osaczonego, uciekającego nie tylko przed własnym sumieniem, ale i przed śmiercią. On także zostawił dom, rodziców, ojcowski młyn i skazał się swoimi czynami na potępienie. Przegrał życie! Po prostu przegrał, przemordował, przehańbił. Zabrnął tak daleko, że już nie chciał, a właściwie nie mógł, skorzystać z amnestii, złożyć broni i poddać się. Niemal wszyscy z jego oddziału zostawili go, opuścili, odsiadywali wyroki, a on ciągle był nieuchwytny, twardy akowiec. Skradał się chyłkiem, uśmiercał i znikał jak kamfora. Ludzie zaczęli nazywać go diabłem. Mieli rację, bo rzeczywiście „Ryś" bez pamięci, fanatycznie zatracał cechy człowieczeństwa. Niedoświadczonego politycznie, zdziczałego w lasach, osamotnionego, nie stać było na poddanie się, na powiedzenie: nie miałem racji, sądźcie mnie zgodnie z prawem! Czyżby bał się śmierci? Chyba nie ma takiego, który się jej nie boi. Z pewnością żył w strachu, może jeszcze większym niż ja. Przepoczwarzył się w ścigane zwierzę, które klucząc, podgryza gardła czatujących wrogów. Do nich należałem i ja, Adam Ziel, sekretarz komitetu gminnego pepeeru. Gdyby „Ryś" nie ruszył wtedy z tym oddziałem AK, co się przewalił przez miasteczko, przystąpiłby do nas. Chciał coś robić, pragnął działania, żywiołu. Wiem to, bom z nim rozmawiał. Pociągnęła go wtedy czarna, błyszcząca broń, lśniące oficerki i wielka, leśna przygoda, która, jak głosili kaperownicy miała przewrócić ojczyznę do góry nogami. Gdyby przyszedł do nas, byłby wiernym, oddanym druhem. Bo i tam w lesie, do końca nie zdradził swojej sprawy. Chciał być bohaterem narodowym, a stał się zabijaką. Historia, jak gdyby, domagała się wtedy bohaterów. Takich jak on i takich jak ja. Ale czy to było bohaterstwo, jeśliśmy się naprawdę bali

o życie? Jedni bohaterowie gryzą dziś ziemię. Inni, zmęczeni, bliscy omdlenia, żyją sumieniem. I nikt nigdy nie będzie znał całej czystej prawdy, bo umarli nie mówią. „Ryś" także nie żyje i nie powie prawdy. I taki Minisiak, który, nie wiadomo skąd się tutaj, w wielkiej chemiii, wziął, wmawia mi, żem pozbawiony współczesnej świadomości politycznej. Może to i prawda, bo należę do ludzi, którzy otarli się o śmierć do krwi i mają własną świadomość, nie pozbawioną wiary w dobrych, prostych ludzi. Współczesna świadomość! Czy to jest takie ważne? Jeśli człowiek poświęcił życie dla szczęścia innych? „Ryś" także był obdarzony świadomością polityczną ówczesnego Polaka, ale zapędził się i wielu mu w tym pomogło, w fałszywą drogę, w ślepy zaułek, na którego końcu stał przeciwnik. I żeby się wydostać, trzeba go było zabić albo zginąć. Przebiegły „Ryś", szybki, błyskawicznie strzelał. Ludzie, którzy zastępowali mu drogę, ginęli. Niedługo potem skazał na rozstrzelanie kolejnym wyrokiem młodziutkiego sekretarza zatwuemu Teosia Wargę. Podziurawili go, postrzępili. W noc sylwestrową czterdziestego szóstego rozharatali na łóżku chorego Weca. Na oczach żony, która, biedna, wlazła pod stół i wyła. Darła na sobie suknię i wyła. Wec był przewodniczącym komisji wyborczej w naszym okręgu. Ślusarz kolejowy, schorowany, łysy chłopina. Ideowiec prawdziwy, lubiany człowiek. Jednak to nie „Ryś" go sprzątnął, ale te świnie sokiści. Niby swoi, a świnie, dwulicowi. Pogrzeb za pogrzebem. Chyba ze dwadzieścia było ich w miasteczku w takim krótkim czasie. Aresztowaliśmy kilku sokistów, którzy współdziałali z „Rysiem". Grupa dywersyjna zostawiła żonie Weca jeden jedyny dokument, świstek, pieczęć śmierci, podpisaną przez Pogotowie Akcji Specjalnej. Byłem załamany, patrząc na to, co się dzieje. Nie miałem już siły bić się dalej. Trupy moich ludzi ciążyły mi na plecach, w oczach, w pamięci. Przestałem się skradać miedzami, coraz mocniej ściskając w kieszeni wyrok. To już nie miało żadnego znaczenia, czy zginę, czy nie. Przynajmniej dla mnie. Po prostu wstydziłem się patrzeć w oczy żonom, matkom, ojcom zabitych. Mierzyli mnie z nienawiścią, z pewnością przeklinali moje komunistyczne powołanie. Zazdrościli mi, że żyję. Cóż mogłem zrobić? Tylko ja wiedziałem, że „Ryś" skazał mnie na złamanie woli, na wyprucie bebechów, na codzienne wymioty, na obrzydliwość do samego siebie. Na wyrzuty sumienia. Krąg się zaciskał. Dławił. Czułem się jak żółw, obciążony kamienną skorupą cierpienia, wiedząc, że tylko w niej mogę się ukryć. Pociemniały, otulone śniegowym puchem ogrody. Zdawało mi się, że drzewa te już nigdy nie urodzą owoców. Że uschną z rozpaczy. Wysepki śniegu na ich gałązkach przynosiły na myśl kłaczki waty, utkane w dziury po kulach w dziecięcej prawie twarzy Teosia Wargi, w piersi Gienia Kubika, w szyi starego sumiennego Weca. Wolno załamywały się we mnie promienne skrzydła mojej idei. Nie sypiałem już w domu, lecz przemykałem się późnym popołudniem do wagonu na stacji. A zdawało mi się, że już się nie ukrywam. To były tylko złudzenia, bo natura ludzka zawsze się czegoś boi. Nie ma silnych, kiedy śmierć zagląda do oczu. Nie ma bohaterów, kiedy słyszy się szczęk zamka automatu, który ma wypluć serię kul, skierowaną w twoje serce. To wszystko bzdury o nieujarzmionym bohaterstwie! Człowiek jest tylko człowiekiem i pragnie żyć tak długo jak długo czuje się potrzebny, choćby jednej, na tym świecie, osobie. A jeśli ktoś mu na siłę wydziera życie z piersi, wyrywa z żył, człowieka ogarnia strach przed ciemnością, przed pustką, przed nicością. Wszystko może się powtórzyć, życie — nie! W wagonie, uzbrojony w pistolet, czekałem na niego. Trzeciej nocy przyszedł. Posłyszałem jego lekkie kocie skradanie, posuwające się wzdłuż wagonu. Odbezpieczyłem „Tetetkę". Drzwi nie były zamknięte na klucz. Żeby mnie zabić, musiał wspiąć się na stopień, potem na drugi i wskoczyć do środka. Stanąłem, dysząc, plecami przy drzwiach z bronią gotową do strzału. W prawej ręce. Ta „gra" musiała się wreszcie skończyć. Teraz znów mieliśmy się spotkać twarzą w twarz. Między nami nie pachniał już bochen drożdżowca do podziału, ale krew bliskich ludzi. Nie było już nic z naszej młodości, nad czym mogliśmy zapłakać. Wykwitł czerwony kwiat śmierci i ten kto go zerwie pierwszy, zwycięży. A zwycięstwo to będzie gorzkim doświadczeniem i ludzi, i ziemi. Wstrzymałem oddech, napięty, wyzuty z litości. Poruszyła się klamka. W ciemności nie widziałem jej, słyszałem powolny skrzyp. Nie, nie, jemu ręka nie przypsnie do zlodowaciałej klamki, bo on nosi skórzane rękawice. Myśli przewalały się, pędziły, zatłoczone w mózgu. Tylko jedną, właśnie z tymi rękawiczkami, pamiętałem. Myśl o nim. Zaschło mi w gardle. Drzwi uchyliły się, popchnięte. Myślał, że śpię. Nasamprzód, w nikłym świetle kolejowej latarni z pobliskiego słupa, dostrzegłem cień pistoletu. Wolniutko przesuwał się do wagonu. Wstrzymałem oddech. Mogłem strzelić w tą rękę. Jednak nerwy zawiodły. Nie wytrzymały napięcia. Nie strzelaj, nie strzelaj!!, krzyczała świadomość. Lewą dłonią pochwyciłem za lufę jego pistoletu, żeby go obezwładnić, dostać żywego. Nie wiem, naprawdę nie wiem, czemu nie mogłem go zabić? Tak, to był opór, który przerastał moje siły. Szamotaliśmy się w ciemności wagonu. Pociągnął za spust. Pocisk rozszarpał mi lewą rękę. Upadłem, wypuszczając broń. Nawet jej nie szukał. Tylko rzekł, tak to był on, poznałem go po niskim matowym głosie: — Wiedziałem, że to ty, Adam. Wiedziałem, że nie strzelisz. Sam tu przyszedłem, nie bój się. Gdybym zadanie zlecił chłopcom, dawno byś gnił, jak tamci!

— Wal! — mówię. — Dość tej mordęgi! Wal, do jasnej cholery!!

— Nie — odrzekł. — Nie zabiję cię. To byłoby zbyt łatwe dla ciebie, chłopie! Wiem, że ja już przegrałem. Za to ty będziesz musiał dźwigać na sumieniu śmierć twoich sługusów. Nie dla mnie twoja Polska i teraz już nie dla mnie twoja partia. Jeszcze się za nią nacierpisz, że sam będziesz błagał o śmierć. Ale miłosierdzia nie znajdziesz! To tyle. Ja już się niczym nie odkupię. Żyj jak najdłużej! — Jego cień zeskoczył po stopniach wagonu i zniknął w ciemnościach. Po chwili przybiegło, słysząc wystrzał, kilku dyżurujących na stacji kolejarzy. Sprowadzili gazik i zawieźli mnie do powiatu. Do szpitala. Była to nasza ostatnia rozmowa w ciemnościach tego służbowego wagonu. Jego fanatyzm sięgał obłędu. To już nie był człowiek, ale strzęp w ludzkiej skórze. Zabijanie zmaltretowało go, zmiażdżyło, jak gdyby starło z powierzchni ziemi. Miał już dość bohaterstwa i tej ohydnej zabawy w śmierć. A czy ja, czy ja, Adam Ziel, nie byłem podobnym strzępem? Chyba tak. Z tą tylko różnicą, że nikomu, w sposób bezpośredni, nie odebrałem życia. Nie byłem zabójcą. Czy jednak to uczucie dawało mi prawo do zbierania chłopaków w oddział i wysyłania w pościg za „Rysiem"? Przecież, choćbym nie chciał, skazywałem ich na śmierć. To przeklęte uczucie niewinnego człowieka, który był także winny, bo wtedy nie było ludzi niewinnych! On, mój wróg, pojął swoje czyny i wyniósł się z okolicy. A jego miejsce zajęła nie mająca nic wspólnego z AK banda „Tarzana". Po wyborach, pojechałem na jedno z wiejskich zabrań, zdaje się, do Mostek, bo tam bandyci napadli na kasę spółdzielczą. Zrabowali ponad dwieście tysięcy złotych. Ja byłem tam, w Mostkach, a „tarzanowcy" przerzucili się tu, do S., wdarli się do mojego domu, roztrzaskali główkę trzyletniemu Wojtusiowi, na oczach żony. Wychodząc, na drzwiach przykleili kartkę: „Jeśli nie rzucisz sekretarzowania, Ziel, rozwalimy ci całą rodzinę!" Nie mogłem oglądać główki synka. Nie mieściło mi się w głowie, że to uczynili. Owinąłem dziecko w prześcieradełko, wziąłem na ręce, przytuliłem do piersi i szlochałem. Nie myślałem już nic, nic, nic. Nie mogłem się pogodzić, że przekonania kosztują aż tyle! Ale czyż tak samo nie przeżywał śmierci swego syna bielusieńki jak gołąbek Kubik? Czy nie łkał na martwej piersi rodzonego dziecka malutki, przygarbiony szewc Warga? Czyliż matki tych poległych chłopaków nie przeklinały swego losu i tej wrednej, żądnej ofiar, polityki?! — O biedny ty! — wołałem, tuląc maleńkiego. Irka siedziała, skulona na podłodze, w kącie za łóżkiem, marmurowo biała, prawie nieżywa, skostniała z bólu. Przeklinała w osłupieniu i mnie, i moje obowiązki. Poza tym nie miała mi już nic więcej do powiedzenia. Jej ogromne chabrowe oczy patrzyły gdzieś daleko, bliskie szaleństwa. Miała podrapaną twarz i ręce. Musiała go bronić. Mijała północ. W lampie dopalała się nafta. Przepalony knot osmalił wierzchołek klosza. Czteroletni Antoś dreptał wokół stołu, powtarzając: — Bili, bili! Tata, bili! — Położyłem go do łóżeczka, przykryłem kołderką i długo trzymałem na jego brzuszku dłoń. Drżał, drżał, aż powoli zatopił się w przerywany lękami sen. Wyszedłem na dwór, na ogród, oparłem się plecami o wiśnię, skrzypiącą na mrozie i oszroniałą. Gwiazdy, drgając, przeświecały przez nagie gałązki. Krew uderzała do głowy rozżarzonym młotem. Musiałem wtedy krzyczeć. Wiem, że musiałem, bo tylko w ten sposób mogłem się uspokoić. — Wy skurwysyny! Wy mściwe gady! Chodźcie tu, chodźcie, no, przecież nie uciekam! Żmije! Bydlęta! — Niebo milczało, drzewa w sadzie milczały, ziemia milczała, milczał

Fot. Z. Ryngwelski, **ANDRZEJ ŚRAMKIEWICZ** — „Reminiscencje" — *olej*, z wystawy „Młodzi Plastycy Wybrzeża", Muzeum Narodowe, Szczecin 1979



Fot. K. Federowicz



ELŻBIETA KALINOWSKA-MOTKOWICZ — „H o r o s k o p" (fragment) — *olej*, z wystawy „Młodzi Plastycy Wybrzeża", Muzeum Narodowe, Szczecin 1979 Fot. K. Federowicz

PIOTR ŻERDZICKI — „O. K." — *olej*, z wystawy „Młodzi Plastycy Wybrzeża, Muzeum Narodowe, Szczecin 1979



Fot. K. Federowicz

świat dokolutko. Stałem tam do rana, słysząc jak u sąsiada wyje przemarznięty Burek. Być psem!, wołałem. Być szczurem!, wołałem. Czemu nie urodziłem się w szczurzej skórze?! Czemu nie urodziłem się świnią, która nie wie, że idzie na rzeź?!, wołałem. Nikt mojej skargi nie słyszał, a jeśli nawet, to ludzie bali się wyjść z domów. Wtedy poczułem wokół siebie bezgraniczną niemą pustkę. Osamotnienie. Byłem gotów kopać grób dla wszystkich „tarzanowców". I dla siebie. Oddzielny. Nigdym nie myślał, że swój, że człowiek obdarzony rozumem, uczuciem, może posunąć się tak daleko. Rano powlokłem się do miasteczka, kupiłem maleńką białą trumienkę. Ułożyłem w niej dziecko. I sam, na oczach podglądających przez firanki, poniosłem, biedne, na cmentarz. Siekierą wyrąbałem przemarzniętą skorupę ziemi, łopatą wyciosałem wygodny dół. Złożyłem w nim to białe niewinne stworzenie. Między korzeniami akacji. Za śmierć tego maleństwa także czułem się odpowiedzialny. Wygramoliłem się z grobu, spocony i półprzytomny. Usypałem mogiłkę. Przez cały czas czułem na plecach czyjeś oczy. Byłem obserwowany. Albo tak mi się zdawało. I znowu ten strach, dreszcz na grzbiecie. Siekierę i łopatę wsadziłem pod pachę i poszedłem prosto na posterunek. Kiedym się zbliżał do ryneczku, wybrukowanego kocimi łbami, przy pompie, z której lwiego pyska zwisały sople lodu, gromadzili się ludzie. W miasteczku trwało już ostre pogotowie. Kręciło się trochę wojska i milicji. Przyjechał nawet, ubrany po cywilnemu, przedstawiciel bezpieki. Zbliżył się do mnie, ten chudy wręcz, kościsty mężczyzna, zbudowany jak gdyby z postronków, na głowie miał brązowy kaszkiet. Podszedł i powiedział: — Współczujemy wam, Ziel, współczujemy. — Minąłem go bez słowa. Zaniosłem narzędzia na posterunek. Dyżurny poinformował mnie, że podczas obławy w Sycewie komendant Kanycha dorwał jakiegoś młodego bandziora. Że jest ciężko ranny i leży na tej furmance przy pompie.

— Czy to „Ryś"? — spytałem.

— Nie — odrzekł. — „Ryś" wyparował.

Pospieszyłem do tej furmanki. Leżał na niej może osiemnastoletni blondynek w furażerce z orzełkiem, w wyszmelcowanym zielonym drelichu. Miał otwarte szeroko niebieściutkie oczy i orli kształtny nos. Był ranny w brzuch. Ludziska gapiły się nań, pluły mu w twarz. Jeden z gromady, rosły grubas w papasze na głowie, czerwonogęby niczym wieprz, krzyknął: — Widzisz cepie, widzisz, zachciało ci się partyzantki! — Znałem go, to był Lesina, dawny kułak z Łyska, który jeszcze nie tak dawno przetrzymywał u siebie oddział „Rysia". Popatrzcie, pomyślałem, popatrzcie jak się zmienił, świntuch! A leżący na snopku słomy, rozścielonym na furze, chłopiec, nie był z naszych stron, bom nie kojarzył sobie jego niemal dziecinnych jeszcze rysów twarzy. Wystraszone oczy rannego kołowały, mieniąc się z gorączki. Na miękkim jeszcze zaroście srebrzył się szron. A na bladych smukłych rękach zakrzepła krew. Jęczał w bólach.

— Jak się nazywasz? — spytałem, pochylając się nad nim.

— Www...i...adro, panie. Wia...dro — wyjąkał przez zapieczone usta.

— No to się Wiadro przedziurawiło! — zadrwił Lesina.

Komendant Kanycha stał z drugiej strony wozu, trzymając rękę na kaburze pistoletu. — Ale mi się trafił gagatek, co?! — powiedział z zadowoleniem.

— Toś ty go tak urządził?

— A jak?! — pysznił się Kanycha. — Ma za naszych, sekretarzu, za naszych!

— Ludzie! — jęczał chłopiec. — Dobijcie mnie! Nie odstawiajcie ubowcom! Ludzie, błagam, dobijcie!

Pospieszyłem na posterunek zadzwonić do powiatu po samochód. Trzeba go było ratować. Jeśli się wygrzebie, dostanie z pięć latek, odsiedzi, wróci do normalnego życia, myślałem. Każdy człowiek się liczy i jest nam potrzebny. Jutro przyda się jeszcze bardziej. Nie będę się mścił. Prawda, że oni zabili mi syna, ale ja nie muszę dochodzić sprawiedliwości i zemsty na rannym. Nie mogę być taki, jak oni. Ktoś przecież powinien ponosić odpowiedzialność za każdą ludzką śmierć. Po pół godzinie przyjechał gazik, żeby go zabrać. A on ciągle wołał: — Dobijcie mnie ludzie, dobijcie!

— Nie, bracie — powiedziałem mu, już w gaziku. — Będziesz żył. Będziesz miał dużo czasu, żeby przemyśleć swoje czyny. — A on: — Panie, dobij pan! Przecie ja naprawdę kocham Polskę!

— No właśnie — rzekłem. — Dlatego musisz żyć, chłopcze. Widzisz, mój mały synek także kochałby Polskę, gdybyście nie roztrzaskali mu głowy.

— Dobij pan! — on na to. — Wierz mi pan, ja jeszczem nikogo nie zabił!

— To widać — powiadam. — To widać.

Dałem znak kierowcy, żeby odjeżdżał. Po południu wróciłem do domu, bośmy się wybierali na zebranie do tegoż Sycewa, które do tej pory było gniazdem uzbrojonych szumowin. Trzeba było pogadać z chłopami o tej naszej przyszłej Polsce, trzeba było im wyperswadować, że już dość zabijania. I tegom się nie spodziewał, co mnie spotka. Życie jednak zaskakuje na każdym kroku. Zresztą teraz każde następne wydarzenie mego losu, pogrążało mnie w otępiającym zmęczeniu, które coraz rzadziej mogłem opanować. Po prostu wysiadały mi nerwy. Mieszkanie zastałem puste. Tak, tak, Irka nie wytrzymała życia ze mną. Zabrała Antosia i uciekła. Za miesiąc dowiedziałem się, że mieszkają w N. S. To gdzieś na zachodzie. Chyba czuli się tam swobodniej i bezpieczniej. Odeszli na zawsze, wyrzekli się mnie na amen. I nie mam do nich żalu. To strach, upokarzający strach zmusił ich do tego. Do dzisiaj żyję sam. Jak kołek. Żeby zapomnieć o całym moim pieskim żywocie, przyjechałem na ziemie zachodnie. I tak się tutaj telepię. Raz na wozie, raz pod wozem. Mieszkanie zakładowe dali, nie powiem. Ale mają pretensję, że mnie, staremu, brak współczesnej świadomości politycznej. W tym sęk, że ich, młodych, świadomość, zrodziła się dziś, na dużo łatwiejszym chlebie, a moja, obciążona śmiercią, skażona strachem, po tysiąckroć przetrawionym zwątpieniem, nie daje się ulepić jak glina. I może dlatego nie wszystkim potrzebny. Ważne, że jeszcze niektórzy mają do mnie zaufanie, po prostu mnie lubią. I idę z nimi noga w nogę, sięgam po nowe życie, bo tak powinno być. Jeśli stary nie dotrzymuje kroku młodym, oni nie zdobędą się na miłosierdzie. Wczoraj odwiedziło mnie kilku chłopaków z fosfogipsów. Przynieśli „kropelki". Pogwarzyliśmy o starych Polakach i lżej zrobiło się na sercu. Podobno Benek Cichocki, no ten ze spychacza, wylądował w dziekance. Nie wytrzymało, chłopczysko. Spadł ze skarpy, razem ze swoim „Grzybkiem". Znaczy ze spychaczem. Zawsze mi powtarzał przy śniadaniu: — Panie Ziel, takiego ślusarza jak pan, to oni nigdy nie znajdą! — A ja na to: — Nie przesadzaj, Beniu, nie przesadzaj! Nie ma ludzi niezastąpionych! — Jak się tylko lepiej poczuję i będę mógł chodzić, odwiedzę go w szpitalu. Pocieszę go, rozwieję tę przeklętą samotność. Powiem: — Beniu, nie trzeba się poddawać. Diabeł bierz babę. Na jej spódnicy świat się nie kończy. Żyj, chłopie, żyj jak umiesz! I wierz mi, nie warto umierać dla byle jakiej sprawy! Moja sprawa była nie byle jaka, a jednak żyję. Jeszcze dziś śnią mi się po nocach zmagania z „Rysiem". Różowieje we śnie ten świeży bochen chleba. Żuję go i żuję, bezustannie, bezzębnymi dziąsłami. I nie mogę dać mu rady. Ciągle go widzę. Powraca ból, świdrujący mózg, ale i z nim jakoś sobie radzę. Bezpieka tropiła „Rysia" i dopadła w jakimś wielkim mieście, kiedy podawał dziecko do chrztu. Mówili, że wsypała go kochanica. Musiał zawisnąć na szubienicy, bo nie mógł żyć z dwoma twarzami. Z dzisiejszą twarzą niewinnego i wczorajszą twarzą akowca. Nie pojechałem na proces. Sąd miał wystarczającą ilość dowodów, żeby go skazać. Dziwne, bo zeznał, że to nie on zastrzelił Gienia Kubika. Że on w ogóle nie strzelał, wyskakując przez okno. Ale sąd nie dał wiary, bo on „Ryś", z góry był skazany. Mój wyrok podpisany jego ręką, spaliłem. Nie zamierzam dostać za niego żadnych orderów. A zresztą kogo dzisiaj ten wyrok obchodzi? Los się na mnie zawziął, dlatego, że trafiłem na takie czasy, i każe mi, niczym wołu pokrzywy, przeżuwać tę młodzieńczą zapiekłą gorycz. Ale to już niedługo potrwa, niedługo. W końcu ktoś musi odejść, żeby jego miejsce zajął młodszy, może mądrzejszy, bardziej wykształcony. Pełen nadziei i siły. Tak w kółko. I trudno mieć o to żal do natury. Gdyby ona tu naprawdę zawiniła? Przeznaczenie pogodzi nawet najzajadliwszych przeciwników. Szczególnie, gdy się patrzy na walkę z dużej odległości czasu, przez mgłę przemyśleń i ludzkich dramatów. Można mieć obciążone sumienie, że jeden zginął wcześniej, a drugi umarł później. Póki co, żyć trzeba, oddychać pełną piersią, żeby, po prostu, nie skarleć. Nie, nie żałuję drogi, po której szedłem, bo wiem, że nie ślizgałem się po lodzie, jak niektórzy dzisiaj to robią. Tymczasem muszę zażyć kropli. Na serce.

Fragment powieści „Biała góra"

Nieudane spotkanie przy Wyspie Wielkanocnej

JERZY PISZ

Ponure, październikowe niebo nad Morzem Północnym. Krótka, stroma fala pocięta pasmami piany, jak powielany w nieskończoność monotonny wzór na tkaninie, zdawała się wypływać z szarosinego widnokręgu. Zacinający deszcz wbijał piekące igły w twarz, wciskał się pod powieki, oślepiał, ogłuszał nieustannym werblem o kaptur sztormiaka.

Ręka odruchowo przerzucała szprychy koła sterowego, parując uderzenia fali o kadłub. Po lewej i po prawej stronie sztormowały frachtowce z dziobami skierowanymi pod wiatr. Raz po raz odsłaniały dziobnice i kawałek stępki, po czym waliły się po kluzy kotwiczne w zmierzwioną falę, wzbijając tony białych fontann.

Sztorm nie był zbyt tęgi, ot zwykła ósemka, zwykła jak na tę porę roku. Tylko ta cholerna fala, niezbyt duża, ale piekielnie stroma, dla „Daru" trochę za krótka. Pomimo doświadczonej ręki sternika czasem przygrzmociła w kadłub, aż zadrżał takielunek i zadzwoniły talerze w kambuzie.

— Ile jeszcze? — sternik miał już wyraźnie dosyć.

Wciśnięty w narożnik kokpitu drugi wachtowy długo odwijał rękaw sztormiaka.

— Pół godziny...

Jeszcze pół godziny do szklanki herbaty tak gorącej, że parzy usta i dłonie, wypijanej łapczywie, na stojąco, w ociekającym sztormiaku. A potem będzie można zdjąć te krępujące ruch mokrości, sięgnąć po papierosa. Pod pokładem może trochę bardziej rzuca, ale jest zacisznie i ciepło.

Powoli, prawie niepostrzeżenie, zapadał zmierzch. Nowa wachta musiała mieć szeroko oczy otwarte. Na wysokości Terschelling ruch statków jest zawsze duży, i choć do szlaku żeglugowego było kilka mil, licho nie śpi. Choćby te sztormujące frachtowce, które zapewne czekają na lepszą pogodę, aby wejść do portu. Są te, mogą być i inne.

Po kolacji mało kto wyglądał na pokład. Czasem trzasnęły drzwiczki nawigacyjnej i zaszeleścił mokry sztormiak wachtowego, który wszedł, aby nanieść pozycję i zrobić zapis w dzienniku. Umilkły rozmowy, tylko w kambuzie huk jeszcze przesuwał gary. Mrok pustej mesy rozjaśniały mdłe światełka w kojach, w których zaszyli się wszyscy wolni od służby. Każda koja to własny, intymny skrawek jachtu, wehikuł marzeń, skarbiec drobiazgów. Tu bosman chowa najcenniejszą na jachcie szaklę i angielskie igły do żagli, nawigator — własne, najlepsze tablice, mechanik — „specjalny klucz". Tu wisi zdjęcie dziewczyny i maskotka na szczęście. Zmęczenie bierze górę nad napięciem ostatnich dni, książki wędrują pod poduszkę i światełka gasną jedno po drugim. Teraz, w ciemności, wyraźniej słychać jak pracuje kadłub na fali, ale i te odgłosy odpływają w pomrokę snu.

Nie wiem jak długo spałem — cztery, pięć godzin? Wewnętrzny budzik zadziałał, zanim dotarł do mnie wachtowy ze swoim: „wstawaj, za dziesięć minut wachta". Półprzytomny siedziałem na krawędzi koi i wciągałem skarpety. I wtedy właśnie przyszedł ten suchy, krótki trzask gdzieś z pokładu, a za chwilę drugi, dłuższy i potężniejszy, po którym nagle zniknął przechył tak, jakby sternik nieopatrznie wystrzył do wiatru. Tylko dlaczego nie słychać łopotu żagla?! — przemknęło mi przez myśl, gdy wybiegałem na pokład. W świetle dochodzącym z nawigacyjnej ujrzałem pobladłą twarz Tolka i prawie równocześnie usłyszałem jego okrzyk: „Maszt!". Tylko to jedno słowo i nic więcej. Jego zaciśnięte ręce obracały jeszcze koło sterowe, ale dwudziestometrowy kadłub „Daru" tracił szybkość, zamierał i przestawał być posłuszny rękom sternika. Na tle nieba, na którym pokazało się już trochę gwiazd, kiwał się postrzępiony kikut, smętna resztka grotmasztu.

Pierwsza myśl: pozbyć się odłamanego kawałka, natychmiast odciąć stalówki, prędzej, póki nie jest za późno. Od miejsca złamania nad salingiem, do topu, jest osiem metrów. To kawał drewna, taran, który uwiązany plątaniną stalówek może na tej fali wybić w poszyciu dziurę o półmetrowej średnicy. Jedną, dwie, może więcej... Zanim plaster, zanim uszczelnienie od środka... Żadne pompy nie wybiorą wody... To będzie koniec. Piekący strach i nagłe pulsowanie krwi w skroniach. Nie czułem już chłodu, gdy z innymi biegłem na zawietrzną burtę, gdzie kłębiły się stalówki takielunku. Kadłub „Daru" ustawił się prostopadle do fali, osłaniając złamany kawał jasnożółtego drewna, który unosił się i opadał wzdłuż burty wraz z przytłumioną falą. Nie wyglądało to groźnie, odcinanie stalówek okazało się zbędne. Dla odmiany ogarnęła mnie wściekłość: „To cholerstwo porysuje farbę na burcie!" — o mało nie krzyknąłem, po czym parsknąłem śmiechem. Tu złamany maszt, a ja o podrapanej burcie! Chwyciłem linę, zarzuconą na ułamane drzewce.

Ciągnęliśmy ile sił, aż mokry, poszarpany koniec ułomka zwolna ukazał się nad stalówką relingu. To dopiero część roboty, teraz wciągnąć resztę na pokład. Morze było nadal mocno wzburzone, choć wiatr nieco przycichł. Drugi koniec ustawionego prostopadle do burty drzewca, przy którego okuciu zbiegały się wszystkie stalówki, nadal tkwił w wodzie. Ciągnęliśmy z pasją, z wściekłością oślizgły, żółty pień: siedem par rąk wpija palce, łamie paznokcie, ale morze jest silniejsze — nie oddaje swojej zdobyczy. Stalówka relingu jak napięta struna, drga pod ciężarem przeciąganego po centymetrze kloca. Kadłub opada w dolinę fali, której grzbiet jednocześnie unosi top złamanego masztu — teraz jedyna szansa, aby wciągnąć to draństwo. Udało się, spory kawał jest na pokładzie. Zwycięstwo było jednak chwilowe. Następna fala uniosła pokład, top masztu opadł w dół i na nic nie zdały się rozpaczliwe wysiłki. Potężny pień przechylił się niczym huśtawka, wciągnięty kawałek uniósł się wysoko, wyrwał z rąk i osunął za burtę. Jeszcze raz udało się wciągnąć drzewce na pokład i jeszcze raz zabrało je morze. Do cholery, czy nie ma na nie sposobu?!

Kabestan! — Krzysztof wpadł pierwszy na tę myśl. I już druga pętla zaciska się na pniu, ktoś założył blok kierunkowy na przeciwległej burcie, inny przeciągnął linę do potężnych kabestanów szotowych w kokpicie. Pomi-

mo ciemności, poszło to szybko i sprawnie — znamy każdy kawałek jachtu jak własną kieszeń. Czekamy, aż fala uniesie top masztu w górę. Teraz! Z nową energią szarpiemy aż do bólu trzewi oporny ciężar. Kto nie mógł znaleźć dostępu do drzewca, rwie za stalówki. Kabestan terkocze wybierając luz — szybciej, zanim top opadnie i napnie pętlę. Kolejna fala uniosła pokład. Teraz już nic nie da się zrobić, można tylko patrzeć, jak napina się lina z pętlą. Blok drga pod obciążeniem, na moment cały ciężar ośmiometrowego pnia zawisł na stalówce relingu — wytrzymała. Ta cienka linka to granica między pokładem a morzem. Jeśli pęknie, jeden nieuważny ruch i jesteś za burtą. Stójki podtrzymujące stalówkę wyginają się jak rogale, ale stalówka nie pęka.

Znów fala, znów pokład w dole i kolejny metr masztu na pokładzie. Kabestan bez przerwy na najniższym przełożeniu. Krótki, szybki chrobot cofanej dźwigni i po chwili wolniejszy terkot zapadki. Prawie niewidocznie, ślimaczym ruchem lina chowa się w bloku, a za nią drzewce wpełza na pokład. Sztormreling jest tak wygięty, że kloc opiera się na zrębie burtowym okutym stalową szyną, która niczym potężna skrobaczka zdziera z ułomka płaty lakieru. Bez mała połowa złamanego masztu już wciągnięta i kabestan milknie. Akcja przenosi się w okolicę dziobu, skąd łatwiej wyciągnąć top ze stalówkami. Jeszcze jeden, ostatni zryw i maszt jest na pokładzie.

Jest piąta rano, 17 października, pamiętna data, od której rozpoczęła się zła passa dla „Daru Szczecina". Miesiąc wcześniej szła tymi wodami „Maria", warunki były równie ciężkie. Niewiele brakowało, a „Maria" wysztrandowałaby na piaszczystych mieliznach u wybrzeży Holandii.

Przed wyjściem ze Szczecina obaj kapitanowie, Jurek Kraszewski z „Daru" i Ludek Mączka z „Marii" umówili się przy Wyspie Wielkanocnej. Szanse na spotkanie były realne. „Dar Szczecina", choć wyszedł o miesiąc później i miał żeglować trudniejszą trasą wokół Przylądka Horn („Maria" ma przejść na Pacyfik przez Kanał Panamski), jest jachtem znacznie szybszym. Złamanie masztu postawiło pod znakiem zapytania nie tylko spotkanie, ale i całą wyprawę.

Przyczyną awarii okazała się rzecz rzadka, wręcz nie do przewidzenia: rozplecione ucho achtersztagu przy okuciu na szczycie grotmasztu. Dwudziestometrowy maszt, pozbawiony głównej liny podtrzymującej go od strony rufy, nie mógł sprostać naprężeniom powstałym w sztormowych warunkach. Awaria jest poważna, ale nikt nie chce dopuścić myśli o porażce. Zbyt wiele serca i trudu włożyliśmy w przygotowania. Rok ciężkiej harówki tkwi w przebudowanym kokpicie i wnętrzu jachtu, w zgromadzonym wyposażeniu i sprzęcie. To nasz wysiłek, załogi. Ale jak zmierzyć i ocenić wysiłek społeczny, wysiłek ludzi, którzy w wyprawie „Daru Szczecina", jachtu noszącego imię ich miasta, widzieli więcej niż wycieczkę siedmiu żeglarzy — widzieli w niej realizację własnych, trudnych do sprecyzowania dążeń i głęboko ukrytych marzeń. Dzięki ich serdecznej sympatii i pomocy wyprawa mogła dojść do skutku.

Jeszcze żywe są sceny pożegnania na przystani „Pogoni" — radio, telewizja, życzenia, kwiaty, pożegnalny toast na nabrzeżu i rozbite kieliszki na szczęście. Honorowa eskorta flotylli jachtów, gigantyczna „stonoga" powiązanych kadłubów na Babinie i ostatnie uściski dłoni braci żeglarskiej. Nie, nie może być mowy o odwrocie, lecz nie tylko z ambicjonalnych względów. Są bowiem oprócz osobistych jeszcze inne choćby umówione spotkanie z Polonią australijską, dla której wieziemy upominki w dwu kojach zamienionych na magazyny. Ale co dalej? Gdzie płynąć ze złamanym masztem, gdzie go naprawić? Pytania, dziesiątki pytań, na które kapitan Kraszewski musi znaleźć właściwą odpowiedź. Powrót do Szczecina nie wchodzi w rachubę. Usunięcie skutków tak poważnej awarii potrwa co najmniej półtora miesiąca, przed zimą „Dar" nie wyjdzie na Bałtyk. Zanim puszczą lody na Zalewie Szczecińskim będzie kwiecień, a to oznacza koniec wyprawy. Kraszewski decyduje się na remont w Kilonii.

Zima przyszła wcześniej niż oczekiwano. Mrozy i śnieżyce utrudniają pracę, warunki na jachcie nie przystosowanym do zimowania są wyjątkowo ciężkie. Chłód, wilgotne koje, śnieg na pokładzie, oblodzone liny. Kraszewski prawie nie opuszcza biura firmy Ambau, która pod nadzorem Norske Veritas konstruuje metalowy maszt dla „Daru". 30 listopada maszt jest osadzony, następnego dnia przed świtem „Dar Szczecina" wchodzi w śluzy Kanału Kilońskiego. Temperatura spada do −15°. Trwa wyścig z czasem — oby tylko przejść Kanał zanim skuje go lód. Sternicy zmieniają się co kwadrans, dłuższe sterowanie grozi odmrożeniem rąk.

W końcowej śluzie Brunsbüttelkoog jest już nieco cieplej, ale dla odmiany szaleje śnieżyca.

— Wejdźcie do przystani jachtowej, śluza nieczynna — śluzowy z trudem przekrzykuje szum wiatru.

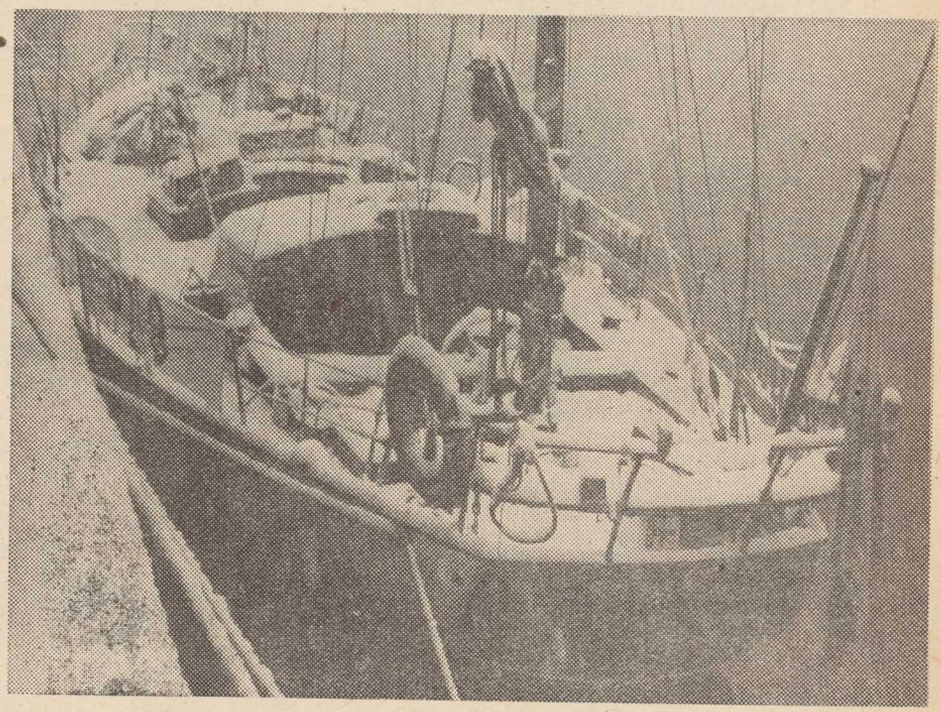
— Ale dlaczego?

— Jak to, nie wiecie? W Hamburgu powódź, zamknęliśmy dodatkowo trzecią bramę. Dwie nie wytrzymałyby naporu wody.

Znaleźliśmy się w pułapce. Znów kilkudniowe opóźnienie.

W godzinę po uruchomieniu śluzy żeglujemy po Łabie, ale pośpiech okazał się zbędny — nie wyjdziemy w morze. Wystarczy spojrzeć na statki wchodzące do portu, aby zrozumieć, co dzieje się na Północnym: pokłady pokryte grubą warstwą lodu, sople

Fot. A. J. Pisz



zwisające z olinowania, oblodzone bomy i windy kotwiczne. Chronimy się w Cuxhaven. Na Północnym rozciąga się głęboki niż, a to oznacza sztorm i dalsze opóźnienie rejsu. Kapitan Hagedorn, stary wyga, który prowadził żaglowce wokół Hornu do Australii, mówi: „Nie wyjdziecie stąd prędko. Taka sztormowa zima trafia się raz na kilka lat". I rzeczywiście, rozwiązał się worek ze sztormami. Zerwało latarniowiec z kotwicy, zatonął kuter rybacki, morze wyrzuciło zwłoki rybaków na brzeg. Wysoka woda przypływu w połączeniu z falą sztormową wdarła się do portu i zalała ulice. Potężna brama w wale przeciwpowodziowym, oddzielająca port od miasta, zatrzaśnięta jest na głucho. Samochody, które nie zdążyły skryć się za bramą, toną w przybierającej wodzie. Nie wiadomo gdzie kończy się nabrzeże, a gdzie zaczyna basen portowy. Przenosimy cumy na wysokie dalby, aby uchronić kadłub od uszkodzenia o niewidoczną krawędź nabrzeża.

Po dziesięciu dniach przychodzi upragniona przerwa między sztormami i w Wigilię kotwiczymy już w Dover. Natychmiast po kolacji zamieniamy garnitury na ubrania sztormowe. Jurek Kraszewski przyjął taktykę skoków od portu do portu i wykorzystuje każdą, choćby chwilową poprawę pogody.

Kolejny skok do Weymouth po wodę i znów w morze. Camaret jest ostatnim portem przed Biskajami — teraz tylko cztery dni umiarkowanej pogody i przeskoczymy Zatokę Biskajską; byle dotrzeć do Cape Finisterre, nie bez kozery zwanego Przylądkiem Ciepłych Gaci. Zanim ciepła odzież powędruje do worków żeglarskich i zacznie się żegluga w słońcu przy błękicie nieba, którego tak nam brakuje. Cztery dni...

Pierwszy dzień, zgodnie z prognozą, jest pochmurny, ale pogoda umiarkowana. Cienka kreska kursu przesuwa się na mapie w kierunku przylądka, w drugim dniu minęła połowę Zatoki Biskajskiej. Sylwester na Biskaju. Atramentowo-czarna noc, cała załoga w kokpicie żegna stary rok przy kieliszku szampana. Trzeci dzień zapowiadanej, dobrej pogody zbliża się do końca. Prawie cały Biskaj za nami... i wtedy przychodzi sztorm z południowego zachodu. Dla „Daru Szczecina", jachtu o dużej dzielności morskiej, sztorm nie stanowi niebezpieczeństwa, jest zaledwie uciążliwością żeglugi. I gdyby nie kierunek, z którego przychodzi, nie byłoby kłopotu. Siła wiatru i fala rosną gwałtownie, halsowanie pod wiatr nie posuwa jachtu do przodu, a do Finisterre jest tylko 100 Mm.

Następnego dnia sztorm przeradza się w huragan, forsowanie żaglami pod wiatr jest nie do przyjęcia. Teraz już nie chodzi o to, by minąć przylądek, lecz by nie dopuścić do uszkodzenia takielunku. Najbezpieczniejsza okazała się żegluga z wiatrem i falą, niestety w kierunku najbardziej niekorzystnym, bo na północ, czyli z powrotem w stronę Kanału La Manche. Na olinowaniu i małym skrawku sztormowego foka „Dar" płynie z szybkością siedmiu węzłów. Wskazówka wiatromierza oparła się na końcu skali oznaczonej 60 węzłami, co łącznie z szybkością jachtu daje 67 węzłów, czyli ponad 120 km/godz. Nie widać granicy między powietrzem a kipielą. Przewalające się przez jacht fale zakrywają cały, dwudziestometrowy pokład; bywają chwile, że nad powierzchnię wody wystają tylko maszty. Grzywacze nadbiegające od rufy przykrywają z głową sternika, prawie go topią, odrywają od koła sterowego. A właśnie koło jest najważniejszym instrumentem, od którego zależy bezpieczeństwo jachtu i życie załogi. Podbita falą rufa ma skłonność do ustawiania kadłuba w poprzek fali, położenia najbardziej niebezpiecznego z możliwych. Wówczas bowiem załamujące się grzywacze, tony, dziesiątki ton wody walą się na pokład z potworną, miażdżącą siłą, której skutki odczuwa każde spojenie kadłuba. Sternik musi więc błyskawicznie reagować na każdą falę, przewidywać intuicyjnie odchylenie od kursu, przeciwdziałać temu, a jednocześnie nie dać się oderwać od koła.

Huragan osiągnął swój szczyt. Ryk morza jest tak ogłuszający, że nie można rozróżnić w nim odgłosów poszczególnych fal. I to jest najgorsze. Sternik wpatrzony przed dziób jachtu nie widzi, a co więcej nie słyszy nadchodzącego od tyłu grzywacza. A potem wszystko dzieje się jak w niemym filmie. Nagła, bezgłośna siła pozbawia poczucia ciążenia, unosi ciało nadając mu najbardziej nieoczekiwane położenie. Gorzka słoność zalewa oczy, oślepia, pozbawia tchu, dusi. Puścić ster, wydobyć się na wierzch, złapać powietrze... Świadomość mówi, że steru nie wolno puścić z rąk, woda za chwilę opadnie... ale czy na pewno? Przez chwilę, krótką chwilę przelatuje myśl: a może za tym zielono-szarym całunem nie ma już pokładu, nie ma o co walczyć? Lecz oto woda znów opada, wyłaniają się wory z żaglami w kokpicie, potem nadbudówka nawigacyjnej, bak, kosz dziobowy. Ale najważniejsze, że jacht nie zmienił kursu, fale biegną równolegle do kadłuba — małe zwycięstwo nad żywiołem i własną słabością.

Kazik Jasica od godziny tkwił za sterem uwiązany do masztu bezana linką bezpieczeństwa. Porozumiewaliśmy się gestami, bo słów wywrzeszczanych na całe gardło nie było słychać. Wskazywał ręką wory w kokpicie. Wory z żaglami spiętrzone w piramidę na tylnej ściance nadbudówki osłaniały wejściowe drzwiczki do nawigacyjnej; cienkie i ażurowe mogły nie wytrzymać naporu wody. Gdyby ustąpiły, wdzierająca się przez otwór woda zalałaby wnętrze w ciągu kilku minut. Jak dotąd amortyzacja ta działała skutecznie, jednakże wory stale atakowane falami zaczęły wypełzać spod lin, którymi były przyciśnięte do nadbudówki. Należało je wepchnąć pod liny, a te mocniej dociągnąć.

Puściłem wanty bezana i zanim zrobiłem krok w stronę kokpitu... płynąłem. Na plecach, nogami w górze, lekko, łagodnie. Po prawej mignęła mi skurczona za sterem sylwetka Kazika, zniekształcona załamanym obrazem prześwitującym przez szumiącą wodę. Czułem, że woda niesie mnie w stronę rufy. Rozpostarłem ręce, aby chwycić cokolwiek; wiedziałem, że po lewej są wanty, a po prawej maszt. Przy szeroko otwartych ramionach musiałem chwycić jedno albo drugie, ale natrafiałem tylko na łagodny opór wody przeciekającej między palcami. Nagłe szarpnięcie szelek bezpieczeństwa uświadomiło mi, że linka asekuracyjna napięła się i trzyma. Zwisałem za koszem rufowym. Chwyciłem poprzeczkę kosza, aby wciągnąć się na pokład — i znów płynąłem, tym razem w przeciwną stronę, w głośnym poszumie łamiącej się fali.

Oprzytomniałem czując ciężar przytłaczający głowę. Nie mogłem nią poruszyć; tkwiła ciasno między workami, podczas gdy reszta ciała była swobodna i wykonywała nieskoordynowane ruchy. Sytuacja była komiczna, dusiłem się z braku powietrza, a jednocześnie ze śmiechu, nie mogąc wyrwać głowy spośród ciężkich worów, w czym bynajmniej nie pomagało mi zbyt obszerne ubranie sztormowe.

Ściągałem je właśnie po skończonej wachcie, gdy usłyszałem nerwowe wołanie z przedniego kubryku: „Jurek, prędko!".

Na podłodze kubryku leżał Kraszewski. Sztormiak rozdarty, twarz blada, nieprzytomny, mokry. Po kilku sekundach otwiera oczy.

— Możesz oddychać?

— Mogę, ale żebra chyba połamane.

Nie uwierzyliśmy. Z trudem udało się ściągnąć z Jurka ubranie sztormowe, ułożyć go w koi. Jachtem rzucało niemiłosiernie, Jurek przewalał się na boki, półprzytomny, jęcząc z bólu. Niewiele pomogły zrolowane i ułożone wzdłuż ciała koce. Dałem mu środki przeciwbólowe i zaaplikowałem zastrzyk nasercowy. Nic więcej nie można było zrobić.

Tolek Łoś, który był ze „starym" na wachcie, wyjaśnia: Kraszewski podwiązywał krawat do bomu bezana, stał tyłem do rufy i nie zauważył spiętrzonej fali, która uniosła go i cisnęła o windę fałdową, diabli zresztą wiedzą o co. Ta sama fala przyparła Tolka do koła sterowego. Żebra Tolka, choć bolą, wytrzymały, nie wytrzymał jednak stalowy trzpień, do którego przymocowane jest koło. Wygiął się i teraz koło obraca się jak zdezelowana ósemka w rowerze. Uderzenie fali oderwało od nadbudówki piramidę worów, która osiadła na lewym sztormrelingu, wyginając kilka stójek. Żagle nie poszły za burtę, zatrzymały je liny przewleczone przez ucha na dnie worków.

Stan zdrowia Kraszewskiego wymaga szybkiej pomocy lekarskiej; konieczne jest wejście do najbliższego portu. Prześwietlenie w Bremie potwierdza obawy — trzy żebra złamane. Każdy dodatkowy uraz, czy nawet gwałtowny ruch, może spowodować przebicie opłucnej i wewnętrzny wylew. Leczenie szpitalne nie jest konieczne, ale o kontynuowaniu rejsu nie może być mowy. Nie jest to zresztą możliwe — powtarza się historia z Cuxhaven. Sztorm goni sztorm, statki stojące w porcie zakładają podwójne cumy, pławy oznakowania nawigacyjnego zdryfowało na brzeg. Huragan, który spotkaliśmy na Biskaju, nie schodzi ze szpalt lokalnych gazet „Tempete sur la Bretagne", „Dra-

mes en serie dans la Manche". Dwanaście osób zginęło w morzu, zatopione statki, zniszczone dźwigi w portach, przewrócone cysterny na szosach — oto pobieżny bilans strat spowodowanych wiatrem, którego szybkość zmierzona nad wysepką Batz wynosiła 147 km/godz. No cóż, nam „oberwało" się również, ale nie możemy narzekać — mogło być gorzej.

Przymusowy postój w Breście nie był odpoczynkiem. „Dar" musiał być utrzymywany w nieskazitelnym stanie, czego Kraszewski pilnował z całą stanowczością. Dzięki sąsiedztwu statku oceanograficznego „Jean Charcot", przy którego burcie cumował „Dar", mieliśmy darmową elektryczność, wodę i nieograniczone możliwości korzystania z gorących natrysków. Warunki były bez porównania lepsze niż w Kilonii, było przede wszystkim znacznie cieplej. Nic więc dziwnego, że prace nad usuwaniem skutków huraganu posuwały się szybko i sprawnie. Mądrzejsi o doświadczenia z Biskaju sporządziliśmy zabezpieczenie do drzwiczek nawigacyjnej w postaci dodatkowej ścianki z grubej sklejki. Wyprostowane stójki (już drugi raz w tym rejsie!) napinały sztormreling z nowymi fartuchami, które zastąpiły stare, porwane przez Biskaj. Jacht był znów w pełni sprawny, przygotowany do drogi, niestety gorzej było z załogą.

Od pewnego czasu atmosfera na pokładzie daleka była od harmonii. Błahe nieporozumienia, nie rozładowane sukcesami postępującej żeglugi, przekształcały się w trwałe napięcia utrudniające współżycie. Jeśli istniały pozorne, czy nawet uzasadnione w czyimś mniemaniu, powody do utyskiwań, wzajemnych pretensji i żalów, były one w porównaniu ze skalą doznań, których mogła dostarczyć wyprawa, zaledwie marginalnym problemem. Nie wszyscy potrafili zdobyć się na dystans w ocenie tych zjawisk, a przynajmniej na odłożenie animozji do chwili zakończenia rejsu. Jestem przekonany, że z perspektywy czasu drobne w gruncie rzeczy nieporozumienia, poza jednym wypadkiem drastycznego naruszenia regulaminu jachtowego, straciłyby na ostrości i umarły śmiercią naturalną.

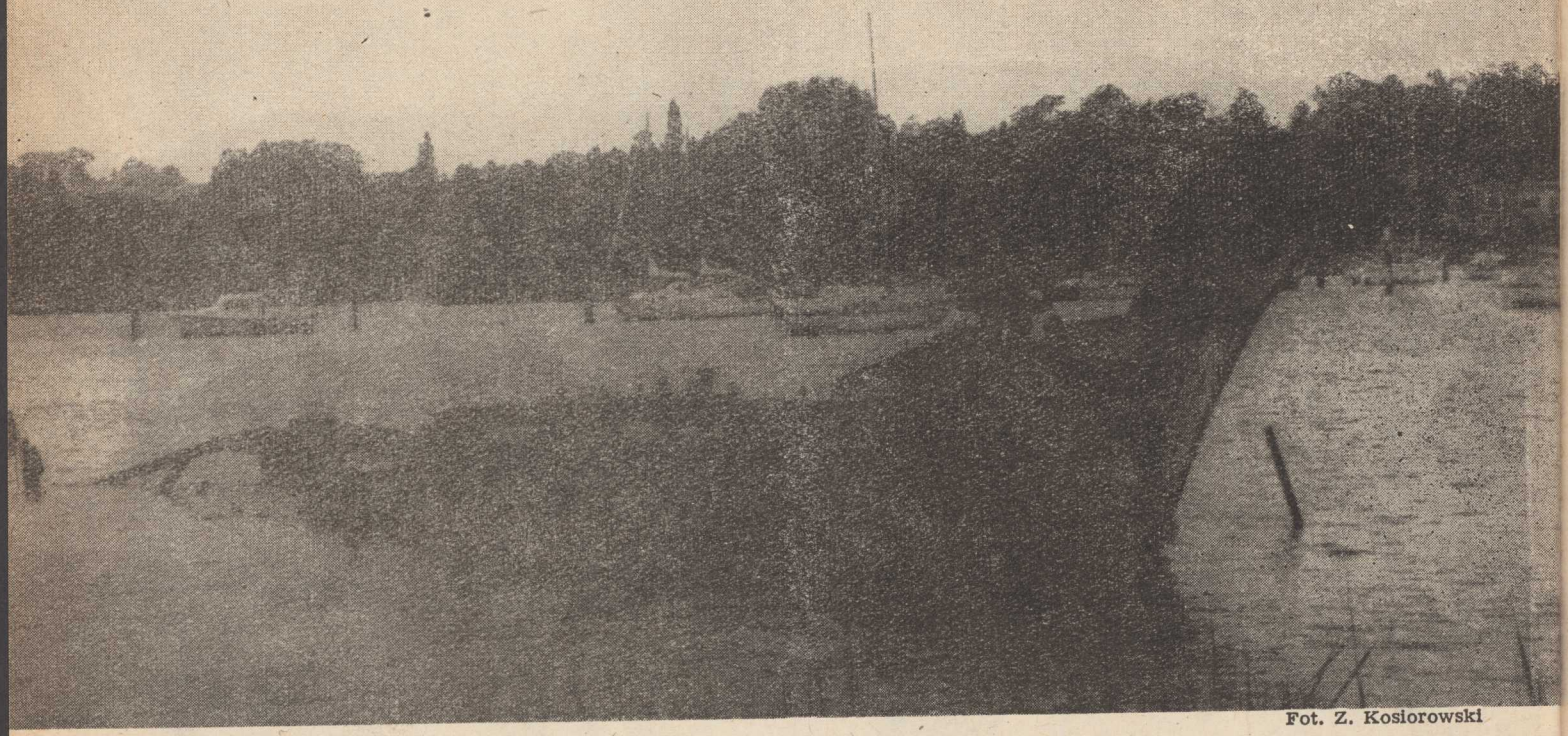
Jest faktem, że rejs był opóźniony o kilka miesięcy z przyczyn, o które trudno było winić kogokolwiek. Jednak opracowany przez Kraszewskiego nowy program z zachowaniem podstawowych założeń (przejście wokół Hornu, spotkania z Polonią), stwarzał możliwości znacznego zmniejszenia opóźnień, z którymi przecież musiał liczyć się każdy, kto podejmował decyzję udziału w wyprawie. Ostatecznie pod koniec marca z siedmioosobowej załogi zostało na pokładzie czterech, gotowych kontynuować wyprawę. Zarząd klubu zadecydował inaczej: „Dar Szczecina" ma niezwłocznie przerwać rejs i powrócić do kraju. Kraszewski, podobnie jak pozostała trójka, z ciężkim sercem podporządkowuje się poleceniu. Nie będzie spotkania z „Marią" przy Wyspie Wielkanocnej.

Fot. A. J. Pisz



ZBIGNIEW KOSIOROWSKI

Cmentarzysko



Fot. Z. Kosiorowski

Pod nami szeroka, brzęcząca pojazdami rzeka. Nerwowa, z wartkim nurtem. Autostrada: Southampton—Portsmouth. Stoimy zagapieni, goniąc wzrokiem co ładniejsze samochody. Gdzieś od strony mariny nadlatuje sportowy samolot. Czerwony z żółtymi błyskawicami na kadłubie. Na moment zawisł nad betonowym tunelem, pomachał skrzydłami i zginął za wzgórzami.

Nie spodziewałem się, że ta część Anglii jest tak ciekawie rzeźbiona. Skąd zresztą mógłbym o tym wiedzieć. Znamy przede wszystkim porty, a Hamble jest najmniejszym z nich. Niepozorny, jak na tutejsze warunki basen jachtowy, zapełniony jednak rasowymi łódkami. Obok stocznia jachtowa i bar „Pod spinakerem". Na mapie widziałem Hamble — miasto, ale teraz wątpię czy mapa mówiła prawdę. Już pół godziny szukamy centrum handlowego idąc najpierw pod górę, potem w prawo i dalej cały czas prosto. Instrukcja, której nam udzielił pewien gentelman, wydawała się zrozumiała, chociaż Krzysiek powątpiewa, czy faktycznie najpierw miało być pod górę.

— Stary, tyś go źle zrozumiał. Przecież tu są same pastwiska, zagrody, łąki i teraz ta autostrada — dokucza Karol. Karol i Krzysiek, to ten sam dryblas. Najlepszy — zdaniem Marka — specjalista od grota na południowym Bałtyku. Tu zaś Krzyś wygląda żałośnie, niczym Anioł Pitou między pokrzywami, miętą i krzakami śmierdzącego bzu. Tylko Jan ma coś z dostojeństwa, nawet wtedy gdy pluje z wiaduktu na pędzące samochody. Nie, on nie jest taki, żeby zaraz pluć na kogoś. Po prostu splunął.

— No, popatrz, jak ten baran wyprzedza! — podjudza Krzyś.

— A, co? A, jak? — warczy Jasio. — Są przecież u siebie.

Tak naprawdę to nie wiem, dlaczego Krzysiek jest jednocześnie Karolem. Jakieś przezwisko chyba. Ale wygodne i ładne. Na jachcie gdy coś chcę od niego, mówię: Krzysiu, czy mógłbyś mi pomóc przy skrobaniu tych paskudnych, angielskich ziemniaków? Kiedy jednak mnie zdenerwuje suptelnie proszę: Odwal się Karol...

— Pilnują nas — dręczy Jana Krzysiek i gapi się w niebo. Czerwona awionetka ponownie dziurawi chmury nad naszymi głowami.

— Idziemy chłopcy... No, to idziemy. Pod górę. Kolejny zakręt. Krzaki przy samej jezdni, a za nimi prywatne, niby wiejskie posiadłości. Co spojrzysz, to „Dom pod trzema jabłoniami", albo „Jałowcowa zagroda".

Oddycham całą piersią i cieszę się przestrzenią. Nawet jeśli ich źle prowadzę, warto było zrobić taką wycieczkę. Od miesiąca nie widziałem drzew, pól i pagórków. Ciągle tylko maszty, keję, przystanie, zbełtane wody, „Cetus" i „Łużyca".

— Chłopaki, ja dalej nie idę. Leziemy już godzinę przez pola i gdzie centrum? — Karol patrzy na mnie spode łba i jeszcze coś mruczy. W porę jednak dostrzegam skrzyżowanie i małe wzniesienie. Jezdnia tam dalej styka się z chodnikiem. Gdybym wiedział, że to tak daleko... Wracać z zakupami będzie jeszcze gorzej.

Wreszcie śródmieście. Trzy banki, kilka sklepów, dwa kościoły i stacja benzynowa. Kupujemy chleby, masło, owoce, ketchup i coś tam jeszcze. Chyba jakieś wędliny, bułki i piwo. Krzysiek i Jasio są głodni. A jak głodni, to źli. A jak źli, to jeszcze sam będę musiał to wszystko dźwigać na jacht. No, to coca-colę proszę. Wszystko razem kosztuje 7 funtów. Chochelki nie kupuję, bo za droga, a Janek mówi, że tę starą naprawi. Będą nitować nam maszt, to i chochelkę da się zanitować.

Dobrze, że kupiłem kilka bułek. Wykarmić tych dwóch, to ruina. Każdy prawie po 190 centymetrów wzrostu. Choć huśta, kołysze, rzuca jachtem i przechyla — Janek z Krzyśkiem nie przegapią posiłków. Jasio ma u mnie największe fory. Kiedyś powiedział, że go karmię zupełnie tak samo, jak jego żona. Był to największy komplement, jaki mnie spotkał w kambuzie.

Patrzę na zegarek. Już trzynasta. Pora na obiad, a przed nami jeszcze godzina drogi. Dziś w kambuzie zastępuje mnie Kazik. By zapomnieć o bolących nogach, myślę jak to przyjemnie, gdy ktoś ugotuje, poda, posprząta i jeszcze zapyta, czy smakowało. Może Kazik zostawi coś do zjedzenia.

W drodze powrotnej zachodzimy na cmentarz. Nic szczególnego. Stare, marmurowe i piaskowe tablice. Żadnego grobowca. Widocznie mieszkańcy Hamble nie opływają w bogactwa. Kościółek też skromny. W przedsionku stolik z wyłożonymi ulotkami i informatorami dla wiernych i takich, jak my, szukających ciekawostek historyczno-architektonicznych. Ale, czy tylko tego tu szukamy? Lubię ten nastrój skupienia. A nawet bardzo go potrzebuję. Jaka tu oaza spokoju, milczenia i potencjalnej zadumy. Po jachtowym zgiełku doceniamy chwile duchowego relaksu. Nagle czas stanął w miejscu. Świat się z trudem przeciska przez kolorowe witraże. Zaokienna gorąc stygnie, spływając po niebieskiej wodzie. To chyba morze, które ujarzmia bosy, ubrany w długie szaty — człowiek z jaśniejącą twarzą. Morze uspokaja się. Rybacy wypływają na połów. Cisza. Nawet brzęczenia muchy. Cienie na witrażach poruszyły się. Rosnące tuż przy murze świerki rozdzielają sprawiedliwe światło. Słońce uderza w zbroje żołdaków, oślepia. Przygasa i znów poraża oczy. Czerwień płaszcza i sine ręce pod strumieniem błękitnej wody. Woda obmywa palce, ale czy rozgrzesza? Wielka woda, już jutro zaczerpniemy twojej soli. Obmyjemy twarze, ręce, usta, oczy. Niepokorni, hałaśliwi, gniewni, podnieceni, przeorzemy twoje plecy w drodze do skały nie na końcu świata.

Czas się skończył. Cisza się skończyła. Słychać szuranie naszych butów po betonowej podłodze. Patrzę raz jeszcze po świątyni. Poza nami nikogo tu nie ma. Pusto. Te witraże opowiadają SŁOWO cieniom i przygodnym podróżnym. Wiem, że to normalny obraz. Zwiedzając stare, zabytkowe kościoły w Cowes, Lymington, czy Southampton nigdy nikogo w nich nie spotkałem. Chociaż nie, raz jeden trafiłem na mszę czy też nabożeństwo w anglikańskim kościele w Cowes, na którym były cztery osoby. Zygi — znajomy „Polak" z Lymington — powiedział mi, że to normalne. „My teraz tu w Anglii wolimy knajpy" — dodał zupełnie zwyczajnie, tak, jakby to zestawienie nie było obraźliwe przynajmniej dla jednej ze stron. Faktem jednak jest, że w kościołach pustki, a w kawiarniach i barach rzadko kiedy znajdowaliśmy wolne miejsca.

— U nas w Szczecinie nie chodzę do kościoła, a tu jakoś... No, po prostu, tutaj lubię — mówi do mnie Janek odbierając torbę z chlebami. Jestem niewierzący. To po co mam chodzić. A tu? Chyba dlatego, że w kościele nikt nic nie mówi i nie trzeba się śpieszyć. Na jachcie, to sam wiesz. Albo Kazik opowiada, albo w ogóle nic się nie chce. Tam w środku wszystko choć stare, wydawało się solidne i stabilne. I takie już od XVI wieku, od czasu, jak ten kościółek zbudowali. Mówią, że w kościołach myśli się o śmierci! Ja myślałem o życiu. Jak mam dębowe oparcie pod plecami, to mi się lepiej o życiu myśli.

Janek od czasu do czasu zaskakuje mnie swoimi spostrzeżeniami. Z pozoru sprawia wrażenie człowieka bardzo prostego. Czy jeśli człowiek jest cieślą okrętowym, to musi koniecznie prymitywnie kojarzyć? Janek przecież w duszy poeta. Po miesiącu wspólnego pływania i ciągłego ze sobą przebywania byłem już skłonny każdemu z kolegów wystawić cenzurkę. Ten to młokos i zarozumialec, a ten solidny i pracownity. A ja? Jaki jawię się w ich oczach? Nerwus? Wapniak? Tę samą sól smakujemy od miesiąca, ale czy to już starczyło, by się poznać? Wydawało się, że tak. Jednak Jana ciągle poznaję. Krzyśka też. Wiem, że pisze pamiętnik. Najpierw ukradkiem. Później widząc, że codziennie prowadzę jakieś notatki, przestał się z tym kryć. Ma duże poczucie humoru i sporą umiejętność trawestacji, takiej w tonie bardziej surrealistycznym. Zawsze lubiłem ten typ humoru. Ciekawe, co on pisze? Przecież nie zapisuje moich paradoksalnych, poobiednich kryminałków. Co jakiś czas chłopcy wymuszają na mnie opowieści o mordercach, złodziejach i innych niebieskich ptakach. Bawi mnie, jak słuchają z wypiekami na twarzach. Żeby zawsze mieć takich słuchaczy...

— No, to jak będzie? Idziesz ze mną?

— A dokąd Jasiu?

— Przecież od paru minut ci mówię dokąd. Na rozlewiska. Widziałem tam przez lornetkę stare jachty i zatopione żaglowce. Może się uda odkręcić jakieś okucia?

Nie bardzo mam ochotę. Po obfitym obiedzie chce się spać. Ale jeśli faktycznie są tam stare żaglowce?

— Idę!

Obok naszego jachtu cumują Francuzi. Rozbawieni, głośni, zadowoleni. W basenie większy ruch niż zwykle. Co to dzisiaj za dzień? Chyba piątek. Senna przystań nabiera życia. Z pobliskiego sklepu ludzie znoszą zapasy. Lśniące, bogate jachty. Rasowe, radosne dziewczyny. Wysocy, opaleni chłopcy. Kochają życie, biorą z niego to, co chwilowo najprzyjemniejsze i pewnie mają rację. Co też tu mówić o racjach. Stać ich na to. I na to również, by się śmiać i beztrosko bawić. Przechodzimy obok. Też się uśmiechamy. Wypada przecież; taki tu błysk, połysk i elegancja.

Za bramą portu woda ogrodzona siatką. Obok tablica z napisem: teren prywatny. Ostatecznie możemy nie znać angielskiego. Nad brzegiem wysokie, stare drzewa. Niżej zarośla i sitowie. Kilkanaście metrów dalej wrak drewnianego żaglowca. Piękny, kliprowy dziób resztką bukszprytu celuje wysoko w niebo. I tylko to jest piękne — ostatni, zamarły ruch; ta chęć wyrwania się ze śmierdzącego bagniska otaczającego płyciznę. By więcej, dokładniej obejrzeć rozbebeszony brzuch herbacianego klipra, wspinam się na Janka plecy.

— Za stocznią... No, za tymi budynkami, muszą być inne wraki. Widziałem je na pewno — Janek obstaje przy swoim, ale teraz nie musi mnie już namawiać. Pójdę z nim.

Torfowa ziemia poprzecinana rowami z brunatną wodą. Kończy się brzeg, a zaczyna czarne, cuchnące błoto obwiązane kotwicznymi łańcuchami, spięte grubymi cumami, przebite do rdzenia Ziemi kotwicami, może i z „Santa Marii". Przedsionek piekła, przez który prowadzą nas spróchniałe pomosty i kładki; chybocące się, skrzypiące, podkrzywione. Nie wiem, jak wyglądał Dante oprowadzany przez czyściec. Jego oczy musiały jednak wyrażać to samo, co oczy Jana. To samo co oczy każdego, przed którym odpływ obnaży naturalistyczne piękno uśmierconych w tym miejscu statków. Porzucone, zapomniane... Dlaczego? Czy zdradziły swoich kapitanów? Truchlały w sztormach zrzucając z pokładów bezbronną załogę? Przecież dopłynęły do portu przeznaczenia, wpełzły na te rozlewiska dając szanse wszystkim, którzy przetrwali choćby uwiązani między rejami. A może trafiły tu tylko dlatego, że się zestarzały? Wegetacja ludzi i starych żaglowców jest chyba podobna.

— To jest ich cmentarz — mówi dziwnie cicho Janek. Posłuchaj, fały dzwonią na pogrzeb. A jaką my im teraz posługę oddamy? My, którzyśmy przyszli oberwać z nieboszczyków błyszczące mosiądze?

W błocie coś się rusza. Kurczowe podrygi odnóży... Śmiertelne drgawki kraba olbrzyma.

— Janku, on nie zdążył z odpływem. Nie zabrał się z dużą wodą. Te żaglowce też się spóźniły.

— A ty byś zdążył, będąc tak uwiązany łańcuchami? Krabów mi nie żal. Toż one się żywią padliną.

W tym szaro-brązowym błocie, najbliżej nas, tkwią skrępowane cumami, rozlatujące się, z pozoru opuszczone, łodzie desantowe. Obok stareńkie żaglowce i niewydarzone, odrapane jachty. Przy niektórych kręcą się ludzie. Coś na-

prawiają, dłubią, oskrobują. Jacy inni. Inni od tych, których spotykamy na co dzień. Smutni, źle ubrani, biedni. Nikt nas nie zatrzymuje. Pełzniemy przez cmentarzysko po drewnianych, spróchniałych rusztowaniach. Jakim cudem one się jeszcze trzymają? Kładka prowadzi prosto na burtę dużej, drewnianej, ongiś biegnącej po falach, a dziś prawie martwej jednostki. Z trudem odczytujemy nazwę — „Lulworth". Na dziobie miejsce, z którego wydarto może serce syreny, a może odwagę Neptuna. Tu na pewno była rzeźba — figura dziobowa zdobiąca dawne, podobne temu statki. Co przedstawiał galion tak topornie odrębany od swego żaglowca? Musiał być ładny, skoro znalazł się świętokradca. „Lulworth" nie ma też bukszprytu. Widocznie przeszkadzał przy operacji zdzierania rzeźby. Pokład pomalowany okropną, żółtą farbą. Wymontowane maszty. Wycięty w pokładzie otwór, w którym ręka zduna osadziła metalowy zardzewiały kominek. Jeszcze z niego śmierdzi. Już wiem, ta żółta farba pod nogami, nie pokrywa pokładu. Stoimy z Jankiem na czyimś dachu. Tu ktoś mieszka.

— On już nigdy stąd nie wypłynie — mówi Janek.

Od dziobnicy do rufy przeszło czterdzieści metrów. Długa, wyciągnięta ku górze rufa ze wspaniałą pawężą. Wygląda na dzielny i szybki, dwumasztowy szkuner. Maszty pewnie poszły już dawno na rozpałkę. Ostał się tylko jeden saling, który przybity do dziobnicy, służy za wieszak naftowej latarni. Ależ to autentyczna, latarnia starego żaglowca. Patrząc przez pękate szkła lampy, widzę wokół statku bajkowy krajobraz. A może na to cmentarzysko należy patrzeć tylko przez stare, załamujące światło, szkła? Za sufą „Lulworth" wraki barek desantowych, które Anglicy budowali w 1944 roku z przeznaczeniem do jednorazowego użytku. Przepłynąć Kanał La Manche i osiąść na stałe na francuskim brzegu. Tu służą jeszcze po trzydziestu kilku latach za ni to warsztaty naprawczę, ni to mieszkalne pomieszczenia.

Obok, obwiązana sznurkami „Nadia". Trudno zresztą nazwać to pływadło jachtem. Stara, rozlatująca się krypa. Na pokładzie mężczyzna czyści okucia. Po chwili zauważa nas. Podnosi się z klęczek i pokazuje w naszym kierunku ręką. Komuś, kto stoi na brzegu. Po skrzypiących, wąskich pomostach, drepcze małymi kroczkami starsza pani. Lustruje uważnie intruzów z aparatami fotograficznymi. Nie wyglądamy przecież na poborców podatkowych. Myśli chyba o tym samym i uśmiecha się. Patrzę na jej pomarszczoną twarz i czytam jakiś nieokreślony ból. Cierpienie widać też po drżących dłoniach. Zmęczona! Tak, to dominuje w jej oczach. W smutnych oczach starej kobiety z Hamble.

— Co tu robimy? Oglądamy. „Lulworth", chociaż okaleczona, zachowała przecież piękną sylwetkę. Czy to pani żaglowiec? Nie. Ona ma inną nadzieję. Zwie się „Nadia". Nadia? Czyżby rosyjskie imię? Dziad męża był Rosjaninem i miał za żonę czarnooką Nadieżdę. To dla upamiętnienia. Remontują jacht i może jeszcze w tym roku, a najpóźniej w przyszłym, popłyną nim do przyjaciół. „Nadia" to wspaniały jacht i z powodzeniem zniesie podróż na Niderlandy. Wszyscy stąd wypłyną. Nikt nie zostanie w tej błotnistej przystani. Tak, całą armadę wyprowadzi „Lulworth". Popłyną na błękitne, ciepłe morza do lepszych, piękniejszych krajów. Muszą uciec. Chcą, pragną tego. To cel ich życia. Innego nie mają. Tak, mieszkają na tych żaglowcach, śpią, rodzą dzieci. Normalne, to przecież domy. Na „Lulworth" mieszka małżeństwo z trójką dzieci. Jedno z nich pracuje. Ona jest kolorowa. Z Polinezji. Wieczorami siada właśnie tu przy tej lampie i śpiewa. Wtedy wszyscy się schodzimy, by posłuchać. A słuchając wiemy, że zbliża się nasz dzień, kiedy rzucimy cumy i ruszymy w świat. Oni na ciepłe morza, kolorowe wyspy, a my na Niderlandy.

Teraz tylko spokojnie. Znaleźć pretekst, wycofać się. Nie urazić, nie obrazić tych uczuć. Toż przecież jedyne bogactwo tej kobiety zwie się nadzieją. Nie muszę o tym mówić Jankowi. On to już wie. Uśmiechamy się niezdarnie, potakujemy, kiwamy głowami...

— Udanej podróży życzymy — woła głośno Janek — pomyślnych wiatrów! Do zobaczenia na Niderlandach.

Kobiecie jaśnieją oczy. Nie złudzenia to, nie iluzoryczne marzenia, skoro i ci obcy też wierzą i rozumieją ich plany. Popłyniemy, uciekniemy stąd. Znajdziemy inną przystań. Chociaż na te parę ostatnich lat.

Dalsze pomosty. Smutne widowisko trwa. Na sąsiedniej krypie mężczyzna z kobietą. Posilają się. Nie zauważają nas. Nie odpowiadają na uśmiech. Nie istniejemy. Obok zbutwiały wrak barkasa. Też zamieszkały. Trzech mężczyzn taszczy na jego pokład olbrzymią butlę z gazem. Nad zejściówką widać rozpięty brezent. Ostatnio padało. Butla zostaje na barkasie. Jeden z tej trójki coś manipuluje przy zaworze, dwaj pozostali przechodzą na inne domy. Wszędzie tu mieszkają ludzie. Czy wszyscy oni marzą, by wypchnąć swoje domy na głębszą i czystszą wodę? Co za bzrudne porównania. Wybór jachtu, starego żaglowca na dom mógł być przecież koniecznością. Nie mieszkają tu dlatego, że kochają jachty, przestrzeń i iluzoryczną przygodę. Pewnie taniej. Taniej kosztuje wrak, aniżeli jednomiesięczny czynsz? Zygi mówił wczoraj, że jego córka płaci za mieszkanie trzydzieści funtów tygodniowo. Zarabia zaś trzydzieści pięć. Jasne, że zarabia bardzo mało. Kiepskie wykształcenie, tuż po szkole i dziewczyna. Chłopak na jej miejscu zarobi siedemdziesiąt funtów. Takiego właśnie chłopaka znalazła i chcą się żenić. „To niech idą na swoje, pomieszkają za trzydzieści funtów tygodniowo i zobaczą wtedy, czy warto już uciekać z domu" — śmieje się Zygi. Kto go nie zna, pomyśli, że to beztroski, wesoły facet. Wesoły tak, ale nie beztroski. Coraz bardziej tęskni za Polską, ale chyba nie tak bardzo, jak ci ludzie z bagien za normalnym domem nad wielką i czystą wodą. Jednak tym ludziom bardziej się w życiu nie powiodło. Jak tu mieszkają zimą? Fakt, zimy nad cieśniną Solent bardzo łagodne, ale mokre, chłodne i mgliste. Te rozpadające się koryta nie grzeją. Niektóre przeciekają. Inne toną. Mówi o tym odpływ odsłaniając dna, z których wypływają strugi wody. Za długo chodzimy po tym cmentarzysku. Oglądamy, podpatrujemy, wczuwamy się, współczujemy nawet, a to wszystko razem tylko łagodzenie własnego niepokoju, pretekst do poczucia się lepszym i przyłożenia plastra spokoju sumienia w okolicy własnych serc. Bo cóż dla nich? Spojrzenie, uśmiech, gest, ruch dłoni.

Drewniane rusztowania wyprowadzają nas na brzeg. Zarośla, rowy i liściasty lasek. Między drzewami zakurzone, odrapane, ale młodsze od stareńkich żaglowców samochody. Pojazdy mieszkańców cmentarzyska. Stąd niektórzy dojeżdżają do pracy. Na największym klonie skrzynka pocztowa. Za lasem łąki, zagrody i polna droga prowadząca do miasteczka. Albo do ostatniej przystani. Kwestia wyboru kierunku. Za zakrętem skrzyżowanie i tabliczka z nazwą dróżki. Cóż za adekwatność: „droga krabów". Najsmutniejsza droga, najsmutniejsza przystań, jakie dotąd widziałem.

Zasuwamy za sobą kurtynę, strząsamy z butów brunatne błoto cmentarzyska i wchodzimy w elegancki świat. Piękne wille, ogrody, damy na koniach i klawiatury zębów. Co wam tak wesoło? Ciągle jeszcze mam w uszach cmentarne dzwonienie fałów, a w nozdrzach mdławy smród rozkładającej się roślinności i cuchnącej krabiej padliny. Kolejne skrzyżowanie. Stąd już ruchliwa szosa prosto do portu jachtowego. Po prawej anglikański kościółek z okazałym cmentarzem. Po lewej boisko z gromadą wrzeszczących chłopaków. Wybieramy grę w krokieta. Ciągnie nas do życia.

Czekając na przyjaciół

ANNA KRAJEWSKA

Tego dnia audytorium numer trzy Instytutu Fizyki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach prezentowało się inaczej niż zwykle. Po pierwsze — ze względu na inną niż zazwyczaj publiczność zasiadającą w ławach. Zamiast jednorodnej w końcu studenterii, składali się na nią ludzie różnego wieku — od staruszków do młodzieży szkolnej przyprowadzonej przez panią nauczycielkę, ludzie uprawiający różne zawody, którzy, na dodatek, za własne pieniądze przyjechali tej soboty do Katowic ze wszystkich niemal zakątków Polski. Po drugie — inny niż co dzień był tego dnia klimat panujący w audytorium. Był to klimat żarliwego wsłuchiwania się w każde słowo lecące z katedry i następnie namiętnych, gorących dyskusji; trwały one nawet w czasie krótkich przerw między wystąpieniami prelegentów, w kuluarach, w uniwersyteckim barku.

Tej soboty w audytorium Instytutu Fizyki Uniwersytetu Śląskiego odbywała się konferencja naukowa poświęcona omówieniu zagadnienia występowania inteligencji pozaziemskich oraz sposobów nawiązywania z nimi łączności (czyli tzw. zagadnieniu CETI). Organizatorem imprezy było Polskie Towarzystwo Astronautyczne, a ściślej — jego śląski, najbardziej prężny i zarazem najstarszy oddział (powstał on w roku 1955, czyli tuż po ukonstytuowaniu się samego towarzystwa). Śląski oddział Polskiego Towarzystwa Astronautycznego wyspecjalizował się niejako w prezentowaniu i propagowaniu w naszym kraju problematyki CETI, czego dowodem m. in. fakt, że poświęcona tej problematyce konferencja zorganizowana w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Śląskiego była już piątą z kolei. W każdej z tych konferencji uczestniczyło przy tym więcej osób, na każdej kolejnej atmosfera stawała się coraz to bardziej i bardziej gorąca.

Samo zjawisko jest właściwie zresztą zadziwiające. Bo przecież nadal z całą pewnością nie wiadomo, czy inteligencje pozaziemskie w ogóle istnieją, nadal też, jeśli naprawdę istnieją, to siedzą cicho. I ignorują nasze, heroiczne przy obecnym stanie ziemskiej techniki próby nawiązania z nimi łączności. A przecież takie próby podejmujemy już od lat dziewiętnastu. Zaczęły się one od słynnego projektu OZMA autorstwa amerykańskiego astronoma Franka Drake'a z obserwatorium w Green Bank. Drake w 1960 roku przez 150 godzin czuwał cierpliwie przy radioteleskopie nacelowanym na Tau Ceti, a następnie na Epsilon Eridani, czyli na gwiazdy — sąsiadki odległe od Ziemi „zaledwie" o 11 lat świetlnych — i nic, żadnego „listu" od nich nie odebrał. Równocześnie w tymże samym, 1960 roku, holenderski matematyk Hans Freudenthal opracował reguły specjalnego „języka kosmicznego" czyli LINCOS-u, żebyśmy mogli nie tylko odbierać listy od sąsiadów, lecz również sami je „pisać". A w 1972 roku wysłaliśmy w Kosmos sondę „Pionier F" już nie tylko z listem, ale wręcz z magazynem ilustrowanym opisującym ludzkość. „Pionier F" minął Jowisza i przemknął w przestrzeń międzygwiazdową. Może tak mknąć, jak się oblicza, przynajmniej 100 milionów lat. Ale my, jak dotąd, nadal nic z tego nie mamy...

Na ostatniej, piątej konferencji naukowej (?) poświęconej problematyce CETI zrelacjonowane zostały najnowsze wysiłki podejmowane w różnych krajach świata dla skontaktowania się z cywilizacjami pozaziemskimi. Sprawozdawcą był prof. Mieczysław Subotowicz, astronom z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, od dawna tą problematyką się pasjonujący. Prof. Subotowicz poinformował, że kolejne poszukiwania s ą s i a d ó w zostały podjęte przed kilku laty w radioobserwatorium w Ohio (USA), przy czym poszukujący, prof. Dixon z uniwersytetu w Columbus, robi to z własnej i nieprzymuszonej woli, więcej, za własne pieniądze; jak dotąd o pełnym jego sukcesie trudno wprawdzie mówić, lecz prof. Dixon twierdzi, że wykrył kilka sygnałów pozaziemskich naprawdę tajemniczych... Prof. Subotowicz poinformował ponadto, że przed 3 laty grupa uczonych z Jet Propulsion Laboratory w Pasadenie (USA) również przystąpiła do poszukiwań. Z tym, że tym razem są to poszukiwania oficjalne i zakrojone na bardzo szeroką skalę; uczeni zamierzają podjąć obserwację dwóch milionów gwiazd typu naszego Słońca — a więc tych, których planety przede wszystkim powinny być „zaludnione" — i następnie prowadzić te obserwacje przez lat przynajmniej pięć. Profesor poinformował też, że osobiście przedstawił propozycję wybudowania wielkich radioteleskopów kosmicznych n a o r b i t a c h s a t e l i t a r n y c h Ziemi. Z podobną propozycją wystąpił zresztą również znany radziecki astronom z Instytutu Badań Kosmicznych w Moskwie, prof. Kardaszow. Prof. Kardaszow przewiduje nawet, że pierwszy wielki (o średnicy 30 metrów) radioteleskop orbitalny będą mieli Ziemianie w roku 1985; dzięki tego rodzaju radioteleskopowi szan-

se nawiązania łączności z „innymi" będą rzecz jasna znacznie większe niż obecnie...

Wystąpienie prof. Subotowicza było właściwie jedynym wystąpieniem konkretnym. I — minorowym raczej w tonacji: jego leitmotivem było przeświadczenie, że na kontakt z sąsiadami — jeśli ich ludzkość w ogóle posiada — trzeba będzie jeszcze sporo poczekać. Inni prelegenci jak gdyby nigdy nic przeszli jednak nad tym do porządku dziennego. Tak więc np. sekretarz Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii mgr Stanisław Lubertowicz (nota bene architekt z zawodu) zajął się omówieniem korzyści, jakie ludzkość odniesie z nawiązania kontaktów z cywilizacjami pozaziemskimi. Zdaniem mgr Lubertowicza korzyści tych będzie mnóstwo. W dziedzinie polityki będzie to więc dalsze zbliżenie między różnymi państwami naszego globu konieczne żeby kontakty z „innymi" mogły mieć poważny, odpowiedzialny charakter. W zakresie nauk technicznych, zwłaszcza zaś w dziedzinie łączności — bo dzięki „innym" rozwiną się różne nowe techniki przekazywania informacji, ludzie otrzymają też szereg wspaniałych wynalazków. W biologii, która wreszcie, dzięki sąsiadom ustali niezbicie, skąd bierze się życie we Wszechświecie. W filozofii — bo człowiek będzie musiał inaczej, szerzej sformułować podstawowe problemy ontologiczne. W religioznawstwie nawet — bo znalezienie „innych" zmusi ludzi do zrewidowania różnych, funkcjonujących na Ziemi systemów teologicznych... A żeby wszystkie te korzyści jak najprędzej już mogły stać się udziałem człowieka, mgr Zbigniew Sołtys z Krakowa zaproponował próbę nawiązania łączności z cywilizacjami pozaziemskimi przy pomocy zjawisk parapsychicznych, w tym zaś zwłaszcza — telepatii. Mgr Sołtys posunął się nawet do stwierdzenia, że zastosowanie tej właśnie metody może być jedyną metodą sensowną...

W trakcie gorącej dyskusji, która się potem wywiązała, zabrał głos pewien młody człowiek, biolog bodaj z zawodu, który powiedział, że już same próby nawiązania kontaktów z „innymi" na bazie zjawisk parapsychicznych zdyskredytują najprawdopodobniej w oczach ogółu najpoważniejszych nawet rzeczników CETI; wraz z astrologami, szamanami i wróżkami zostaną oni wpakowani do jednego, ośmieszonego dziś worka. Tym niemniej, należy chyba się odważyć; bądź co bądź gdyby, chociażby nawet dzięki parapsychologii, udało się nawiązać kontakt z obcymi cywilizacjami, udało by się tym samym znaleźć sobie nowych przyjaciół. Bo ci inni, ci sąsiedzi, z pewnością będą nam prawdziwymi przyjaciółmi. A wszyscy ludzie tak bardzo prawdziwych przyjaciół potrzebują: na naszej małej planecie Ziemi homo homini lupus est...

Wystąpienie tego młodego człowieka w pewnym sensie tłumaczy chyba niesłychane zupełnie zainteresowanie, jakie we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej wzbudza dziś sprawa nawiązania łączności z naszymi ewentualnymi kosmicznymi sąsiadami. Tylko czy naprawdę przyjaźni — intratnej przyjaźni — musimy szukać aż gdzieś, we Wszechświecie? Czy naprawdę człowiek musi być drugiemu człowiekowi wilkiem?

Opowiadanie wigilijne

Kurt Biesalski

Przekład: Britta Wuttke

Budzik już dzwonił. Był to taki budzik, który nie tyka, lecz grzechoce, który nocą potrafi wypełnić tym grzechotem cały pokój, a jeśli nie zamknęło się drzwi — to i pokój sąsiedni, no i kuchnię także. Mężczyzna obudził się w chwili, w której budzik nabierał dopiero rozpędu do skrzypotu. Położył swą ciężką, kościstą rękę na budziku, który zaraz przestał skrzypotać nim jeszcze w ogóle rozpoczął. I teraz grzechotał sobie dalej, głośno i szybko, i wypełniając pokój, jakby naprawdę obudził i mógł już grzechotać li tylko dla siebie.

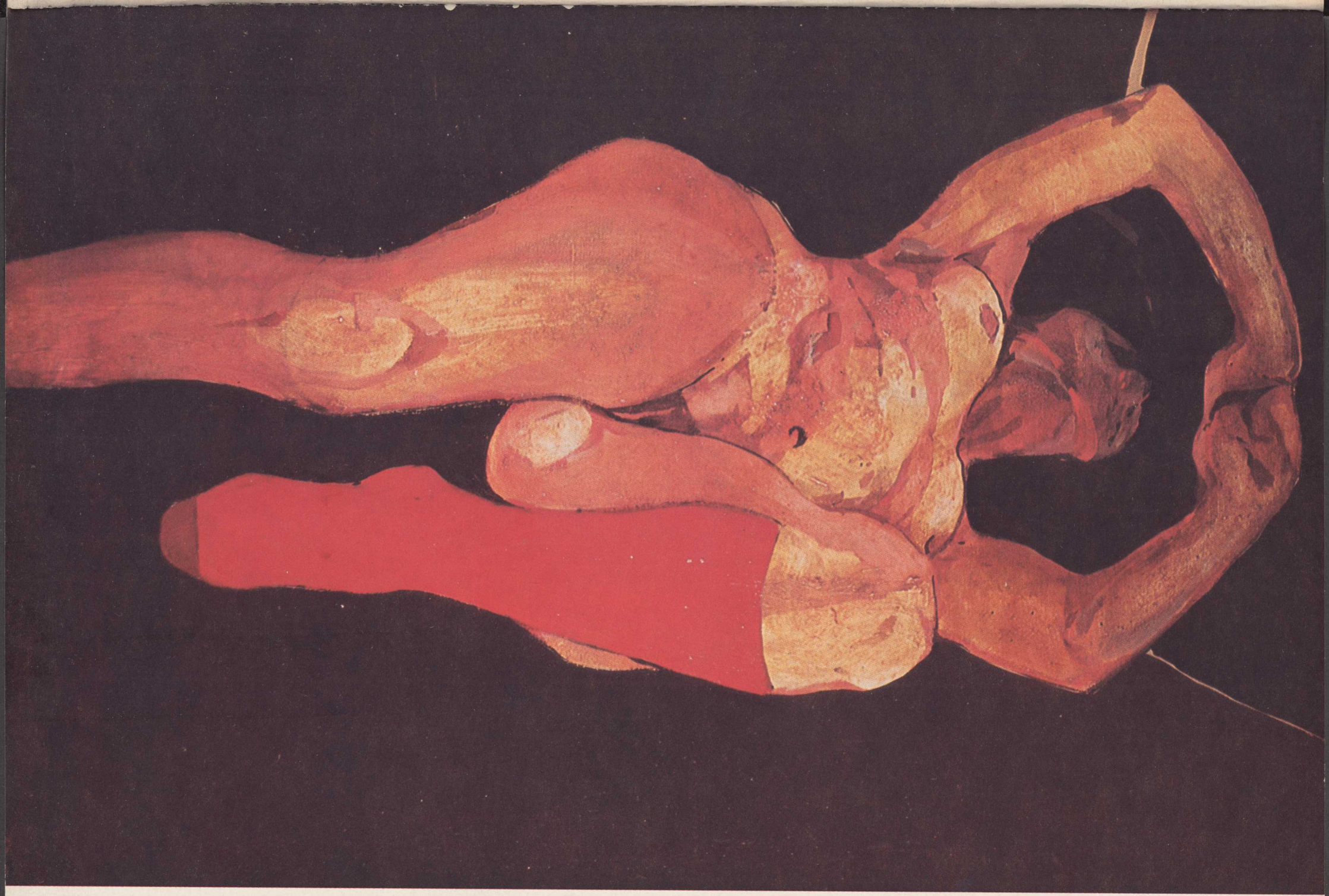
Mężczyzna leżał w łóżku bez żadnego ruchu, a jasne oczy patrzyły rozbudzone całkowicie. Budzik był wycisnął tylko ręką, poza tym nie poruszył się. I leżał teraz jeszcze przez chwilę, i był w pełni przebudzony. Potem wstał, cicho, ubrał się, bardzo cicho.

W pokoju było zimno. Pewno mroźnie na dworze. Koszula była zimna i kalesony były zimne, ale skarpety już cieplejsze, nieco. Lecz palce miał zgrubiałe, kiedy przypinał skarpety, więc wskoczył szybko w spodnie i narzucił szelki. Pomyślał: teraz już nie jest tak zimno, teraz raczej chłodnawo, trochę nawet przyjemnie.

Z tyłu, w drugim łóżku, leżała jego żona. Spała jeszcze i mężczyzna czynił wszystko bardzo cicho. Przekręciła się na drugi bok. I zapinał sobie spodnie i myślał: rano kobiety wyglądają w łóżku zawsze bardzo ciepło. Wówczas chciałoby się być dzieckiem i zwinąć przed ich brzuchem, i grzać się.

Wtem znów pomyślał: to dzisiaj. Pomyślał o tym zaraz wtedy, gdy budzik nabierał rozskrzypu, a wówczas jego powierzchowny sen znikł natychmiast. O tym myślał także, kiedy leżał jeszcze przez chwilę spokojnie w łóżku i przez bladą ciemność poranka spozierał na sufit. Bez przerwy myślał: to dzisiaj.

Cicho podszedł do okna i palcem odsunął roletę do boku. Na dworze spadł śnieg. Cienka, lekka warstwa ponownie pokrywała podwórze. Wielka, nie naruszona jeszcze powierzchnia Miał ochotę przejść przez to podwórze jako pierwszy, w poprzek całej, delikatnej powierzchni, i powciskać ślady swych stóp w cieniuchny śnieg. Tak w mrok poranka. Z rękoma w kieszeniach i z podciągniętymi ramionami — bo mroźnie przecież. A potem ostukać buty o bramę i radować się z pozostawionych śladów; z czystego tropu, który gładko wyciśnięty i żółtawy trochę, ale tylko miejscami. A za każdym obcasem podłużny pochlast,



Fot. K. Federowicz, MIECZYSŁAW OLSZEWSKI — „P o ń c z o c h a" — *olej*, z wystawy „Młodzi Plastycy Wybrzeża", Muzeum Narodowe, Szczecin 1979

Fot. W. Termanowski, OLGA SAMARSKA — „Kalmara bałtycka" — *olej*, z wystawy „Plenery świnoujskie", Szczecin 1979



którego nie sposób uniknąć nawet wówczas, kiedy się stopy unosi wysoko.

— Jaka pogoda? — zapytała żona spoza niego. Ruszył nieco palcem i powiedział: — Świeży śnieg spadł, cienka warstwa świeżego śniegu spadła.

— Zaraz wstanę i zrobię ci kawę — rzekła żona. I odparł: — Tak, dobrze — i popatrzał jeszcze trochę za okno, a potem cofnął palec i zamknął szczelinę.

— Zupełnie dobrze, że spadł nowy śnieg — powiedział. Kobieta wstała, a on podciągnął sobie rękawy podkoszulka i poszedł do kuchni. Tam zapalił światło — i zobaczył, że wszystko jest żółte. Dziś Wigilia, pomyślał, i dlatego wszystko zdaje mi się tak żółte. Zawsze zapalam światło, a dziś rzuca mi się to w oczy, bo Wigilia. Przechylił się do lustra, nad umywalnią, wsunął język, od środka, pod dolną wargę i obejrzał sobie brodę sprawdzająco wodząc po niej palcem. Dziś wszystko żółte, pomyślał, nawet moja broda nie jest już aż tak ruda. Dobrze, że czasami wygląda inaczej; to cieszy.

Potem umył się. Woda była bardzo zimna. Pozwalał jej wyciekać w nadstawione wydrążenia dłoni i podniósł ją do twarzy. Bardzo wolno. Rozcierał ją na twarz i kark, i mocno zaciskał oczy, i skrobał palcami w zagięciach uszu. Wszystko bardzo wolno, mimo że ręce o mało nie odpadały mu z zimna.

To dzisiaj, myślał bezustannie. To dzisiaj. Wszystko po raz ostatni tak czynię; każdy chwyt, każdy krok. Jutro zrobię wszystko inaczej. Jutro wszystko będzie jak w migocie świec i blasku lamety — wszystkie myśli, każdy z tych przedmiotów tu. I cicho musimy się zachowywać, bardzo cicho.

Tak, woda jest ciepła — aua! — gorąca nawet. To dobrze, będę miał więcej wody do golenia. Lubię się golić w dużej ilości wody. Powinienem coś powiedzieć do kobiety, pomyślał; krząta się przy kuchni jak gdyby nigdy nic; nie uczesana i w płaszczu kąpielowym. Może zapomniała, pomyślał. Zdarza się. Dziś przecież ranek taki jak każdego dnia. Może zapomniała; albo jeszcze nie pomyślała o tym. Zdarza się. Choć zabolałoby mnie jednak.

I długimi pasami przesuwał sobie pianę do brody. Ostrze ślizgało się jakoby miał szyję naoliwioną, tak lekko. Rzadko tak, pomyślał, tak tylko w niedzielę, najczęściej, kiedy się później golę, i w spokoju.

— Masz tu nowy ręcznik — powiedziała kobieta i podała mu ręcznik, który był jeszcze złożony. A więc jednak o tym pomyślała. Bo po cóż by mi dawała czysty ręcznik. Robi to tylko wówczas, kiedy zamierzamy sobie zrobić coś uroczystego. Kiedy się w niedzielę tak wybieramy, być może, że kogoś odwiedzimy. Zazwyczaj zawiesza go, w dzień, przy sprzątaniu. A więc jednak o tym myśli, cały ranek już. — Powieś tam — powiedział i wskazał brodą na hak. A ona powiesiła i krzątała się dalej przy stole.

Potem pili kawę. Siedzieli naprzeciw siebie i patrzeli w pobok siebie i pili kawę. Kobieta, od czasu do czasu, coś mówiła; tylko po to, by nie było tak cicho. O praniu, które już tydzień na strychu wisi, zmrożone niby dechy, i o tym, że w tym tygodniu ich kolej z odśnieżaniem. Tylko po to, by nie było tak cicho. I pił gorącą kawę i nie przysłuchiwał się, a z ostatnim łykiem wypił fusy, i rozżuwał je. Potem wstał. Nie od razu. Tak jak wstaje mężczyzna. Przyciągnął pięści i nogi, że wyglądało jakoby się kulił, trwał przez chwilę spoglądając na stół, potem oparł się o pięść i o nogi, i pod kolanami odsunął krzesło, i wstał.

Kobieta podając mu płaszcz nadstawiła go. Przytrzymał u dołu rękawy swetra i wsunął ręce do płaszcza, i poruszając ramionami ułożył go na sobie. Potem kobieta podała mu czapkę. Jak każdego ranka uderzył czapką najpierw dwa, trzy razy w pustą dłoń i dopiero ją nałożył. Następnie kobieta podała mu jeszcze teczkę; zwinęła ją, bo taka ta teczka stara, i wsunęła mu ją pod pachę. I wtedy nie miała już co mu dać i stała tak bez niczego, tak sobie stała, marznąc w płaszczu kąpielowym, i patrzyła mu na kark. A on spoglądał na jej uczesane włosy i myślał, że teraz już w pobok siebie gadać nie mogą. Całą chwilę tak stali.

— Ładne? — zapytała kobieta. Zapytała bardzo cicho i patrzyła na jego kark.

Wówczas zdziwił się nieco i rzekł: — Przecież widziałaś.

— Tak, tak — powiedziała.

Zastanowił się czy ładne. Potem, po chwili, zapytał: — Czy ja jestem ładny? — i spojrzał na nią z wysoka. Podniosła oczy, wolno, nie nagle, podniosła oczy i zlustrowała jego twarz. Miała duże oczy, kiedy tak spoglądała; ale zawsze nieco smutnawe; smutne z kłopotów i gadania sąsiadów. I jej włosy były rzadkie i nie uczesane i bardzo rozdwojone po wielu ondulacjach. Zawsze chciała być trochę ładną, pomyślał, dlatego tak często chodziła do fryzjera. Ale nie do twarzy jej, w ładności.

— Albo czy ty jesteś ładna? — zapytał.

Patrzała na niego, wielko- i szarooka, patrzała na niego i myślała: Jaki on dobry. Mój Boże, jakiż on dobry. Jest tak dobry, że mogłabym płakać, kiedy o tym myślę. Oczy jej nieco zwilgotniały. Zauważył i rzekł: — no, no — i odwrócił się i pogłaskał jej policzek. Tak poszedł. Niczego więcej nie powiedział, jedynie owo „no, no". I stała tak, i uśmiechała się, i myślała, że to mógłby powiedzieć również do konia, owo NO, no, po szyi go klepiąc.

Jaki on dobry, pomyślała znowu, jakiż on jednak nieskończenie dobry. Potem podeszła do okna i widziała jak przechodził przez ulicę. Chodnikiem, tym po drugiej stronie, przeszło dopiero niewielu ludzi. Szedł brzegiem, gdzie jeszcze nikt nie tknął śniegu. Dużymi, spokojnymi krokami szedł w nie tkniętym świeżym śniegu. Bardzo czarny w swym płaszczu.

Było już popołudnie. Tego samego dnia. Ludzie spieszyli ulicami miasta mijając świąteczne okna wystawowe, mijali ze spokojnym uśmiechem i bez zważania na elektrycznie kiwające się mikołajki ani na jasne, szklane świece. Ale przy brzegu miasta ulice były puste i mglisto wilgne. Zahamował, i wielki samochód do wywozu popiołu stanął w miejscu. Stanął przed ciemnoczerwonym, wielookiennym budynkiem z wypalonej cegły i przytłumliwie wysarkiwał sprzężone powietrze. Stał w miejscu szeroki, buhajowaty i szary jak rozrosły słoń. Z prawej strony jezdni. Potem otwarły się z trzaskiem jedne drzwi i zaraz po nich drugie. Kobieta wysiadła i ściągnęła z wysokiego siedzenia kosz do bielizny. Były w nim poduszki, bardzo biało i czysto powleczone oraz kilka włochatych kocy. Mężczyzna chciał jej odebrać kosz, ale kobieta powiedziała: — Ty i tak tam nie możesz wejść, w tych twoich brudnych ciuchach roboczych.

Wówczas mężczyzna pozostał przy wozie i patrzał za kobietą jak przechodziła przez ulicę. Przy bramie spotkała siostrę. Zagadnęła ją, i potem obie weszły do środka, najpierw kobieta z koszem do bielizny, a później siostra.

Mężczyzna wspiął się z powrotem do wozu i oparł na kierownicy. Więc tak się zostaje ojcem. Człowiek bawi się trochę dźwigniami — no, bo coś trzeba przecież robić — i w między czasie staje się ojcem. Puka się sobie w pleksiglas deski rozdzielczej, że igły drgają, wyciska sprzęgło, hamulec — i staje się ojcem. Robi się to jak

każdego dnia — do dechy lub nie — same bagatele; i w międzyczasie człowiek niezmiennie staje się ojcem. — Cholera, przecież to nie jest w porządku. Przecież to coś szczególnego, stawać się ojcem. Należałoby przecież coś zrobić w takiej chwili. Coś wyjątkowego. Przecież całe życie będzie się ten kwadrans wspominało. Nie można się przecież tylko tak bawić rączką biegów i wprawiać w drganie wskaźnik ciśnienia oleju. Uczesał się. Zdjął czapkę i wychylił się nieco z okna, i uczesał się w bocznym lusterku wstecznym. Miał w nim bardzo okrągłą twarz; duży nos — dokładnie po środku, a włosy i uszy cofnięte daleko ku tyłowi. Potem był już gotów. Wyjął z grzebienia parę wyrwanych włosów i włożył je do schowka w desce rozdzielczej, między papiery wozu. Teraz lusterko wsteczne było puste. Pusta ulica za nim. Najpierw byli w nim ci trzej. Powiedział, że dziś będą musieli, z raz, pójść do domu na piechotę, wyszczerzyli zęby i kiwnęli głowami i stali w miejscu. Kiedy ruszając spojrzał pobieżnie w lusterko — zobaczył ich, byli akurat tak duzi, że właśnie się mieścili. Stali tam w swych workowatych fartuchach i podnosili pozdrawiająco ręce w wielkich lnianych rękawicach, i tak maleli coraz bardziej. Teraz lusterko było puste, i myślał o tamtej trójce, która szczerzyła zęby, kiedy im to powiedział.

Mężczyzna wysiadł. Nałożył czapkę i wysiadł. Zatrzasnął drzwi, wsunął ręce do kieszeni i obszedł wóz dookoła. Potem kopnął opony; podchodził do każdej z osobna i uderzał w nią stopą, swym ciężkim butem. Od mokrego śniegu opony były czarne. Po świętach będę musiał założyć łańcuchy, pomyślał.

Wtedy zbliżał się chodnikiem stary człowiek. Szedł bardzo ostrożnie i stawiał maleńkie kroki, i ostrą laską dźgał w przydeptaną, zamarzniętą, brudną warstwę śniegu.

Powiem mu, pomyślał mężczyzna, temu powiem. Wówczas całe życie będę pamiętał nagły błysk w jego oczach. Zdumiony błysk w jego starych oczach, ponieważ powiedziałem mu, że teraz, że w tej chwili staję się ojcem.

Nie, nie zagadnę go; stanę tak, że będzie musiał mnie zobaczyć. I wtedy mu powiem.

I stanął na chodniku obok śmieciarki i patrzył na zbliżającego się starego człowieka. Na twarzy miał uśmiech, prosty, oczekujący uśmiech. A stary człowiek zbliżał się bardziej i bardziej. Miał niklowe okulary. I stary człowiek był już na skos przed nim i bardzo zważał na drogę; i minął go i bardzo zważał na drogę; i szedł wolno dalej małymi, ostrożnymi krokami i dźgał ostrą laską w twardą, brudną warstwę śniegu.

Dobra, pomyślał mężczyzna i połknął swój uśmiech, też dobrze. Będę sobie teraz zawsze przypominał, jak ten stary człowiek mnie minął, ten, któremu chciałem powiedzieć. Jak mnie zwyczajnie minął. Swymi krótkimi krokami i w niklowych okularach. Też dobrze.

I potem usłyszał nagle drzwi z drugiej strony ulicy, i zobaczył zbliżającą się żonę. Ostrożnie niosła przed sobą kosz do bielizny. A obok niej szła siostra, która bezustannie spoglądała do wnętrza kosza. Teraz, pomyślał, teraz. Nie wiedział czy wyjść im naprzeciw, czy czekać i otworzyć drzwi.

Dlatego zachował się tak, jakby mieściło się to mniej więcej w środku. Przeprowadził całą tę gromadę wokół wozu i otworzył gwałtownie drzwi, i chciał kobiecie odebrać kosz, aby mogła wsiąść. — Nie, nie — rzekła, jeszcze byś upuścił, i dała kosz do potrzymania siostrze. Potem pomógł jednak nieznacznie, palcami tylko, bo siedzenie było bardzo wysoko.

Kiedy zamknął drzwiczki z zewnątrz, czuł się tak, jak gdyby już teraz nareszcie miał coś zabezpieczone. Postał jeszcze przez chwilę i odsunął pasmo włosów, a potem wolno obszedł dookoła wóz nie zważając więcej na siostrę.

— Musisz jechać ostrożnie — powiedziała kobieta. — Tak — rzekł — będę jechał bardzo ostrożnie.

Kosz był nakryty chustą tak, że nie mógł niczego zobaczyć. Nie szkodzi, pomyślał, będę go widywał jeszcze dostatecznie często. Najważniejsze, że go mamy. Jaki on też będzie, tak za trzy, cztery lata, kiedy po raz pierwszy wypróbuje hulajnogę, bardzo niezdarnie i ceremonialnie niezgrabnie; a hulajnoga wywraca się stale w tę drugą stronę.

Albo mając osiem lat, kiedy pewnego dnia powie, tata, chciałbym jutro rano pójść na ryby. I nie śpi całą noc, i ja też nie; i wstaje, dużo za wcześnie, ale wstaje jak mężczyzna, i cicho się ubiera. I udaję, że śpię. A potem zamyka z zewnątrz drzwi i idzie, a ja nie muszę już udawać i boję się trochę, bo po raz pierwszy idzie rankiem sam na ryby. Później budzi się kobieta; podrywa ze snu i mówi — gdzie jest chłopiec? A ja mówię — jest nad rzeką i łowi ryby. Nic więcej. Tylko — jest nad rzeką i łowi ryby. Na to ona przeraża się jeszcze raz i musi coś przeciwko temu powiedzieć, i mówi — mój Boże — mówi — gruźlicy się nabawi w tej mgle — a nawet nie wie czy na dworze, nad rzeką, jest mgła.

Czy również będę czasami myślał: to przecież wcale nie jest twój syn. To obca krew i ni ojca, ni matki nie znasz.

Na pewno będę czasami tak myślał, tego nie da się ominąć. Szczególnie kiedy ktoś, chcąc być miłym, powie mi, że jest do mnie podobny. Czy do żony. To będzie niby ukłucie; jak ukłucie głęboko w samym środku gardła. Albo kiedy w jakimś urzędzie trzeba będzie stać i odpowiadać, ściśle, dokładnie.

Na pewno będę czasami tak myślał.

Przede wszystkim jednak będę myślał, że to mój syn, mój prawdziwy syn. Taka jest wola moja. I będę się kłócił z innymi ojcami i niekiedy oburzał na nauczyciela. Wszystko dla niego. Tylko dlatego, że jest moim synem, moim prawdziwym synem.

— Co też sąsiedzi powiedzą — rzekła kobieta. Trzymała na kolanach kosz do bielizny i wytężała wzrok przez zamgloną szybę. Mężczyzna zahamował przy znaku „stop" i obserwował ruch na głównej ulicy.

— Sąsiedzi zawsze gadają — rzekł i patrzał tak uważnie w lewo i w prawo, jak gdyby był powiedział coś zupełnie bez znaczenia, jak na przykład: no, tamten, niech on się tam nieco ze swymi chabetami pospieszy. Sąsiedzi zawsze gadają. Niektórzy najchętniej pokazaliby na twój brzuch mówiąc patrzcie, ona jest niepłodną. A weźmie sobie człowiek dziecko na własność, wtedy mówią to przecież wcale nie wasze, to przybrane, bo wy nie będziecie mieli. — Sąsiedzi zawsze gadają.

Buhajowaty, szary wóz jeszcze nadal stał w wąskiej ulicy i czekał na szczelinę, w którą by się wślizgnął. Mężczyzna przy kierownicy położył swą piegowatą rękę na luźnej dźwigni biegów i czekał.

— Trochę się boję — powiedziała kobieta. Patrzała przez szybę, jak gdyby rozmawiała ze sobą.

— Nie trzeba — rzekł mężczyzna i również patrzał na wprost. Znam wielu, którzy o tym nie mówią. Ani słowa. Ni dobrego, ni złego. Tylko że ich nie słychać. Słyszy się jeno zawsze tych, którzy gadają. I potem uśmiechnął się nad dziwnym zakończeniem, i spojrzał powoli na kobietę, i rzekł — Posłuchaj tych, którzy nie gadają.

Skrzyżowanie było wolne; wrzucił bieg i ruszył ostrożnie. Jeszcze raz szybko spojrzał w lewo i w prawo i przejechał szeroką ulicę, w tę wąską

tam. Gdy wóz toczył się już spokojnie mężczyzna rzekł — Niekiedy też się boję; ale to nic. Mimo tego zrobiliśmy tak i to jest w porządku.

Wolną ręką wytarł starannie szybę z pary wodnej. Przed kobietą też. Potem włączył wycieraczki, bo zaczęło śnieżyć. Wycieraczki burczały cicho i rozsunęły na szybie dwie wolne przestrzenie. Raz za razem wąskie łuki rozsuwających wycieraczek uwalniały bardzo dokładnie owe dwie przestrzenie.

Znajdź sobie śnieżny płatek. Ty. Ojciec. Znajdź płatek i patrz za nim. Jak się kręci i kołysze — przypatruj, jak się unosi i opada, delikatnie bardzo, lekki maleńki, i jak ginie w wirze pomiędzy wieloma się gubi; wpierw uniesiony, wzejdź — i potem w leniwym kółkowaniu ginąc. — Znajdź sobie śnieżny płatek, ty. Dziś możesz. Dziś masz czas. Bo Wigilia dziś. I jesteś ojcem. — Ty. Znajdź sobie płatek. W koszuli i szelkach stoisz przy oknie. Pokój jest ciepły. I ty z rękoma w kieszeniach przy oknie stoisz i się płatkom przyglądasz. Śnieg pada. Śnieg pada. Gwiazdka i śnieg pada. Śnieży drobno małymi, lekkimi płatkami. I wszystkie się kręcą, opadają, kręcą się; wiele, wiele, świetliste i lekkie.

— Czy to nie cudowne, ty, ojciec? Tak w twych skarpetach ciepło i Wigilia i na dworze śnieg pada?

Już zmierzcha; zaraz będzie wieczór. A ty stoisz przy oknie i się płatkom przyglądasz, i światełkom naprzeciw w ciemnych oknach prostokątnych. I za tobą, w twoim pokoju, w twoim ciepłym, błogim pokoju, siedzi twoja żona i daje dziecku butelkę. Twojemu dziecku butelkę podaje. — Nie odwracaj się, ty. Znajdź sobie płatek i nie odwracaj się. Wyobraź sobie — tak — wyobraź sobie jak to wygląda; ale się nie odwracaj. Patrzy na śnieżynę i myśl, że jest piękna. Bo trzyma dziecko w ramieniu. Ma ten miękki, daleki, bliski uśmiech matki. I jej włosy są przygładzone i czarne, i błyszczące, a z tyłu głowy ma je w gruby węzeł podpięte. I kołysze się lekko w uśmiechu. Trzyma dziecko w ramię wtulone i uśmiecha się, i kołysze bardzo wolno tułowiem w tę i w tę, w tę i w tę, z wolna bardzo. — Teraz na płatki spójrz, ty. Pozwól im przekółkować przed sobą i przez nie patrz; sztywno, uparcie, jeśli chcesz. Ale nie odwracaj się. I nawet gdyby plecami w górę dreptało, do potylicy aż, to oczy zamknij i stój. Tak jak stoisz. Ale nie odwracaj się. — Twoja żona, śpiewa. Kołysze się w tę i w tę z dzieckiem na ramieniu i spogląda na nie i uśmiecha się i śpiewa. Wpierw nuci, jeszcze tak naprawdę nie śpiewa. — Znasz tę melodię. Chłopcem będąc, kiedyś ją śpiewałeś, jako mały uczniak w chórze. W przednim rzędzie stałeś, w wysokich butach, a krótkie spodnie do kolan, i wysokim chłopięcym głosem śpiewałeś: lulajże, lulaj, Przedziałek we włosach był na mokro, i bardzo uważnie czekałeś zawsze na wejście nauczyciela. Lulajże, lulaj — śpiewałeś. To było na wieczorze dla rodziców; śpiewałeś szczególnie dobrze, bo twój ojciec i twoja matka siedzieli w dole. Wysoko i bardzo czysto: lulajże, lulaj. — Słyszysz? Ona śpiewa, Twoja żona śpiewa. To już nie nucenie tylko, ona i śpiewa. W nuconej melodii potrafisz wysłyszeć pojedyncze słowa. „Lulajże", wysłuchujesz, nawet wyraźnie, i „lulaj". Wyraźnieje, nawet bardziej wyraźnieje. I bez żenady. — Czy ty w ogóle wiedziałeś, że twoja żona potrafi śpiewać? Taką prostą, dziecięcą piosenkę, przynajmniej? Nie zastanawiałeś się, prawda? Nie pomyślałeś nawet czy ona w ogóle umie śpiewać? A teraz stoisz i zęby zagryzasz, i wyglądasz poprzez szparkowato ściśnięte powieki w i przez gmatwaninę płatków. I pozwalasz płatkom przed oczyma tańczyć i usztywniasz kark. — Stój, ty. I nie odwracaj się.

Dzwoniło. Teraz możesz się obrócić. Ktoś za drzwiami stoi. Żona trzyma dziecko w ramieniu; teraz ty musisz pójść i otworzyć.

Mężczyzna obrócił się i pytająco spojrzał na kobietę. Nuciła dalej i kołysała dalej, i brodą wskazała na drzwi, jakoby chciała powiedzieć — no idź, ktoś dzwonił. Mężczyzna włączył światło, w korytarzu również; i nagle mieszkanie się zażółciło. Otworzył drzwi. W sieni stali ci trzej z lusterka wstecznego. Ci trzej w workowatych fartuchach z grubymi lnianymi rękawicami. Wyszczerzali zęby i byli bardzo zażenowani. — Wejdźcie — powiedział mężczyzna. Otrząsali sobie śnieg z butów, porządnie bardzo, ale trochę jednak zostało; zdjęli czapki z głów i rękoma otrzepali je ze śniegu, i włożyli na powrót. I wtedy weszli do korytarza, w żółte światło, i byli zażenowani i nieporadni w ruchach. — Ależ wejdźcie — zawołała kobieta. Nadal jeszcze siedziała z dzieckiem i kołysała się w tę i w tę. Wtedy mężczyzna wprowadził tych trzech do pokoju, a oni stanęli na dywanie, przy drzwiach, i szczerzyli zęby.

— Tak tylko wpadliśmy, bo przecież Wigilia dziś — powiedział jeden. I potem znów było cicho; a kobieta kołysała się z dzieckiem w tę i w tę i nuciła cichutko i uśmiechała się do nich.

— Ależ nalej im jednego — powiedziała kobieta. Wówczas mężczyzna poszedł do kuchni, a kobieta nuciła dalej

— Myśmy tu coś przynieśli — rzekł jeden — bo Wigilia przecież.

A trzeci nie mówił nic. Trzymał pod ramieniem wytwornie opakowaną butelkę wódki.

Później stali znów i nie mówili niczego i z zażenowaniem uśmiechali się wyszczerzając zęby, i patrzyli na dziecko. Aż wrócił mężczyzna i wetknął każdemu do ręki pusty kieliszek. Trzymali sobie tak te kieliszki i mężczyzna nalał im po kolei, sobie też. Potem rzekli: „na zdrowie" i nikt nie powiedział „za dziecko"; tylko „na zdrowie" rzekli i unieśli ręce z kieliszkami, i przechylili głowy ku tyłowi, i wypili z kieliszków do dna. Potem powiedzieli „brrr" i „brrr" i wykrzywili twarze i deptali swymi grubymi buciorami po dywanie zostawiając brudne kałuże. Kobieta uśmiechnęła się do nich i nuciła, i kołysała się dalej. Mężczyzna szedł od jednego do drugiego i ponownie napełniał kieliszki; swój również. Żebyśmy się tylko nie upili — powiedział ten z misiem; i roześmiał się półgębkiem.

A ten z pieluszkami rzekł: — No to.

I znów unieśli swe kieliszki i wypili je do dna, a potem wykrzywiali twarze i mówili „ach" i „brrr".

— No to teraz musimy już iść — odezwał się ten z pieluszkami. A ten z zawiniętą butelką powiedział: — Tak, teraz musimy iść. Bo tylko tak chcieliśmy, tak przechodząc wpaść.

I znów przez chwilę szczerzyli zęby.

— A gdzie twoja choinka — zapytał ten z misiem w torebce — abyśmy pod nią te rzeczy złożyli.

— Moja choinka? — powiedział mężczyzna — nie mam w ogóle żadnej choinki.

— Ach tak — rzekł ten z misiem — nie masz choinki.

Wówczas zmieszali się nieco.

— Zobaczę, może jeszcze jakąś dostanę — powiedział mężczyzna do kobiety. Powiedział to tak, jakby tamtych nie było. — Do tego czasu połóżcie rzeczy tu, na stole — rzekł.

Wówczas ci trzej złożyli rzeczy na stole i powrócili do miejsca, na którym stali przedtem, i rzekli — Do widzenia — i kiwnęli głowami do kobiety, i — dziękujemy pięknie — i obrócili się niezdarnie, i wyszli. Jeden po drugim. Wychodząc postawili puste kieliszki na szafie, wysoko. A kobieta patrzyła za nimi i uśmiechała się i dalej kołysała się z dzieckiem. W tę i w tę, w tę i w tę.

Tramwaj nadjechał i mężczyzna wsiadł. Do ostatniego wagonu wsiadł, tam na końcu, gdzie się tak dobrze stoi. Tam stali już dwaj mężczyźni. Byli również ojcami. Poznał to po tym, jak z żółtego światła patrzeli przez szyby w ciemność.

Mariusz Czarniecki

Cud

1.

Zanim Ją stworzyłeś, musiałeś przejść długą drogę prób, usiłowań i dzieł mniej lub bardziej doskonałych. Żeby to pojąć, trzeba sięgnąć do prapoczątku: kiedy to, czego dobrze ciągle jeszcze nie umiemy określić, kotłowało się i kotłowało, a para i mgła rozsnuwała się, a minerały wytrącały się z prężącej się magmy, stając się górami oraz zawartością ziemi. I upłynęły miliardy lat wody, która stała się wszechoceanem.

2.

Zanim Ją stworzyłeś, twój mózg powiększał się, a czoło odsłaniało i otwierało myślącą przestrzenią. Miejscami twojego wylęgu były groty kromanionskie, afrykańskie, podpekińskie i małoazjatyckie pieczary, lecz wobec dzieła, jakiego podjąłeś się, by osiągnąć Ją, te wszystkie nazwy to tylko słowa niezbędne, by jakoś zaznaczyć etapy twoich dążeń; epoki, kontynenty, wymiary czasu i odległości zostały w ten sposób uporządkowane w kategoriach geologicznych, świetlnych, międzygwiezdnych, i nie trzeba być filozofem, ażeby wiedzieć jak bardzo te nazwy i klasyfikacje są zwodnicze, z pewnego punktu widzenia można powiedzieć wręcz: bzdurne. Ale zabójczy imperatyw porządkowania, towarzyszący ci od pierwszego oddechu i pierwszego kroku po tej ziemi, doprowadził, o dialektyko, w tym samym stopniu do sukcesu wytwórczego i technologicznego, co i niszczącego chaosu. Każdy bowiem przejaw Porządku, każde szaleństwo kultury torowało ci drogę do Niej, do tego twojego cywilizacyjnego apogeum.

3.

Zanim Ją stworzyłeś Prometeusz obdarował cię ogniem, a jońscy myśliciele przyrody — to już czasy najświeższe — prócz ognia poruszyli trzy pozostałe żywioły, i warto dodać: poruszyli doskonale już wygimnastykowanymi umysłami człowiekowatych.

4.

Spróbuj podsumować. A więc: Wirujący z tajemniczej zawiązki kłębuszek, para — mgła, eksplodujący mózg, metale, gelogizm na równi z kosmosem tyleż zbadany co domniemany, zwierzęta, życie, maszyny.

5.

I tak, zanim przystąpiłeś do składania poszczególnych elementów i podzespołów, musiałeś poradzić sobie z czasem. A on wymyka się urągając twojej obosiecznej perfekcji porządkowania: Jest, nie ma go, a w każdym razie na pewno zwodzi, powraca, zawiesza nas ponad głowami najdzielniejszych wynalazców. Pozostaje ci trzymać się pamięci o przodkach, mówisz o nich: Nasz przodek Sokrates, co brzmi nieomal, jak: nasz dziadzio, dziadunio, jakby dopiero co huśtał się przed kominkiem na bujanym fotelu i zwyczajnie po starczemu pokasływał. I takich dziadków przemysłu i moralności wynajdujesz w sarkofagu przeszłości co niemiara.

6.

A ziemia płata ci figle, chociaż uparcie powtarzasz, że ją ujarzmiasz. Tymczasem, jedno milimetrowe zachwianie w galektyce, drobniuteńkie przesunięcie słońca sprawiłoby, że stałbyś się soplem lodu albo zwęglonym pyłkiem, ba, jedno głupie tornado potrafi przegnać cię po morzu i lądzie jak świszczypałę piórkowej wagi. Czyli jesteś między tą piórkową wagą. Sokratesem i Osiłkiem Tornado jednością. Dodajesz dumnie: jednością niepowtarzalną.

A ile nawymyślałeś prochu, wielkie nieba! Wpadłeś na pomysł starcia małych grudek na maleńkie, wsypałeś to do kuchennego moździeża, potarłeś i jak ci nie trzaśnie! Odtąd trzaskasz aż hej! Aż nieboskłon się kołysze nad twoim samoukorowanym łbem wyposażonym w oczy, te komputerowe arcydzieła ewolucji rozjaśnione pychą z powodu sukcesu i postępu. A cierpliwy nieboskłon wisi nad tobą z całą groźną mgławicowością promieni gamma, przed którymi uczysz się bronić konstruując ochronne skafandry.

7.

I oto Ona cała utkana z możności. Z twojej możności. Przepełnia ją moc wszystkich twoich dobrych chęci, twojego geniuszu, twojej potencji psychicznej. Uodporniona i nierdzewna. Zachwyca starannie dobieranych widzów zwożonych specjalnymi autokarami na salon poligonu. Powiadają: Jaka Ona jest piękna, a „piękna" brzmi w ich ustach jak pean na cześć skuteczności. Skuteczności, niestety, ograniczonej, przedwczesne są bowiem twoje okrzyki, że ta skuteczność już mogłaby być totalna czy globalna; to jeszcze nieprawda. Gdy mowa o tym na myśl przychodzi Jej cielesność, wręcz kobieca słabość uzewnętrzniana przewrotnością. Bo ma naturę dwojaką: jest dobra i zła. Bywa nierządnicą oddającą wdzięki z samej chęci użycia, manipulowaną dowolnie i bywa modliszką pożerającą własnych kochanków — wynalazców i manipulatorów.

Ulepszałeś ją żmudnie. I tak powstał ciąg płodności. Ona wylęga małe i mniejsze lecz wyłącznie w obrębie rodzajowym, to znaczy dzieci i wnuki nie odbiegają od pramatki większością parametrów, a jeżeli zachodzi jakakolwiek mutacja to na korzyść, zgodnie z samoczynnie działającym dążeniem do polepszania. Ciężarna chronicznie: od wylęgu do wy-

zwolenia. Wyzwolenie przypomina ryk satysfakcji Frankensztajna zdejmującego czerep z głowy swojego stwórcy.

8.

Przybyli na salon poligonu ujrzeli Ją w pełnej krasie. Przyznaj, że promieniałeś, odzywał się w tobie zakodowany szczep praojca z maczugą — Chojraka Pierwszego. Szczep uwielbiania podobnych piękności. Stała nieruchoma i majestatyczna, oślepiająco połyskliwa na tle bezbłędnie wypolerowanych prowadnic stanowiących część pustynno-stepowego sztafażu.

9.

Wiadomo, nie musisz powtarzać, iż należy odróżniać stwórców od przewoźników, chociaż w ujęciu ściśle gatunkowym wszyscy są stwórcami. Niemniej dla ścisłości właśnie można zgodzić się na miejskie odróżnienia. Stwórca to stwórca, natomiast kapitan — przewoźnik nie zbliża się do Niej jak na godziny przed Jej spełnieniem się. Udziałem stwórcy cała męka poczęcia i wylęgu, rzeczą kapitana — przewoźnik — przewieźć, zapomnieć słów, dotrzymać zmowy: przewoźnik kocha czy nie, posiada czy nie, transportuje Jej Piękność na wyznaczony salon poligonu, posługując się słowami nie swoimi, które wypowiada jak zaklęcie.

obrazu, który ci się ukazał próżno by szukać w otaczającej przyrodzie. Najlepszy to znak, że Wandora jest postacią kultury, ponieważ, jak twierdzą znawcy, jak ty twierdzisz, kulturą jest to wszystko, co nie wyrasta wprost z natury, a w czym udział miały twoje myśli i twoje ręce. Pojawiła się w kształcie ognistej kuli, tu przeobraziła się w kulę brunatną, z tej zaś trysnęły amarantowe płomienie. Dziewczyna ognista tańcząca flamanco. Flesz-gigant pośród drzew ogrodu. W wycinku umożliwiającym dojrzenie nieba zobaczyłeś udrapowaną fałdami zasłonę staczającą się aż do linii horyzontu — amarant, z amarantu rubinowa czerwień, z czerwieni wszystkie odcienie sepii. Trudne do opisania, cudowne faktury pochodzenia gazo-płynnego.

11.

Przed sekundą z powodu tego Jej przenikającego olśnienia straciłeś wzrok, a wkrótce potem, kiedy wydawało ci się, że jest tak blisko ciebie, iż dotykasz Jej ciała, że z Nią fizycznie obcujesz, że oddała ci się dawką promieniowania przekraczającą 30 rentgenów — gdy tak ci się majaczyło, straciłeś, po utracie wzroku, także świadomość. I płynąłeś bez swojej woli, odrzucany niewdzięcznie przez Nią, to arcydzieło twojego mózgu, twojej wielkości człowieczej, na odległość ponad trzech kilometrów, ty a dokładniej twój trup z porwanymi naczyniami krwio-

technologiczny: BESTIA

Kapitan-przewoźnik i widzowie zwiezieni na salon poligonu poddają się na przemian to obojętności to zachwytowi, lecz zachwytowi częściej. Pewien kapitan-przewoźnik wyszeptał Jej imię pieszczotliwie wymyślone: Wandyna, Wandora.

Niektórzy sądzą, że w ocenie cech Wandyny wystarczyłoby uciec się do dwupodziału; nie wiedzą, że nie wszystko da się podzielić na dwa: że jest takie albo takie. Dlatego, gdyby spostrzeżono, iż jeden z kapitanów albo widzów postępuje w myśl zasady *„tertium datur"* czyli próbuje oprzeć się Jej urokowi, a nawet potępić Jej moc, powstałoby złowrogie zdziwienie równe posądzeniu o zdradę.

10.

Oto spoczywa na sofie wyrzutni jak Madame Recamier oczekując gości salonu. Artyście, który Ją stworzył, szepce, że pragnie dziś zgotować wyjątkową niespodziankę, wyruszy bowiem już niebawem w wymarzoną podróż, i co więcej, nie zamierza z niej powrócić, gdyż ta podróż to narodziny, życie i śmierć w jednym trwaniu i w piorunowym błysku. „Maluj mnie, szepce, bo w tej postaci już mnie nie zobaczysz".

I tobie wydawało się, że przekazuje ci szeptem podobne zlecenie. Stałeś właśnie w ogrodzie oddalony od Niej kilometrami przestrzeni, gdy nagle ukazała ci się w całym rozbłysku urody. Odpowiednika nośnymi, tryskający krwią z oczu, uszu, i ust, zgnieciony, z połamanymi kośćmi...

Potem na stopionej murawie, na stopionych Jej narodzinami, życiem i umieraniem, drzewach, domach i drogach, na tej wszechogarniającej popielnej płycie — leżałeś w kształcie zwęglonej grudki bez własnego życia, bez własnego pola grawitacyjnego, bez szans wyznania Jej swojego podziwu. Ona też wyciszała się i umarła wkrótce po tobie.

12.

A weźmy owo *„tertium datur"* czyli wersję BYĆ. Oto ty u szczytu człowieczej ewolucji w roku dwa tysiące... Spoglądasz za nią, spoglądasz, pieścisz wzrokiem jej gładką połyskliwą urodę i raptem myśl wyprzedzająca ciebie samego o tysiące lat, dotyka ściółki agresji w twoim mózgu (są co prawda, uczeni, którzy twierdzą, że ta zależnia zła w ogóle nie istnieje). Nowa, już czysto ludzka myśl, owa napastliwą ściółkę rozpuszcza i ją likwiduje. W tej jednej chwili następuje niewiarygodna przemiana: Cud technologiczny twojego chowu, owa bestia, którą uwielbiałeś mniej lub bardziej skrycie, staje ci się niewypowiedzianie wstrętna. Bez wściekłej jednak zawziętości, po prostu z dojrzałym rozmysłem każesz ją unicestwić. I w ułamku sekundy zapominasz o tej swojej tragicznej trwającej przez tysiąclecia — fascynacji.

Samotność pełna spraw

MAŁGORZATA HADYL

Niewiele pozostało dziedzin życia, w których człowiek mógłby z powodzeniem aktualizować swoje możliwości na drodze indywidualnych działań. Praca naukowo-badawcza, wyczyn sportowy, działalność polityczna, gospodarcza, wiele rodzajów twórczości artystycznej, może zakończyć się sukcesem nie dzięki wysiłkowi jednego człowieka, ale za cenę integracji wielu talentów, umysłów, wysiłków w realizacji jednego zamierzenia. W związku z tym sukces pojedynczego człowieka, uzyskany samotnie, prawie zawsze, choć w rozmaity sposób, porusza emocje ludzi. Do takich wyczynów należy m .in. żeglarstwo samotne. Niemal po każdym prasowym, czy radiowo-telewizyjnym doniesieniu o jakimś osiągnięciu w tej dziedzinie lub w konfrontacji z podobnymi osiągnięciami, mnożą się pytania: skąd biorą się tego typu zjawiska, czy ochoty? Czym kierują się ludzie narażający się na masę niewygód i niebezpieczeństw? Jakimi cechami trzeba się charakteryzować, żeby odważyć się na podobny wyczyn i osiągnąć sukces?

Ludzie mieszkają wprawdzie w dużych skupiskach, ale nie znają się, izolują się czasem, aż do wyobcowania. Jeżdżą w zatłoczonych trmwajach, ale nawet w największym tłoku zachowują w stosunku do siebie dystans, anonimowość. Może tu należy szukać źródła ucieczki od fizycznego stłoczenia? Może stąd biorą się bohaterskie wyczyny na morzu? Dla wielu ludzi jest niezrozumiała chęć podejmowania aż tak trudnej, wyczerpującej i niebezpiecznej aktywności tylko dla niej samej. Doszukują się różnych innych motywów. Może ludzie szukają walki z pierwotną, czystą przyrodą, by ją pokonywać? Po to, by potwierdzić swoje możliwości, zdać egzamin z siebie? Może wreszcie szukają sensu własnego istnienia, własnego bytu, bo zginął im w tłumie wielu problemów? Może to pogoń za sławą, reklamą, rekordem? A może uciekają od ludzi, by móc wracać?

Opisy przeżyć doznawanych przez samotnych żeglarzy mają formę najczęściej mniej lub więcej zbeletryzowaną. Zanotujemy w pamięci zastrzeżenia związane z formą.

Kim są? Wszyscy mają morskie teoretyczne i praktyczne przygotowanie, są reprezentantami różnych zawodów, grup społecznych, charakteryzują się różnym wiekiem, statusem rodzinnym, wykształceniem ogólnym. Np. Chay Blyth, który opłynął kulę ziemską samotnie non stop, jest agentem handlowym; K. Jaworski — konstruktorem; K. Chojnowska-Liskiewicz — pierwsza kobieta, która samotnie okrążyła kulę ziemską, jest inżynierem; K. Baranowski — dziennikarzem, podobnie L. Teliga i R. Manry. Alain Colas — zwycięzca regat transatlantyckich w 1972 roku był pracownikiem naukowym Uniwersytetu w Sydney, R. Knox-Johnston — pierwszy człowiek, który odbył podróż non stop wokół świata — oficerem marynarki handlowej, podobnie jak Alex Carozzo. Płynęli samotnie w ramach regat. Wtedy najczęściej werbalizowanym motywem jest oczywiście wyczyn sportowy. Ktoś mógłby powiedzieć, zgoda, wyczyn, ale dlaczego samotnie?

Jakimi się kierują motywami? Teliga pisał o realizacji marzeń, o osiągnięciu prestiżu dla polskiego żeglarstwa, ale jego brat mówi o predyspozycji małego Lolka Teligi do samotnych wyczynów, o jego indywidualnym buncie, ucieczce od zmaterializowanego społeczeństwa w okresie młodzieńczym i o tym, co było charakterystyczne dla niego w wieku dojrzałym: był *„młodzieńczy i konsekwentny wobec swojej młodzeńczości"*. Sam Teliga pisał: *„zostałem sam. Popatrzyłem na wyjście z zatoki, na ciemną sylwetkę Taboga i zrozumiałem, że nie wytrzymam tu. Muszę ruszać! Już! Natychmiast!... Jak iść to nie oglądać się"*. I to wtedy, gdy był wśród ludzi lubianych, kiedy czuł się przez nich rozumiany, bliski (s. 163, „Samotny rejs Opty"). Robert Manry wyruszając w swą samotną podróż realizował ją w ukryciu przed innymi *„umożliwiała ona znalezienie się z dala od społeczeństwa na lądzie i spojrzenie na życie przez pewien czas z nowej perspektywy"*. (s. 234, „Tinkerbelle"). Ludzie na ogół nie lubią, gdy ktoś z zewnątrz odkrywa głębsze motywy ich działania. Buntują się przed ingerencją w ich całkowicie własne terytorium. Często wtedy zaprzeczają, że kierują nimi jakiekolwiek inne niż ujawnione motywy. Stara prawda w psychologii głosi, że istnieją nieuświadomione powody naszego działania. Czy należy je odkrywać? Dla poznania naukowego niewątpliwie tak. Również dla praktyki klinicznej, a i dla własnego rozwoju.

W czerwcu 1979 r. w trakcie Regat Samotnych Żeglarzy o puchar „Poloneza" (regaty na Bałtyku, trasa ok. 160 Mm) przeprowadzono badania psychologiczne, które zorientowane były na eksplorację systemu potrzeb psychicznych „samotników" oraz występowanie zaburzeń psychicznych podczas rejsu.* Badania miały charakter sondażowy. Objęły 10 osób, które dobrowolnie poddały się testom psychologicznym przed regatami. Po regatach przeprowadzono z nimi wywiad dotyczący problemu występowania zaburzeń psychicznych, błędów w nawigacji, stosunku do tego typu zawodów. W trakcie regat wypełniali kwestionariusz dotyczący stanu zdrowia fizycznego, samopoczucia psychicznego, nastroju, popełnionych błędów w nawigacji, snu, marzeń sennych, występowania złudzeń, halucynacji słuchowych, wzrokowych, węchowych itp. Niemal wszyscy badani doświadczali złudzeń i halucynacji, najczęściej halucynacji słuchowych i to już po 25—30 godzinach samotnej żeglugi.

Badani kapitanowie, posiadający wieloletnią praktykę żeglarską (28—8 lat praktyki), w większości przypadków brali udział w podobnych regatach w latach ubiegłych, charakteryzowali się wykształceniem najmniej średnim, są reprezentantami rozmaitych zawodów, przeważnie technicznych. W trakcie badań okazało się, że każdy z nich ma różną „piramidę potrzeb" i trudno byłoby ryzykować (w chwili obecnej) jakieś uogólnienie o dominacji którejś z nich.

Mówiąc „po prostu" — jeden wybiera taką aktywność, bo ma tendencję do unikania współpracy i współdziałania z innymi, inny być może dlatego, że najważniejsze to być niezależnym, samowystarczalnym, ufnym we własne siły i zdolności, jeszcze inny, gdyż szuka sytuacji niezwykłych i nie konwencjonalnych a jeszcze inny, bo kontakty z ludźmi budzą w nim poczucie zagrożenia.

Stojącemu z zewnątrz wydaje się nieprawdopodobne jak można normalnie funkcjonować „na wyższych możliwych obrotach" przez 20—30 dni regat w nieustannej gotowości, wydajnej pracy intelektualnej, fizycznej i olbrzymim napięciem emocjonalnym. Z minimalnym czasem snu, nieraz 20 minut na dobę i wobec rozmaitych zagrożeń z zewnątrz. Tu stajemy wobec następnego zagadnienia, jakim jest występowanie podczas samotnych rejsów zaburzeń psychicznych. Dla psychologa, czy psychiatry nie będzie niczym zaskakującym, że przy znacznej eksploatacji fizycznej, czy psychicznej i przy częstym zażywaniu rozmaitych środków farmakologicznych „przeciw senności", niedożywieniu i wycieńczeniu chorobą morską, organizm może uciekać się do halucynacji słuchowych, wzrokowych, węchowych i innych. Zarówno przy nadmiarze bodźców, jak i przy ich braku, organizm nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Znany jest w literaturze psychicznej eksperyment nad funkcjonowaniem organizmu w warunkach znacznej deprywacji od bodźców. 22 studentom Uniwersytetu Mc Gill zaproponowano przebywanie przez jak najdłuższy okres w pokoju dźwiękoszczelnym, w stanie bezruchu, w izolacji od światła i jakichkolwiek innych bodźców. Nie musieli niczego innego poza tym robić. Za każdą przeleżaną bez ruchu w zupełnej ciszy dobę, otrzymywali 20 dolarów. Tylko nieliczni wytrzymywali dłużej niż 2—3 doby. Doznawali halucynacji, snów silnego lęku, nie mogli ani spać, ani myśleć. Mieli obniżone wyniki w testach inteligencji. Po zakończeniu eksperymentu pojawiły się mdłości, uczucie „zamętu w głowie", poczucie dezorientacji i zmęczenia, które utrzymywało się przez następną dobę. Człowiek nie może znieść również nadmiaru bodźców. Obserwujemy to na co dzień, ale najwyraźniej występuje to w badaniach nad populacją zwierzęcą. Badano grupę szczurów, którym pozwolono rozmnażać się nadmiernie. Grupa żyła w ograniczonej przestrzeni. W populacji szczurów wkrótce zrobiło się ciasno. Szczury zaczęły być agresywne, zjadały się nawzajem, masowo umierały. Dochо-

RYSZARD TOKARCZYK, fragment ekspozycji autorskiej, VIII Prezentacja Malarzy Krajów Socjalistycznych, Szczecin 1979



Fot. Z. Ryngwelski

JURIJ PAWŁOW — „Plac Czerwony" — *olej*, VIII Prezentacja Malarzy Krajów Socjalistycznych, Szczecin 1979



Fot. Z. Ryngwelski

dziło do rozmaitych patologii. W populacji ludzkiej znane jest również zjawisko alienacji społecznej czyli „samotności w tłumie" jako przyczyny rozmaitych zaburzeń. Znamy również zjawisko występowania psychoz więziennych u ludzi pozbawionych wolności wyrokiem sądu. Sama sytuacja uwięzienia, ograniczenia kontaktu, pozbawieniu wielu bodźców powoduje reakcję w postaci zespołu rozmaitych zaburzeń psychicznych.

Jak przeżywają swoją samotność ci, którzy sami dobrowolnie się na nią skazali? Ich opisy świadczą, że są to ludzie podczas całego rejsu tęskniący za bliskimi, za innymi ludźmi, i związani z nimi emocjonalnie. Nie są więc wyobcowani, mają wielu ludzi będących nawet podczas rejsu psychicznie blisko np. L. Teliga — *„patrzyłem, poznawałem wielu żeglarzy, którzy pływali z rodzinami, z dziećmi i mimo woli przychodziły myśli o innym pływaniu niż to, które wymarzyłem i zrealizowałem. Tęsknoty są niekontrolowane. Często wyobrażałem sobie kogoś na drugiej koi i cały rejs nabierał innego blasku"*, a w innym miejscu *„... i nawet nie wiecie, że tysiące mil od was na Oceanie, prawie po drugiej stronie globu tęskni do was samotny człowiek"* (s. 238, „Samotny rejs Opty"). Chay Blyth: *„dziś poczułem się po raz pierwszy naprawdę samotny. Przez cały dzień myślałem o Maureen i Samancie. Takie nastroje nie są dobre. Nie trwają one długo, ale jestem bardzo smutny."* (s. 100, „Niemożliwa podróż"). R. Knox-Johnston: *„6 mil od Falmouth pożegnał mnie dźwięk rogu mgłowego z „Huntreess", matka, ojciec, Mike i Hazel i przyjaciele pomachali mi, a później zawrócili. Był to druzgocący moment, ponieważ po raz pierwszy poczułem się naprawdę samotny.* (s. 47, „Mój własny świat").

Za samotność na jachcie płacą rozmaitymi stanami, zaburzeniami nastroju, marzeniami o innych ludziach na jawie i we śnie, poczuciem znacznego zagrożenia, stałym lękiem o to *„czy jestem normalny"*. Teliga: *„a na pytanie, co było najtrudniejsze w tej wyprawie, mówiłem otwarcie: samotność"* (s. 398, „Samotny rejs Opty"). R. Knox-Johnston: *„nie opuszczał mnie lęk przed wystąpieniem zaburzeń umysłowach z powodu samotności."* (s. 63, „Mój własny świat"). Również w książce Blytha między wierszami tkwi ten lęk. W wywiadach radiowych udzielonych red. Zb. Kosiorowskiemu z P.R. w Szczecinie, jeden z żeglarzy stwierdza, że nie potrafiłby płynąć samotnie wokół świata, gdyż bałby się, że zmieniłby się do tego stopnia, że nie umiałby żyć wśród ludzi.

Próbę klasyfikacji tych przeżyć podjął G. Bennet z Uniwersytetu w Bristol. Zbadał 34 osoby biorące udział w regatach transatlantyckich w 1972 r. Stwierdził znaczne prawdopodobieństwo wystąpienia zaburzeń psychicznych u osób startujących w tego typu regatach oraz zależność ich wystąpienia od zmęczenia, napięcia psychicznego, stanu fizycznego, odżywienia itp. Zauważył ponadto, że wszystkie te zaburzenia mieszczą się w pewnym *kontinuum* — od stanów zmienności nastrojowej, marzeń sennych o treści wyrażającej rozmaite stany zagrożenia poprzez występowanie niezorganizowanych plam przed oczami do iluzji i czystych halucynacji wzrokowych.

W naszych badaniach sondażowych przeprowadzonych wśród samotników bałtyckich również zaobserwowaliśmy występowanie złudzeń słuchowych i wzrokowych oraz licznych błędów w prowadzeniu jachtu już w pierwszej dobie bezsennej żeglugi. Sami żeglarze również piszą o tym w swoich pamiętnikach, choć są i tacy, którzy zaprzeczają ich występowaniu w trakcie swoich rejsów. Teliga nie pisze o nich wprost i obszernie, tak jak robi to R. Manry. Niemniej w kilku miejscach można domyślić się, co wyraża w następujących zdaniach *„zaczynam sobie zdawać sprawę, że żyję w świecie dziwów, że już poprzedniej nocy zanotowałem, iż padam na pysk"* (s. 185). W innym miejscu *„znów majaczą mi się rafy, a za nimi światło. Omijam je, nawet nie sprawdzając na mapie co to jest. Wiem, że to złudzenie"* (s. 315). Inny żeglarz we wspomnianych już wywiadach radiowych opisuje przypadek, że gdy zapadł w sen, widział jacht zachodnioniemiecki, który zbliżył się do niego. Usłyszał, że mówią po polsku o nim i jego jachcie. W tym momencie obudził się i zobaczył przepływający jacht niemiecki, ale ludzie stojący na nim rozmawiali po niemiecku. Innym razem miał uczucie, że ktoś jest na jachcie. Nawet poprosił o zrobienie herbaty, potem okazało się, że tym „kimś" była wisząca kurtka-sztormanka. R. Konkolski, również w wywiadzie radiowym, zaprzecza występowaniu wyraźnych halucynacji czy złudzeń. Twierdzi natomiast, że widział życie w falach, chmurach, ptakach. To byli jego przyjaciele. Zdarzało mu się natomiast myśleć na głos. K. Jaworski podczas samotnej żeglugi łapał się na tym, że ktoś jest na jachcie, że słyszy jakieś głosy, że mówi do kogoś. Stwierdza *„można to oczywiście nazwać pomyłką, ale chyba pomyłką to nie jest, a ma jakieś psychiczne podłoże"*. Wiele halucynacji wzrokowych i słuchowych doznał R. Manry na Tinkerbelle podczas rejsu samotnego przez Atlantyk. Spotykało go to najczęściej w stanach zagrożenia, w trudnych warunkach atmosferycznych. Występowały najczęściej po 30—48 godzinnej bezsenności, przy zażyciu środków farmakologicznych. Halucynacje trwały godzinami. W swoim pamiętniku z podróży pisze, że *„stan ten spowodował, że straciłem całe popołudnie żeglując po Oceanie w różne strony* (s. 100). Inni, jak np. Chay Blyth, płynący samotnie dookoła świata w odwrotnym kierunku po 89 dniach na morzu pisze *„przeżyłem tego dnia chwilę emocji — wydawało mi się, że ujrzałem ducha! W odległości około 120 m od jachtu ukazał się ni z tego ni z owego przedziwny kłąb białej pary. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to dmucha wieloryb, a biały kłąb to powstające przy tym bryzgi wody"* (s. 103). W innym miejscu — *„znowu pojawiają mi się przed oczami te śmieszne rzeczy, chociaż rano zjadłem trochę owsianki. Zaczynam przypuszczać, że wywołuje je strach"* (s. 160), *„miałem różne inne dziwaczne sny, dziwne było tylko, że ciągle teraz miałem jakieś sny, co mi się nigdy przed tym nie zdarzało"* (s. 194,198). Nawiasem mówiąc treść tych snów cechowała się znacznym stopniem zagrożenia. Wielu żeglarzy w trakcie samotnych rejsów obfitujących w rozmaite niebezpieczeństwa doznaje odczuć posiadania szóstego zmysłu, intuicji lub nadzwyczajnej opieki „Opatrzności". W warunkach zagrożenia jachtu, a tym samym życia, następowało przerwanie snu oraz działania zapobiegające nieszczęściu. Np. Teliga — *„zbudziło mnie gwałtowne kołysanie i straszliwy szum. Pamiętam, że leżałem na brzuchu na podłodze oparty o zwiniętą pościel. Jak oprzytomniałem — nie wiem. Wyskoczyłem na pokład i zawyłem nie, nie!... akurat lewą burtą minąłem wielkie głazy. „Opty" z pięknie wypełnionymi żaglami szedł prosto na czarne skały, do których pozostało 20 m. W prawo ode mnie widniały ostre zwały czarnego jak lawa gruzu"* (s. 185). Krystyna Chojnowska-Liskiewicz w audycji radiowej: *„kapitan ma szósty zmysł, wstaje wtedy kiedy trzeba, wtedy gdy jest zagrożenie dla jachtu"*. Dla walki z destrukcyjną samotnością, walki o utrzymanie poczucia zdrowia psychicznego żeglarze podejmują rozmaite działania. Konkolski śpiewał i myślał na głos, ożywiał przyrodę wokół, podobnie personifikował przyrodę Knox-Johnston, który poza tym śpiewał i uczył się wierszy na pamięć. Teliga nagrywał swój głos na taśmę, inni w chwilach załamań zmuszali się do pracy fizycznej, której nigdy na jachcie nie brakowało. Po co im to wszystko? Niezależnie od ich marzeń, co im ten wysiłek przyniósł? Teliga: *„dla mnie było to spojrzenie w siebie. Zdałem sobie sprawę wówczas, ile można było jeszcze opowiedzieć. Jak samotność jest pełna spraw, które mogą innych zainteresować i jak trudno wyjść poza suche fakty, które właściwie niewiele mówią o istocie tego wszystkiego co się przeżywa w samotności"* (s. 400). R. Knox-Johnston: *„kiedy w samotności na „Suhaili" mierzyłem siły w walce z żywiołem, kierując się prostymi sprawami morza, wiele zagadnień ujrzałem w daleko mniej skomplikowanym świetle niż podczas życia w absorbującym świecie cywilizacji. Doszedłem wtedy do wniosków, które wydały mi się zarówno proste jak i uczciwe. Myśląc o przyszłości zgromadziłem je w intymnych zakątkach mej duszy i dobre czy złe zawsze będą mi towarzyszyły"* (s. 206). R. Manry: *„czułem, że zdobyte doświadczenia wzbogaciły moje życie i miałem nadzieję, że będą też miały wpływ na życie innych osób"* (s. 238). Knox-Johnston, mimo iż w trakcie rejsu niejednokrotnie stwierdza, że samotny rejs to więcej niż uwięzienie pisze *„...samotność w rozległym i wrogim otoczeniu wywołała poczucie solidarności ze wszystkimi obecnymi stworzeniami"* (s. 105). Richard Konkolski zauważył w sobie zmianę swego stosunku do świata i wszystkiego, co ze sobą niesie. Nie przeżywał wielu spraw tak głęboko, jak przed rejsem.

Czy jest sens w poznawaniu i analizowaniu tej *„samotności pełnej spraw"*.

Dla bezpieczeństwa wielu ludzi i dla wiedzy warto poznawać.

* Badania przeprowadzono dzięki pomocy finansowej Zarządu Działalności Gospodarczej „Ster", Oddział w Szczecinie.

HENRYK GURGUL

Prądy morskie

Nieco historii

Ogromne obszary wód na Ziemi tworzą hydrosferę. Jej średnia głębokość wynosi 3 793 m. Woda w hydrosferze nie pozostaje w spoczynku. Ulega mieszaniu od powierzchni akwenu aż do dna. Do najbardziej znanych procesów dynamicznych, wywołujących wymienione zjawisko w morzach i oceanach, należą prądy morskie, falowanie i pływy.

Morza poznawano już w starożytności. Opisywano ich brzegi, obserwowano zachodzące w nich zjawiska i tworzono o nich legendy, opowiadania. Do dziś wiele zjawisk zachodzących w hydrosferze nie znalazło swojego naukowego wyjaśnienia (np. trójkąt bermudzki).

Prądy morskie przecinające oceany, są jakby ich rzekami. Brzegi tych rzek nie są stałe, ulegają przesunięciom i deformacjom. Były one obserwowane i opisywane przez wielu żeglarzy w różnych okresach czasu. Pierwszą próbą umieszczenia ich na mapach był atlas prądów morskich wydany w Holandii w 1655 r. Ponieważ wiadomości o nich były skąpe, więc atlas był niedokładny.

Matthew Fontaine Maury (1806—73), oficer amrykański, po zebraniu danych obserwacyjnych z poszczególnych statków, opracował mapy wiatrów i prądów morskich. Pierwsza jego mapa ukazała się w 1847 r. Zapoczątkowane zostały w ten sposób badania prądów morskich.

Już w średniowieczu wiadomości przekazywano przy pomocy poczty butelkowej. Do butelki wkładano zapisany pergamin lub papier, lakowano ją i wrzucano do morza. Prądy morskie przenosiły ją do różnych miejsc naszej planety. Pierwsze wiadomości o poczcie butelkowej pochodzą z Anglii z 1560 r. Obserwując ruch butelki uniesionej przez prąd morski, można było określić jego prędkość i kierunek.

Badania prądów morskich metodą poczty butelkowej zapoczątkował w latach 1887—88 książę Monaco — Albert I. Badaniami objęto północną część Atlantyku. Z inicjatywy Fultona w latach 1894—97, do oceanu wrzucono 2 074 butelek i 1 479 kawałków znakowanego drewna. Otrzymane tą drogą informacje o prądach przyczyniły się do szerszego zastosowania poczty butelkowej do ich opisu. Powyższa metoda jest stosowana do obecnego czasu. W okresie do października 1954 r. do czerwca 1960 r. oceanografowie wrzucili do morza 52 620 butelek. Z tej liczby na ląd powróciło 2 439 butelek, przynosząc wiele informacji o prądach. Zanotowano w tym czasie dwa rekordy długości przebytej przez butelki drogi. Jedna z nich wrzucona do morza w Melbourne, w ciągu 4 lat przebyła co najmniej 13 000 Mm (ok. 25 000 km) i została znaleziona w Varamouth (Anglia). Druga została wrzucona do morza 26 lipca 1962 r. w australijskim porcie Perth, a znaleziona po pięciu latach w Miami.

Na przełomie XIX i XX wieku dane o prądach morskich uzyskiwano z obserwacji dryfu wraków statków lub innych przedmiotów. W latach 1887—1909 zarejestrowano dryfowanie 157 wraków i części statków. Podczas sztormu w 1892 r. statek „Fred Taylor" uległ rozłamaniu. Jedna z jego części, zanurzona całkowicie w wodzie, popłynęła na wschód, druga część — wystająca nad powierzchnię wody, pod wpływem wiatru dryfowała na południe. W ten sposób określono kierunek prądu oraz wpływ wiatru na przemieszczanie się przedmiotów w morzu. Po wybuchu wulkanu Krakatau (1883) do morza spadło wiele kawałków pumeksu. Obserwując ich ruch, określono prędkość prądu występującego w tej części Oceanu Indyjskiego.

Obecnie metody badania prądów morskich znacznie różnią się od wyżej omówionych. Jednym z bardzo ciekawych eksperymentów był dryf łodzi podwodnej wzdłuż Prądu Zatokowego (Golfstromu). Jacques Piccard przeprowadził obserwacje, dryfując w łodzi zanurzonej na głębokość ok. 600 m, od brzegów Ameryki Północnej do Europy. Eksperyment przeprowadzono w 1969 r. Zebrane informacje posłużą do wyjaśnienia wielu zjawisk zachodzących w Prądzie Zatokowym.

Do poznania prądów morskich stosuje się najnowocześniejszą technikę i różnorodne metody. Poszczególne prądy są badane przez ekspedycje wielu krajów. Ich obserwację przeprowadza się przy pomocy pojazdów kosmicznych.

Ogólne dane o prądach

Po powierzchni mórz i oceanów przemieszczają się prądy powierzchniowe. Ich głębokość nie przekracza 200 m. Prądy powierzchniowe tworzą krążenia (cyrkulacje) prawoskrętne na półkuli północnej i lewoskrętne — na półkuli południowej. Ta prawidłowość jest wywołana ruchem wirowym Ziemi. Granicę między tymi krążeniami tworzą prądy równikowe.

Prądy powierzchniowe są głównie wywołane przez wiatry wiejące nad basenami oceanicznymi. W obszarach pasatów i monsunów w pasie okołorównikowym powstają prądy równikowe, które transportują wodę ze wschodu na zachód. Po dojściu do brzegów kontynentów, rozgałęziają się one na prądy płynące ku przeciwnym biegunom. Są to intensywne strugi wody, których szerokość waha się od kilkudziesięciu do kilkuset kilometrów, a prędkość niektórych z nich przekracza nieco 1 m/s. Prądy równikowe dają początek głównym prądom obu półkul. Do nich możemy zaliczyć prądy: Zatokowy, Brazylijski, Kuro-siwo, Wschodnio-australijski i inne.

Najbardziej rozwinięte prądy morskie transportują miliony m^3/s wody. Do największych prądów należą prądy równikowe. Prąd Wsteczny Równikowy na Oceanie Spokojnym prowadzi około 120—130 mln m^3/s. Głównie prądy półkuli północnej mają nieco mniejsze wydatki. Prąd Zatokowy np. 74—93 mln m^3/s, a Kuro-siwo około 60—70 mln m^3/s.

Dokładniejszą ilustrację ogromu mas wodnych transportowanych przez prądy da nam porównanie z wydatkami objętościowymi największych rzek. Tak na przykład Amazonka wlewa do Oceanu Atlantyckiego około 63 000 m^3/s, Mississipi — 19 000 m^3/s, Wisła — 960 m^3/s, a Odra — 540 m^3/s. Przez porównanie tych liczb w stosunku do wydatków któregoś z wymienionych prądów, otrzymamy znikome ułamki. Największe rzeki naszej plantey są więc, w porównaniu z prądami, małymi strumyczkami. Wszystkie rzeki oddają do mórz 37 000 km^3 wody rocznie, wtedy gdy Prąd Zatokowy w tym czasie przenosi 750 000 km^3.

Przyroda często człowiekowi płata figle. W pierwszej połowie XX wieku stworzono podstawy teoretyczne, wyjaśniające ogólną cyrkulację wody w hydrosferze. Teoria nie przewidywała, prócz prądów powierzchniowych i głębinowych, prądów podpowierzchniowych. Ich odkrycia dokonał Cromwell w 1952 r., co przysporzyło wiele kłopotów z wyjaśnieniem tego zjawiska.

Prądy podpowierzchniowe zajmują warstwę o głębokości od kilkudziesięciu do kilkuset metrów. Po odkryciu prądu powierzchniowego rozpoczęto intensywne badania tej warstwy oceanów. Ich wynikiem było wykrycie Prądu Cromwella, Prądu Łomonosowa i innych.

Między poszczególnymi basenami oceanicznymi następuje ciągła wymiana wody. Z Atlantyku do Basenu Arktycznego wpływa około 70 000 km^3 wody rocznie. W Oceanie Spokojnym wody głębinowe przemieszczają się z południa na północ. Całkowity okres tego zjawiska został określony metodą radioaktywnego C^{14} i jest on równy ok. 600 lat. Średnia prędkość przemieszczania się wód głębinowych wynosi 0,005 m/s. Ruch ten obejmuje około 15—20 mln m^3/s.

Podobny ruch wody występuje również i w innych częściach hydrosfery.

- rzeki oceanów

Prądy morskie obejmują całe baseny mórz i oceanów. Istnieje szereg pytań dotyczących prądów. Co jest przyczyną ich powstawania? Czy tylko wiatry wywołują przepływy ogromnych mas wody? Czy mamy jednoznaczną na ten temat odpowiedź?

Otóż nie. Teorię prądów stworzyli: Sztokman, Stommel, Sarkisjan i Hidaka. Została ona rozwinięta w ostatnim dwudziestoleciu, ale nie daje ona jednobrzmiącej odpowiedzi. Jedni są zwolennikami poglądu, że głównym czynnikiem wywołującym powstawanie prądów morskich są wiatry, inni — że różnica gęstości. Kto ma rację? Na rozwiązanie tego problemu trzeba będzie poczekać.

Zjawiska wywołane przez prądy

Często stawiano pytania: Po co badać morza i oceany? Czy prądy morskie mają jakieś znaczenie dla człowieka? Czy nie za wielkie są wydatki finansowe związane z tymi badaniami?

Być może, że jedno z takich dziwnych zdarzeń, które zaszło w 1852 r., przyczyniło się do badania prądów morskich. Otóż w wymienionym roku u wybrzeży Hiszpanii wyłowiono butelkę, którą Krzysztof Kolumb wrzucił do oceanu w 1493 r. wraz z umieszczonymi w niej informacjami o odkryciach nowych lądów. Były one przeznaczone dla protektorki wyprawy, królowej Hiszpanii Izabelli I. Być może, że poczta butelkowa, przynosząca różne wiadomości, zwróciła uwagę badaczy na prądy morskie.

Wiele tajemniczych opowiadań o dryfujących wrakach intrygowało ludzi związanych z morzem. Jakie musiał robić wrażenie statek-widmo, który ukazywał się w pełni nocy, na bezkresnym oceanie bez załogi? Opowiadań o podobnej treści było wiele. Przytoczę niektóre z nich. Żaglowiec „Silicas" uszkodzony podczas tajfunu (1848) dryfował przez 81 lat. Zatonął po zderzeniu z amerykańskim parowcem. Jakich wrażeń musieli doznać wielorybnicy polujący na wodach Antarktydy w 1937 r., gdy zauważyli na swojej drodze żaglowiec „Fanny" z zamarzniętą załogą. Żaglowiec dryfował od 1900 r. Cennych informacji o prądach dostarczył dryf wraku „Fanny Wolston", który zauważono co najmniej 36 razy w ciągu 30 lat jego tułaczki.

Fridtfjör Nansen w czasie ekspedycji badawczej na statku „Fram" w latach 1893—96 stwierdził, że statek uwięziony w lodach dryfuje w kierunku odchylonym od kierunku wiatru o 20—40° w prawo. Zjawisko to potwierdził Ekman i w latach 1902—1905 opublikował teorię prądów dryfowych, tzn. prądów wywołanych przez wiatr. Jak okazało się, prądy dryfowe na półkuli północnej odchylają się w kierunku prawoskrętnym pod wpływem siły Coriolisa.

Wraz z prądami morskimi przemieszczają się góry lodowe. Rocznie ze wschodniej części Arktyki spływa około 7 500 gór lodowych. Podobna ich ilość spływa z zachodniej części. Średnia objętość dryfujących lodów wynosi 1,5 mln m^3. Stanowią one zagrożenie żeglugi na szlakach północnych. Jednym z przykładów tragicznego w skutki zderzenia statku z górą lodową były katastrofa „Titanica" w 1912 roku. To zdarzenie przyczyniło się do utworzenia w 1914 roku Międzynarodowego Patrolu Lodowego. Poznanie prądów morskich oraz rozkładu wiatrów pozwoliło na przewidywanie kierunków dryfu gór lodowych. Obecnie prowadzona jest stała ich obserwacja i nadawane są komunikaty o ich położeniu.

Ilości poszczególnych soli w wodzie morskiej nie ulegają większym wahaniom, co przypisuje się ciągłemu mieszaniu się wody pod wpływem falowania i prądów morskich. Na obszarach oceanów istnieją miejsca zbiegania się prądów morskich, w wyniku czego woda opada w dół (konserwacja). W innych miejscach następuje ich rozpływanie się (dywergacja), a woda wypływa z głębin. Wody głębinowe są bogate w substancje odżywcze, co wpływa na bujny rozwój życia organicznego. Przykładem tego może być Prąd Peruwiański. Jego wody, bogate w fosfor i azot, przyczyniają się do rozwoju planktonu, który staje się pożywieniem dla ławic ryb i stad ptaków. Wzdłuż zachodnich brzegów Ameryki Południowej rozciągają się jedne z najbardziej wydajnych łowisk rybackich. Obliczono, że żerujące w tym obszarze ptaki zjadają 3—4 mln ton ryb, co jest równe 1/2 wielkości połowów rybaków peruwiańskich.

Wraz z prądami przemieszcza się plankton, ikra oraz ławice ryb. Szczątki zwierząt i roślin żyjących na powierzchni morza, rozkładając się opadają w dół. W ten sposób następuje przenoszenie substancji organicznych z jednego miejsca do drugiego. Mieszanie się wód w wyniku spotkania dwóch prądów, wpływa na wzrost ilości powietrza rozpuszczalnego w wodzie, które potrzebne jest do rozwoju życia organicznego. Znając więc rozkład prądów morskich, można określić jakie obszary akwenów będą bogate w życie organiczne, a które będą go pozbawione tworząc morskie pustynie.

Jednym z bardzo ciekawych procesów biologicznych jest cykl rozwojowy węgorza. Dorosłe osobniki po 5—6 latach życia w rzekach Europy, opuszczają je i wędrują na tarliska bermudzkie. W czasie tego przemieszczania się pokonują 3 000—4 000 Mm. Po złożeniu ikry giną. Ikra natomiast jest przenoszona przez Prąd Zatokowy na głębokości około 200 m. Po upływie roku małe osobniki węgorza przesuwają się ku powierzchni oceanu i na głębokości około 40 m płyną w kierunku północno-wschodnim. W drugim roku wędrówki dopływają do brzegów Europy. Proces ten nie jest jednak całkowicie zbadany.

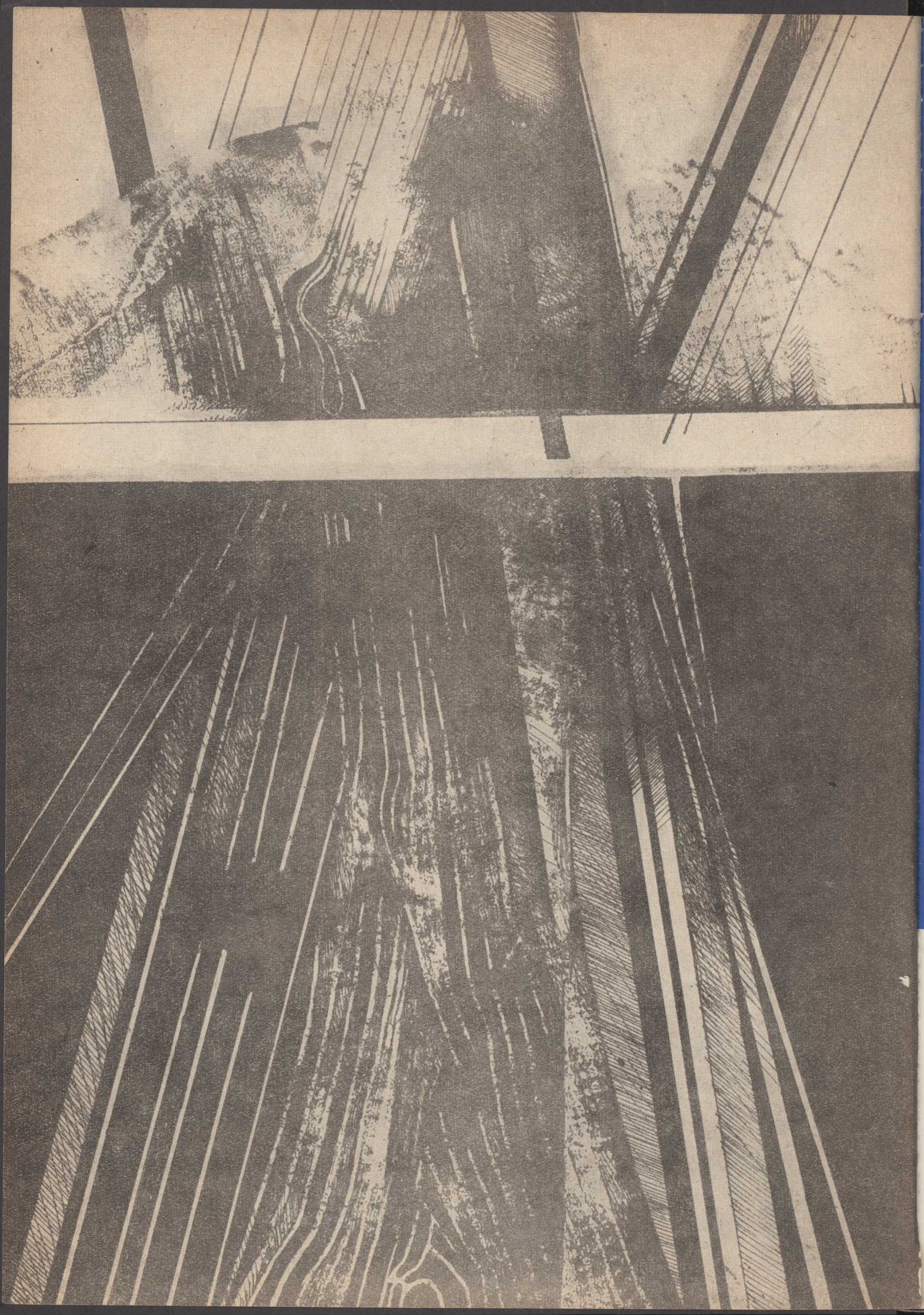
Niektóre gatunki ślimaków mają śrubową konfigurację skorupy. Nic w tym nie byłoby dziwnego, gdyby nie fakt, że prądy morskie dokonują swoistej ich selekcji oddzielając od siebie lewoskrętne od prawoskrętnych. W zależności więc od uzwojenia muszli są one transportowane w innych kierunkach. Na podstawie badań prowadzonych na Uniwersytecie Amsterdamskim będzie można odtworzyć układ prądów morskich w poszczególnych okresach geologicznych.

Prądy ze względu na temperaturę wód przez nie transportowanych, podzielono na zimne i ciepłe. Mają one zasadniczy wpływ na klimat części kontynentów przyległych do morza. Przykładem wpływu prądów na zjawiska termiczne może być układ prądów na Atlantyku Północnym. Prąd Zatokowy jest prądem ciepłym. Opływając brzegi Europy Północno-Zachodniej podwyższa średnią temperaturę roczną tych obszarów o kilka stopniu Celsjusza. Izoterma 0°C nad Atlantykiem przebiega od brzegów Ameryki Północnej, poniżej 40° szerokości geograficznej północnej od brzegów Europy powyżej 70° szerokości geograficznej północnej. Prądy Wschodniogrenlandzki i Labradorski, jako zimne, oziembiają wybrzeże Ameryki Północnej. Takich przykładów można wymienić wiele.

Po detonacjach bomb atomowych wzrosła radioaktywność wód. Eksplozje tej broni na Bikini spowodowały wzrost radioaktywności około miliona razy. Wody te przemieszczając się wraz z prądami na odległość 1 500 Mm, wykazywały spadek radioaktywności do 3-krotnie większej aniżeli w normalnych warunkach. Niektóre gatunki zwierząt i roślin morskich mają zdolność koncentracji pierwiastków radioaktywnych. Wraz z prądami morskimi następuje ich rozprzestrzenianie się.

Znając rozkład prądów na danym akwenie można przewidzieć kierunek i prędkość rozprzestrzeniania się substancji ropopochodnych i ropy, które dostają się do morza podczas kolizji tankowców lub awarii wież wiertniczych.

Prądy morskie mogą więc pracować na rzecz człowieka, ale muszą być dokładnie poznane prawa nimi rządzące. Nie potrafimy dzisiaj dokładnie określić granic możliwości wykorzystania prądów morskich. Należy się jednak liczyć z tym, że w najbliższym czasie badania prądów morskich staną się badaniami podstawowymi oceanologii.





Fot. W. Termanowski

OSTROBOK Z KONSERWY PO FRANCUSKU

Składniki: 1 puszka konserwy z ostroboka w dowolnej zalewie, drobno posiekana zielona pietruszka, szczypior, ząbek czosnku, 2 cebule, 1 duży pomidor lub przecier pomidorowy, olej sojowy.

Przygotowanie sosu: na rozgrzanym tłuszczu (oleju) dusić drobno posiekaną cebulę i szczypior, dodać roztarty czosnek i posiekaną zieloną pietruszkę, pokrajany pomidor lub przecier pomidorowy, przyprawić do smaku solą i pieprzem. Filety odsączyć z zalewy, złożyć na półmisku i polać przygotowanym sosem. Podawać na gorąco lub na zimno.

SZNYCELKI Z OSTROBOKA

Składniki (na 5 porcji): 100 dkg ostroboka, 10 dkg oleju, 2 jaja, 50 dkg mąki pszennej, 2 bułki pszenne, 150 dkg kwaśnych jabłek, sól i pieprz naturalny do smaku.

Po rozmrożeniu ryb zdjąć skórę i przygotować filety, oprószyć je pieprzem i mąką. Maczać w roztrzepanym jajku i panierować w świeżych grzankach sporządzonych z bułki pszennej pokrajanej w słupki wielkości zapałek. Smażyć na rozgrzanym tłuszczu, na złoty kolor. Z jabłek usunąć końcówki i gniazda nasienne, pokrajać w krążki, oprószyć mąką, maczać w roztrzepanym jajku i smażyć razem z rybą. Sznycelki podawać na gorąco z ułożonymi na wierzchu krążkami jabłek z dodatkiem frytek i surówek.



OSTROBOK

NAWET NAJLEPSZA GOSPODYNI MOŻE NIE WIEDZIEĆ, ŻE:

- ostroboka nie powinno się moczyć, ale trzeba zdjąć z niego skórę,
- ostroboka należy rozmrażać w naczyniu z zimną wodą,
- ostroboka można pozbawić morskiego zapachu w bardzo prosty sposób: oczyszczonego i wymytego ostroboka posolić, skropić sokiem z cytryny lub kwaskiem cytrynowym i pozostawić na pół godziny.
  I teraz można przyrządzić naprawdę smaczne danie.



Ryby z najczystszych wód świata w każdym sklepie Centrali Rybnej

KERGULENA Kergulena to ryba o wyjątkowo wysokiej smakowitości, ma delikatne, białe mięso o dużej zawartości białka i niedużej zawartości tłuszczu (tylko 1,1—1,2%).Jest to więc mięso o dużych wartościach również dietetycznych. Zaletą kerguleny jako surowca jest to, że nie posiada ości śródmięśniowych, a skóra jej jest cienka i pozbawiona łusek. Jest doskonała w każdej postaci: gotowana z wody, w galarecie, smażona, pieczona i duszona w jarzynach.

NOTOTENIA Z nototenii można sporządzać różne potrawy stosując podobne techniki przyrządzania jak przy mięsie z tą ważną różnicą, że w dużo krótszym czasie. Ugotowane czy smażone nototenie mają barwę mięsa białą z lekkim odcieniem różowawym. Mięso ich jest delikatne, soczyste i kruche. Zwłaszcza wysoko ceniona jest przez smakoszy nototenia gotowana w galarecie. Głowy i kręgosłupy nototenii mogą być wykorzystane do przygotowania wywarów i zup rybnych.

jakie znaczenie
mają moje słowa
już tylu poetów
przede mną
mój głos jak echo
powtórzy tylko
ich śpiew
i płacz

jeden szept więcej
w szumie lasu
może tylko czasem
dotknięty moim
wierszem
zadrży liść
serca

ROZMOWA III

ON: **Pani taka smutna, Mario**
i taka blada...
ONA: .....
ON: **Czy ktoś Panią skrzywdził?**
ONA: **Nie, tylko pies**
dziś umarł pod kołami...
ON: **Tyle jest kół na ziemi,**
i tyle ludzi...
ONA: **I stworzył go Pan na**
obraz i podobieństwo...
ON: **Miłujcie mniejszych**
braci swych...
ONA: **Muszę wyjść na chwilę**
z tego świata, żeby...

Maria Rożek jest członkinią Klubu Literackiego „Na Wyspie" w Świnoujściu. W tym roku została wyróżniona w Turnieju Poetyckim o Laur Słowianina. Ma za sobą debiut prasowy. Stoi zatem jeszcze ciągle przed doniosłym wyborem, po którym albo „łamie się pióro" albo zaczyna się coraz usilniej pracować nad własnym warsztatem. Zaczyna się traktować układanie wierszy jako coś bardzo ważnego — tak koniecznego w życiu — jak potrzeby elementarne.

Dwa jej wiersze przedstawione powyżej różnią przynajmniej dwie zasadnicze cechy. Oto pierwszy jest w związku z podjętym tematem, o tyle interesujący, że zajmuje się problematyką autotematyczną. Jest zastanowieniem nad sensem własnego (czy w ogóle?) pisania. Formułuje się tam przekonanie, że aby móc być usłyszanym „w szumie lasu" (czyli mówiąc prościej: w wielości głosów poetów lat przeszłych i współczesnych) należy pisać tak, by „zadrżał czyjś liść serca". Znajduje tu więc miejsce próba reaktywowania koncepcji poezji jako mowy uczuć przede wszystkim. Przekonanie takie może być uznane ostatnio za pewne novum, skoro poetycka produkcja naszych czasów coraz konsekwentniej zmierza w kierunku suchego intelektualnego języka — częściej woli uchodzić za filozofię niż za poezję. Najczęściej nie będąc jednak ani jednym ani drugim, bo państwem poety jest mowa rodzinna — i jak powiada jeden z najwybitniejszych dziś poetów pólskich — poza nią jest on filozofem takim jak każdy (Cz. Miłosz).

Drugi utwór: Rozmowa III, pragnie być już realizacją zasady pisania, by — przypomnijmy — „w szumie lasu dotknięty wierszem drżał liść serca". I na pierwszy rzut oka zadanie to wykonuje aż z naddatkiem. Przedstawia bowiem

TADEUSZ BRZOZOWSKI

Analizy

pełną niedomówień (wykropkowania) scenkę dialogową, której bohaterowie Maria i jakiś On (sytuacja konfesyjna oraz specyficzna frazeologia wskazują, że może być to ksiądz, rozmawiają nt. smutku bohaterki. Że ma być to smutek — wątpliwości być nie może, bo jego uosobienie — owa Maria — jest określana w utworze jako: smutna, blada i skrzywdzona! Ponadto w grę wchodzą sprawy ostateczne (śmierć psa). Wprawdzie znane są w literaturze opisy, w których śmierć naszych „mniejszych braci" wywoływała emocje zgoła odnoszone do ludzi, ale... Właśnie, niezależnie od innych niedoskonałości utwór — czy raczej jego zamysł — razi zbytnią dosłownością. Natomiast uczucie nazwane z prosta, pozostaje w poezji tylko słowem... I gdyby powołać się na Różewicza: chleb najlepiej opisać przez jego brak, czyli nawet nie wyzywając jego imienia itp. Poza tym okazuje się także, że trudno uwierzyć w jego artystyczną prawdę, skoro autorka (bardziej lub mniej świadomie) kłamie samej sobie, bo:

ON: **Czy ktoś Panią skrzywdził,**
ONA: **Nie, tylko pies**
dziś umarł pod kołami...

A więc w jej systemie wartości śmierć owego psa ma znaczenie dużo mniejsze, niż wyrządzona jej ewentualnie krzywda! Ale przecież nie tylko to stanowi o banalności tego utworu, także więc o tym, że czego jak czego, ale wzruszenia u czytelnika wywołać nie potrafi i pozostawi go obojętnym. Brak mu choćby iskierki dramatyzmu, jeśli przyjąć, że to forma paradramatyczna. Racje wyrażane w jego ramach nie znoszą się, nie wchodzą w konflikt, ale płyną zgodnie i jakby obok siebie. W tej rozmowie nie chodzi o nic, chyba że o niedopuszczalny nawet w poezji melanż różnych koncepcji, z których nie wynika jakaś nowa myśl.

Pan (Bóg chrześcijański) nie stworzył psa na obraz i podobieństwo swoje (gdzieżby!) a przecież człowieka. Wedle tradycji biblijnej tylko on posiada rozum, wolną wolę (duszę). Wszystko, co pozostałe, a więc także psy — z powodu braku tego specyfiku — winny mu służyć jako np. siła pociągowa, wreszcie jako pokarm. Nieprzypadkowo przecież chrześcijaństwo nie zaleca ludożerstwa, nie mając wszakże nic przeciw zjadaniu zwierząt. Ciało wg Biblii jest prochem marnym. Najważniejsza jest dusza, która opuszczając doczesną powłokę idzie do nieba, czyśćca, bądź piekła i jest wieczna. Inaczej w indyjskiej teorii reinkarnacji (wędrówka dusz). Wg niej dusza po śmierci człowieka może wcielić się w innego osobnika, ale także w zwierzę lub roślinę. Myślę, że o owym pomieszaniu obcych sobie koncepcji nt. życia pozagrobowego świadczy zdanie ostatnie utworu — pointa (ciekawe też, że wcześniej nie mówi się, że pies po prostu zdechł, ale umarł):

ONA: **Muszę wyjść na chwilę**
z tego świata, żeby...

Skończyć można tylko tak: ...żeby powrócić, odrodzić się w innej cielesnej powłoce (np. w psiej — i dlatego on bratem naszym!).

JANUSZ ST. JANOWSKI — „W porcie węglowym" — *rys. tuszem*

JĘDRZEJ PORADA

INFORMACJA O STATKU

Niebezpieczeństwa morza potęgowane są zarówno nieodpowiednim sposobem eksploatacji, złym stanem technicznym statków, jak i wzrostem ich ilości, wielkości i szybkości, z jaką się one poruszają. Nieuniknione straty ponoszone przez samego właściciela statku lub towaru, byłyby dlań zbyt uciążliwe, a nawet przy wielkich katastrofach — wręcz niemożliwe do wyrównania — dlatego też właśnie w żegludze morskiej rozwinął się najwcześniej system ubezpieczeń transportowych. Pomijając w tym miejscu szerokie zagadnienie ubezpieczeń morskich jako ekonomicznej metody wyrównywania strat powstałych w wyniku wypadków losowych związanych z żeglugą, pragnę zwrócić uwagę czytelnika na bardzo ciekawy aspekt rozwoju wszechstronnej informacji technicznej i eksploatacyjnej statku, mającej swe źródło właśnie w ubezpieczeniach morskich.

W początku XIX w. nieliczne jeszcze towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły ponosić wielkie straty. Na przykład zimą 1821/22 r. zatonęło ok. 200 statków, a w samym tylko Morzu Północnym straciło życie co najmniej 2 000 ludzi. Ubezpieczyciele zaczęli zdawać sobie sprawę, że właściwie nic nie wiedzą o ubezpieczanych statkach, ich walorach eksploatacyjnych, załogach, armatorach. Powstała więc potrzeba zdobywania odpowiednich informacji i w efekcie tego zaczęły powstawać wyspecjalizowane przedsiębiorstwa — towarzystwa klasyfikacyjne, służące ubezpieczycielom morskim odpowiednimi informacjami o statkach. Jednym z pierwszych było założone w 1821 francuskie towarzystwo klasyfikacyjne Bureau Veritas. Gromadzone odtąd systematyczne informacje o statkach pozwalały ubezpieczycielom określić stopień ryzyka związany z eksploatacją każdego statku i na odpowiednie sklasyfikowanie go na podstawie stanu technicznego i niezawodności eksploatacyjnej. W miarę jak towarzystwa klasyfikacyjne zdobywały doświadczenie, zaczęły one pełnić rolę doradczą, zarówno dla ubezpieczycieli jak i konstruktorów oraz armatorów w zakresie np. dopuszczalnych norm konstrukcyjnych. Opracowane w 1851 r. przez Bureau Veritas przepisy dotyczące budowy statków drewnianych wprowadzały już obowiązek okresowej kontroli stanu technicznego i niezawodności statku w czasie jego eksploatacji.

Podstawowym źródłem informacji o statku jest przede wszystkim nadzór dokonywany przez inspektorów — specjalistów. Nadzór i weryfikacja prowadzone są już na etapie projektowania, doboru materiałów, budowy i w czasie „życia" statku.

W ostatnich latach obserwuje się dążenie do integracji dorobku informacyjnego towarzystw klasyfikacyjnych i ubezpieczeniowych. W 1976 r. powstał największy na świecie Ośrodek Informacyjny tzw. Morskiej Służby Informacyjnej, na który złożyły się unikalne zbiory informacji o statkach zgromadzone przez angielskie towarzystwo klasyfikacyjne Lloyd's Register of Shipping i zbiory informacji o ruchu i awariach statków londyńskiego Lloyda (towarzystwa ubezpieczeniowego).

Przez całe lata załogi statków miały do czynienia z bardzo skąpymi instrukcjami obsługi urządzeń. Podczas gdy stanowiło to dokuczliwy problem dla użytkownika, rzadko było dostrzegane przez administrację jako realny problem. Należało też do zwyczaju, że oficerowie pływali latami na jednym statku i w związku z tym znali go bardzo szczegółowo. W tych okolicznościach nie miało większego znaczenia to, że np. dostarczone wraz ze statkiem rysunki straciły swoją aktualność — załoga statku sporządzała sobie własne. Nie stanowiły problemu nie zawsze kompletne i trudne do znalezienia instrukcje konserwacji, bo zawsze na statku znajdowała się osoba wtajemniczona, mogąca wprowadzić każdego nowicjusza w najłatwiejsze sposoby obsługi i remontu urządzeń.

Obecnie, gdy wymieniane są często całe załogi i zmniejszeniu ulega ich liczebność, gdy zwiększa się gwałtownie poziom automatyzacji i towarzyszący mu poziom technicznej złożoności statku, gdy skraca się czas postoju statków w portach, gdy szybciej ulegają zużyciu części podstawowe — sytuacja staje się poważna. Trudno przewidzieć koszty, jakie pociąga za sobą brak odpowiedniej informacji, godziny tracone w poszukiwaniu stosownych danych, wprowadzenie nadmiernej ilości kosztownego oprzyrządowania bez podanego sposobu jego użytkowania.

Współczesne problemy modernizacji systemu informacyjnego o statku nie ominęły również floty polskiej. Własnego systemu informatycznego dopracowuje się zasłużone polskie towarzystwo klasyfikacyjne — Polski Rejestr Statków, dysponujemy też dużym bankiem informacji o statkach stworzonym przez nasz przemysł okrętowy (Centrum Techniki Okrętowej), a komputery stają się też niezbędnym partnerem służb eksploatacyjnych i technicznych polskich armatorów.

Panią Hannę Krall, autorkę „Perłowego odcienia powietrza" oraz bohaterki tego reportażu przepraszamy za opuszczenie w druku końcowego fragmentu: „Tak, babcie przejmują tę sprawę na swoje sumienie: one, jako matki, bardzo starały się być normalne, ale przecież tak do końca nie były i to się musiało jakoś odbić na domu i na ich własnych małżeństwach, a potem na małżeństwach ich córek... Może mimo ich gorączkowych starań ten dom nie był takim całkiem normalnym domem... Ale która z nich na dobrą sprawę wie, jak taki naprawdę normalny dom wygląda...? Więc babcia Inka mówi — powiadam wam, ciasto jest w niedzielę nieodzowne, niech dzieciak wie... i tłumaczy jak można zrobić bardzo dobry makowiec prawie bez ciasta, podczas gdy pozostałe babcie są raczej za sernikiem... Wie pani dlaczego przyjechałam do Szczecina? — mówi babcia Inka. — Bo tu jest taki dobry kolor, taki jakby perłowy odcień powietrza. To może mieć związek z Odrą, albo z morzem, nie jestem pewna, ale jak pierwszy raz przyjechałam i zobaczyłam ten szczególny kolor, taki łagodny i przyjazny zrozumiałam, że tu będzie można żyć".

● W Rostocku odbyła się konfedencja poświęcona tematyce marynistycznej. W obradach udział wzięli pisarze i krytycy z Rygi, Warny, Szczecina i Rostocku. W tematykę obrad wprowadziły referaty przedstawicieli poszczególnych miast. Konrad Reich (Rostock) nakreślił historyczny rozwój motywu morskiego w literaturze niemieckiej; Egon Livs (Ryga) mówił o historii swego kraju, zapoznał słuchaczy z najstarszymi utworami ludowymi znad Dźwiny; Piotr Jaworski (Szczecin) wystąpił z propozycjami metod badawczych tekstu marynistycznego; Tadeusz Skutnik (Gdańsk) nakreślił obraz zainteresowania tematem morskim w literaturze polskiej; Koljo Sewow (Warna) przedstawił esej o przenikaniu się kultur nadmorskich, o kształtowaniu się osobowości Bułgarów przez morze.

● 28 malarzy szczecińskich bierze udział w wystawie pn. „Człowiek i środowisko morskie", która została zorganizowana w ramach wymiany kulturalnej w Budapeszcie i Varpalota.

● Szczecinowi przybyła nowa scena kameralna, mianowicie przy Teatrze Polskim zaadaptowano dawne pomieszczenia gospodarcze na parterze, uzyskując 120-osobową wi-

Kronika morza i ziemi

downię. Na otwarcie Sali Prób przygotowano „Co u pana słychać?"' Krzysztofa Kąkolewskiego w reżyserii Janusza Bukowskiego.

● Podczas Dni Polskich w Paryżu przedstawiony został w telewizji francuskiej spektakl „Po tamtej stronie świec" Stanisława Grochowiaka, zrealizowany przez szczeciński Ośrodek TV. Spektakl reżyserował Ryszard Bugajski, który za to widowisko otrzymał w czasie przeglądu spektakli telewizyjnych w Olsztynie nagrodę prezesa RiTV. „Po tamtej stronie świec" w Olsztynie otrzymało także nagrodę specjalną. Po „Relacji" i „Medei" jest więc to kolejny sukces Teatru TV w Szczecinie.

● W Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie odbyły się obrady XVIII Zjazdu Naukowego Sekcji Chirurgii Klatki Piersiowej i Naczyń. Organizatorem imprezy było Towarzystwo Chirurgów Polskich. W obradach uczestniczyło około 300 wybitnych specjalistów z kraju i zagranicy.

● W Klubie „13 Muz" z udziałem Ireneusza Gwidona Kamińskiego, Stefana Marczyka, Jacka Fijałkowskiego, Marka Czasnojcia, Tadeusza Zapaśnika odbyły się „V Warsztaty Muz", prowadzone przez Sylwestra Woronieckiego.

● „Teatr 3" Polskiego Związku Głuchych ze Szczecina na VI Międzynarodowym Festiwalu Pantomim w Brnie otrzymał nagrodę im. J. G. Deburau, I nagrodę za „Sen", nagrodę indywidualną za reżyserię dla Zygmunta Zdanowicza.

● Podczas II Jesiennego Salonu nagrodę za „Dzieło Roku" otrzymał Ryszard Drzewiński, nagrodę Olega Bałakirewa za debiut — Leszek Żebrowski.

● W Wyższej Szkole Pedagogicznej odbyła się II Ogólnopolska Konferencja Językoznawcza na temat: „35-lecie polszczyzny na Pomorzu Zachodnim i jej integracja z językiem ogólnonarodowym".

JADWIGA NAJDOWA

Młodzi Plastycy Wybrzeża

Współczesna sztuka od Szczecina po Gdańsk jest sztuką młodą. Gdy jesienią 1945 roku zawiązały się w tych miastach środowiska twórcze, rozpoczynały od punktu zerowego. W latach pięćdziesiątych do pionierów dołączyli pierwsi po wojnie absolwenci wyższych uczelni artystycznych. W latach sześćdziesiątych ośrodki Wybrzeża rozrastały się i krzepły. Powstały nowe w Koszalinie i Słupsku, a wreszcie pojawiła się młoda generacja urodzona już w Polsce Ludowej.

W samym tylko Gdańsku do Koła Młodych należało w początku 1979 r. dwustu absolwentów uczelni artystycznych. Młodzi powiększyli nie tylko środowiska Gdańska, Szczecina i Koszalina. Osiedli też w Słupsku, Sławnie, Kołobrzegu, Dziwnowie, w Szczecinku, Świdwinie, Stargardzie i Goleniowie. Realizują wystawy indywidualne swych prac, uczestniczą w pokazach środowiskowych, wysyłają kompozycje na wystawy ogólnopolskie.

W przeddzień lipcowego święta w koszalińskim Salonie Biura Wystaw Artystycznych otwarto, przygotowaną przez Muzeum Narodowe w Szczecinie, wystawę „Młodzi Plastycy Wybrzeża". Ekspozycję przeniesiono następnie do Kołobrzegu, a z końcem września udostępniono publiczności w Muzeum Narodowym w Szczecinie. Zgromadzono na niej prace czterdziestu autorów — szesnastu z Gdańska, czternastu ze Szczecina, pięciu z Koszalina, troje ze Szczecinka, ponadto z Kołobrzegu, Sławna, Dziwnowa, Świdwina i Słupska. Wystawa objęła malarstwo najliczniej obesłane, rzeźbę i rysunek.

O ogólnym charakterze ekspozycji decyduje malarstwo. Ma ono przytłaczającą przewagę liczebną nad rzeźbą i rysunkiem. Odnajdujemy tu obrazy twórców już znanych i uznanych. Malowane z rozmachem kobiety — kariatydy Mieczysława Olszewskiego, brutalne w swej cielesności, ujmują ekspresją formy i koloru. Mroczne wnętrza Olega Bałakiriewa, dramatycznie zamknięte pustymi ścianami, emanują ekspresją innego rodzaju. Inną też siłą ekspresji działa obraz Wacława Stanisławczyka — Buty. Ryszard Kiełtyka ekspresyjność swych płócien wycisza modulacją i płynnością malarskiej materii. Siłą oddziaływania przyciągają piękne w bogactwie środków wyrazu kompozycje Elżbiety Kalinowskiej-Motkowicz ze Świdwina. Tu już nie przedmiotowość, a formy abstrakcyjne służą wypowiedzeniu treści. Mocnym uderzeniem działają kompozycje najmłodszych — Grażyny Drzewińskiej ze Szczecina i Wiktora Szostały z Kołobrzegu. Nawrót do przedmiotowości, akcentowania treści, powiązanie płaszczyzn koloru z równie ważnym dla całości duktem form linearnych — oto cechy jakże charakterystyczne i utrwalające się w pamięci.

Przedmiotowość ta bliska realizmowi, choć obecnie tak odmieniona w interpretacji, poddana presji wtórnego obrazu, reprodukcji, telewizji, filmu, ilustracji — kształt najbardziej dojrzały przybrała w twórczości Teresy Miszkin z Gdańska. Monochromatyczne szare kompozycje wypełnione są postaciami niedostrzegającymi się nawzajem, jak w ulicznym tłumie, ale i jak na taśmie pamięci utrwalającej na długo ulotny obraz osoby, gestu, półuśmiechu. Obrazy Jana Bujnowskiego są natomiast zapisem codzienności — szary widok zza azmglonej szyby na blok mieszkalny. Można zastanowić się — analiza odbioru świata, czy stanu ducha.

Wreszcie odcinająca się wyraźnie na tle wystawy grupa obrazów o scenach poetyckich, metaforycznych, kolorycie wydobywającym uroki barwy, finezji dekoratywnego rysunku. Do nurtu tego przynależą przede wszystkim gdańszczanie — Anna Karpińska-Dehnel, Bożena Kwiatkowska, Ryszard Kul.

No koniec wypada się zastanowić, czy i o ile, przygotowana przez szczecińskie muzeum wystawa „Młodzi Plastycy Wybrzeża" — ukazuje aktualny obraz indywidualności i tendencji. Zapewne tak. Pytań rodzi się zresztą wiele takich, na które nie sposób obecnie odpowiedzieć. Dystans czasu niejedno tu zmieni. Sama twórczość ulega przetwarzaniu. Eksperymentowanie jest i musi być cechą przynależną młodej sztuce. Ciekawe jest jak oni sami, ze swego punktu widzenia, oceniają to spotkanie, jakie znaczenie przypisują wzajemnej łączności i kontaktom w nadbałtyckich regionach, z którymi wielu związanych jest miejscem urodzenia, a wszyscy artystycznym startem i działalnością. Jedno można stwierdzić z całą oczywistością — do twórczego działania odnoszą się młodzi z powagą, rzetelnością, w sposób odpowiedzialny.

WOJCIECH BAJEROWICZ

małe formy

Niewiara

Drzazga z krzyża męki pańskiej, szczebel z drabiny śnionej przez Jakuba, kopytko osiołka wynoszącego świętą rodzinę z obierzy Herodowej nie były wcale takie śmieszne swego czasu. Notują annały nazwiska niebacznych kpiarzy unicestwionych ogniem z tej okazji. Anegdota przestrzega przed losem współczesnych opowiadaczy anegdot, których zdołano podobno zwrócić ludzkości wychowując ich przez pracę. Nasze czasy bywają bowiem tak na oko bardziej racjonalne albo humanitarne. Aliści mam tu sporo wątpliwości — biorąc poprawkę na nasze rozbuchane marzenia nie wierzę, by kaganiec noszony całe życie był zaraz takim wielkim szczęściem.

Wątpliwości

Nie, nie ukrywam recepty na cudowne uzdrowienie świata, (chociaż wydaje mi się ona prosta), bowiem będąc szeregowym urzędnikiem państwowym nie mogę sobie pozwolić na luksus psychicznej choroby. Mogę co najwyżej zauważyć, że skoro wszyscy mają rację na swój sposób, owi Chińczyczy, Arabowie, Izraelici, Amerykanie, Baskowie, my zaś przede wszystkim, że skoro ustawowo i przedwcześnie mamy obowiązek zrezygnować z życia, to tkwi w tym wszystkim gdzieś potworny błąd. Cóż bohaterom po globalnej hekatombie?

Punkt widzenia

Lubię chmury nad sobą białe z niebieskim, piach nad jeziorem, leciutkie chlupotanie przyboju, brzęczenie owadów. I tę ciszę w tle lubię bezpieczną. Nie czuję wtedy serca ani rozumu, zapominam o flagach i karabinach. Leniwe, syte zwierzę dyszę ze szczęścia. Na ramieniu nabrzmiewa moją krwią komar — wiej, mówię, bo zginiesz. Podobno można być także szczęśliwym obmyślając kłopoty dla ludzi. Wszystko zależy w tym przypadku od punktu widzenia, nawet gdy chodzi o rzecz tak kruchą jak życie.

Radość istnienia

Tyleśmy już sobie powiedzieli słów gorzkich głośno i na ucho, że wystarczy na zapas. I każdy jest podejrzany — murarz o worek cementu, o młodość ładna dziewczyna, władza właściwie o wszystko. Lecz prywatnie czyściochy z nas duże, obłudni krewni Lota sprawiedliwego, a sędziowie tak nieomylni jak Bóg. Jakże w takiej Sodomie można w ogóle żyć? Patrzę na tłum zgoniony, szukam świadka biblijnej prawdy, ale nic się nie dzieje, żaden ognisty deszcz nie spada, jakoś tam dalej trwa ta krzątanina. Klucha wzruszenia podchodzi mi do gardła, Lot jest niepotrzebny. Fajno jest!

Stwierdzenie faktów

Ta kartka wcale nie jest nieśmiertelna. Nawet powielona jest mniej trwała niż jednorodzinny domek, niż cegła, niż grot strzały pierwotnego łowcy, byle jaka skorupa, którą kiedykolwiek obdzieliła kształtem ręka ludzka. Nad tą kartką tkwię bez żadnej nadziei na cudowne przemienienie myśli w szybki pocisk albo w talerz zupy. Chyba bardziej niż ktokolwiek inny czuję względność tej serdecznej męki nagradzanej dawniej pomnikami. Że pesymizm? Nie, stwierdzenie faktu. Coraz bardziej zwykły ludzki głos grzęźnie w wielkim lesie współczesności. I właściwie coraz mniej wiadomo, kto jest winien.

Reportaż

Oto jest rocznica Tołstojowska, jak do żucia nowy rodzaj gumy. Oficjele przecinają wstęgi, filolodzy zaś interpretacje ustawiają jak Potiomkin wioski. Ale gdyby gniewny mistrz zmartwychwstał, gniewny hipi z tamtego stulecia, któżby wziął na serio to gadanie o sumieniu, moralnych skrupułach? Takie wielkie okazje świtają, taka przyszłość rysuje się świetna, krzywa rośnie, produkcja i plan. Na cóż więc ta cała maskarada? Przejdź się ze mną jak z Diabłem Kulawym przez teatrum, w którym amatorzy grają życie w swoich na co dzień. Co byś zrobił, gdybyś ich zapragnął w tych warunkach trochę ponawracać? Oto jest rocznica Tołstojowska, tysiąc wierszy o sadzeniu grochu, nowy powiew pseudoklasycyzmu. Zali tego spodziewał się mistrz?

teatr polski w szczecinie



stefan żeromski

PRZEDWIOŚNIE

CENA ZŁ 20,—

